POLSKI RAP PRAWDZIWA HISTORIA CO MIESIĄC PŁYTA CD

styczeń
01/109

SLIZG

www.slizg.com.pl

hip-hop/extreme mag

EMINEM SZOŁ?

numer 01/109
styczeń 2005
ISSN 1425-1760
INDEX 332682
cena: 6.90 PLN
(w tym 7% VAT)
9 771425 176052 01

mor w.a.
de la soul
planet asia
borixon
jay-z / linkin park

GRAMMATIK
ELDO / GRAMMATIK 3
premiéra 01.2005
massdnm
AUTUMN / WINTER

info: +48426523992 www.massdrm.com

za trzy
white house

Jaka jest muzyka spod szyldu White House? Każdy, kto choć odrobinę śledzi polską scenę hiphopową, doskonale wie. Jaki jest pogląd producentów WH na muzykę? To też da się wyczytać w wywiadach. A jakie są ich zainteresowania? Teraz możecie to sprawdzić. Panie i panowie, Magiera & LA oderwani od samplerów i mikserów tym razem plotą 3 po 3...

LA

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
Fizyka, matematyka, matmetamayka.
trzy postacie – bohaterowie:
Scarface, Carlito Brigante, Zatoichi.
trzy antypatie – teszcze:
Oni dobrze wiedzą.
trzy napoje:
Woda niegazowana, granini, bro.
trzy potrawy:
Spaghetti, żur, chinol.
trzy programy tv:
MTV base, Discovery, Extreme.
trzy płyty:
NWA „EFIL4ZAGGIN", Cujo „Adventures in foam", Snoop Dogg „Doggystyle".
trzy filmy:
„Człowiek z blizną", „Życie Carlita", „Cypher".
trzy książki:
Fuck me freedy.
trzy kolory:
Czerń, granat, zieleń.
trzy cyfry:
1, 2, 7
trzy napisy na murach:
WKS, smooth, IDC.
trzy dziewczyny:
Mariah, Sage, Mocha.
trzy miejsca:
Studio, szkoła, knajpa.
trzy zainteresowania:
Muzyka, film, sport.
trzy gadżety:
Nokia, Kodak, portfel.
trzy ulubione słowa:
Yś tyyyy, nie wiem, nieźle.
trzy sukcesy:
„Kodex", „Kodex 2 – proces", FFOD.
trzy porażki:
Nie pamiętam.
trzy plany na przyszłość:
Kodex 3, prawko, kodexsoundsystem.
trzy rzeczy ode mnie:
Chodzić na koncerty, kupować płyty, nie słuchać gówna.

MAGIERA

trzy znienawidzone przedmioty szkolne:
Polski, historia, biologia.
trzy postacie – bohaterowie:
Nie przypominam sobie.
trzy antypatie – teszcze:
Jest kilku takich.
trzy napoje:
Woda gazowana, sok pomarańczowy, tequilla.
trzy potrawy:
Pizza, polędwica w sosie śliwkowym, owoce morza.
trzy programy tv:
Ich bin gerne, bei MTV und VIVA, doch ich geh nie wider, zu NBC giga (dzięki Balon).
trzy płyty:
Dr. Dre „The Chronic", Snoop Dogg „Doggystyle", Group Home „Livin' proof".
trzy filmy:
XXX
trzy książki:
Co to?
trzy kolory:
Czerń, biel, granat.
trzy cyfry:
6, 6, 6
trzy napisy na murach:
klecina raczej
trzy dziewczyny:
Trzy na raz.
trzy miejsca:
Studio, bar, restauracja.
trzy zainteresowania:
Muzyka, film, kuchnia.
trzy gadżety:
6230, deh-p5530mp, Tochiba.
trzy ulubione słowa:
Nie wiem... dupa?
trzy sukcesy:
„Kodex", „Kodex 2- proces", Tymon.
trzy porażki:
^%&%#@#*^@%#
trzy plany na przyszłość:
Kodex 3, Tymon, pizdazdziobem.
trzy rzeczy ode mnie:
Kodex 1, 2 i kiedyś 3.

Wydawca:
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
00-258 Warszawa ul. Brzozowa 35,
tel/fax +48(prefix)226359874
nr konta: Kredyt Bank IV O/Warszawa
41-1500-1777-1217700-66518-0000
Dyrektor Wydawnictwa / Redaktor Naczelny:
Łukasz Kowalski (rednaczkwl@slizg.com.pl)
Sekretarz Redakcji: Kuba Demiańczuk (hellboy@slizg.com.pl)
Fotoedytor: Wojtek Antonów (wzrr@slizg.com.pl),
Redakcja: Kuba Kaczmarczyk (toysoldier@slizg.com.pl),
Cessya (cess@slizg.com.pl), Flintstone (ef@slizg.com.pl),
Krzysztof Grabowski
Korekta: Paweł Gadaczek
Grafika i dtp: Sławomir Adam Barański (szatan@slizg.com.pl)
Ilustracje: Marek Oleksicki (moleksicki@wp.pl)
Zespół: Fala, CNE, DJ Spox, Rafał Skarżycki, Tomek Leśniak,
Sebastian Rerak, Yarrek, Dobry Piotrek, Sebastian Imbierowicz
Foto okładka: Wojtek Antonów/WZRR
Marketing i reklama: Kasia Spaleny (kaspal@slizg.com.pl)
Promocja: Marta Wieteska (marta.wieteska@slizg.com.pl)
Sekretariat: Monika Jurczak
Finanse i księgowość: Alicja Włodarczyk
Druk i przygotowanie: Drukarnia Prasowa SA w Łodzi
Adres redakcji: Ślizg
ul. Marszałkowska 3/5, 00-624 Warszawa
tel/fax +48(prefix)22 8254907, 8255069
e-mail: slizg@slizg.com.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone. Przedruk i kopiowanie materiałów wyłącznie za zgodą redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść listów i ogłoszeń. Redakcja zastrzega sobie prawo do nieodsyłania niezamówionych materiałów oraz do ich skracania. Redakcja nie ponosi odpowiedzialności za ewentualne wypadki w czasie wykonywania trików prezentowanych na łamach Ślizgu
Ostrzegamy: niszczenie mienia jest karalne!

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

intro 01/109

GOŚĆ SLG: WHITE HOUSE 04
BIZAAR BAZAAR 06
game overload 012
RECENZJE komiksów... 013
...filmów... 016
...i płyt (+newsy) 017
portret: JAJONASZ 022
EMINEM SZOŁ? 023
nowa twarz: JIMSON 026
DE LA SOUL 028
WIGOR sztuka władania słowem 030
KILLARMY: Beretta 9 031
BORIXON 032
FATBOY SLIM 034
JAY-Z/LINKIN PARK 036
nowe teledyski 037
moja dzielnica: MOR W.A. 038
JOSS STONE 040
DJ SPOX scratching 041
nielegalna akcja eselgie 042
TYMI I ŻÓŁTY 044
O.D.B. 045
PLANET ASIA 046
MAŁY ESZ ESZ 047
punk: WALLS OF JERICHO 048
komiks: STAN SAKAI 050
JEŻ JERZY 052
GRAFFITI 054
breakdance: IBE 2004 062
total chaos 066
hard core na deskorolce 070
FINGERBOARDING 072
skatepark BLUE CITY 074
kto: MARCIN KORDEK 076
PLEASURE JAM 2004 078
hajdpark: NOON 082

GLOBALNE KOWALSTWO

bieguny i biegunka
(która w tekście de facto nie występuje)

właśnie dowiedziałem się, że w Gdańsku wywieszają plakaty o następującej treści: „Ksiądz Jankowski królem Polski". dobitnie świadczy to o tym, że przynajmniej część narodu polskiego doszczętnie skretyniała, a mnie od tego wcale nie robi się lepiej. i w tych oto przesympatycznych okolicznościach biorę się za to, co robi się zwykle o tej porze roku. za jego podsumowanie. (roku, nie króla-księdza Jankowskiego, żeby było jasne...)

rok był parzysty, a w moim życiu najpierw się wszystko popieprzyło, ale to tylko po to, żeby zakończyć się wyjątkowo fajnym happy endem... nie... ja miałem pisać o polskim rapie, a nie wstęp do autobiografii...

dobra, rok był parzysty, a w polskim rapie wszystko się pieprzy, i to wcale nie po to, żeby znaleźć happy end. bo happy endem z pewnością nie jest zadawane powszechnie pytanie – czy polski rap właśnie zaczyna początek swojego końca? no, może nie jest to jeszcze pytanie powszechne tak bardzo, ale uwierzcie, że słyszałem je w ostatnim czasie tyle razy, że nawet mi się upowszechniło.

jest kilka czynników, które każą spojrzeć na to pytanie poważnie. proste to sprawy – sprzedaż płyt padła na ryj, koncertów zdecydowanie mniej, niż było, a poziom – ogólnie – wcale nie rośnie. w pogoni za robieniem hitów, artyści najmocniej lansowani najczęściej zapominają o tym, żeby pierdyknąć dobrą zwrotkę, całą energię skupiając na wymyśleniu chwytliwego, ogłupiającego refrenu, który jednak wpadłby w ucho niespecjalnie wyczulonych na poziom, za to uwielbiających chwytliwość dyrektorów odpowiedzialnych za rotację klipu w tv bądź singla w radiu. a ponieważ jedynie papka o zabarwieniu popowym gwarantuje chwytliwość, nie usłyszymy w radiu za często Ostrego czy PCP, za to rozrzady rozmieniających się niestety na drobne Ascetoholików bądź ludzi ze stajni Carneya (z którego to grona wyłączam BRXa i Piha, wciąż trzymających poziom i fason) jak najbardziej. smutne to, ale prawdziwe. gdy usłyszałem Donia i Libera w duecie z grupą Kombi, zapłakałem. nie mam nic przeciwko mieszaniu klimatów, wzajemnym napędzaniu sobie koniunktury przez przedstawicieli różnych, nawet odległych od siebie generacji muzycznych, ale na miłość Boską – jak można lansować takie gówno!?! można. dobrze przynajmniej, że panienki w teledysku są topowe, zawsze można zjechać volumem do zera i przynajmniej sobie popatrzeć...

nigdy nie byłem przeciwnikiem hip-hopu komercyjnego, ba, zawsze wręcz uważałem, że to dobrze, iż hh przebija się w kanały szerokiego dostępu; że dzieciaki spoza naszych klimatów mają możliwość dotarcia do rapu; że może po całuśnym Trzecim Wymiarze skierują swoje uszy w stronę konkretnej gry. patrzę na Stany i widzę, że koniunktura na hip-hop Wielkich Gwiazdorów pomaga też scenie underground. mechanizmy się zazębiają, sukces kolejnych, takich samych jak poprzednie singli Ja Rule ma pośredni wpływ na to, że swoje płyty mogą sprzedawać People Under The Stairs. to trochę zamotane, ale tak jest. scena musi mieć różne wymiary, odpowiednio mocny biegun północny wpłynie na umocnienie południowego. nawet jeżeli ludzie z okolic tych biegunów mają ze sobą mało wspólnego. musi być równowaga, choćby taka, że z jednej strony jest hajs, fame i fajne kobitki w teledyskach, a z drugiej szczerość, oddanie scenie i talent realizujący czystą zajawkę.

u nas tej równowagi jakoś nie widać. i prędko jej nie zobaczymy.

podsumowanie tego roku może być jednocześnie podsumowaniem całej historii polskiego rapu. nie jest przesadnie lansowaną naszą cechą narodową myślenie dłuższe, niż w perspektywie kilku tygodni. widać to choćby po wciąż pojawiających się aferach z cyklu „polityka miesza się z biznesem" – zabrzmi to nienajlepiej, ale smutna prawda jest taka, że Polacy nawet kraść nie potrafią. nachapać się, nabarłożyć, a potem... wpaść. nie gadajmy jednak o złodziejach, spójrzmy, jak w Polsce robi się biznesy. kura znosząca złote jaja, linie lotnicze Air Polonia, sprzedające 90% miejsc na swoje loty, padają z dnia na dzień, bo... tak się opłaca właścicielom. przecież to jest, kurwa, wbrew jakiejkolwiek logice! a jednak...

i teraz spójrzmy na polski rap. kto tak naprawdę wykorzystał boom na tę muzykę? kto pomyślał dłużej, niż w perspektywie najbliższej premiery? są dwie takie firmy, może trzy, ale nie będę robił im reklamy. dwie, spośród kilkudziesięciu wydających polski rap. części tych firm już nie ma, część ledwie zipie, od niektórych uciekają wykonawcy, by wydawać się samemu, część padnie lada dzień, albo przerzuci się na inne zajęcie, niekoniecznie związane z muzyką. widzieliście gdzie ostatnio spójną kampanię reklamową jakiejś wytwórni, dłuższą, niż jedna reklama jednej płyty? a po co to komu? wydawcy w Polsce myślą kategoriami „dolnej granicy" – „przy 400 sprzedanych egzemplarzach interes się zeruje, sprzedam 600, to może nawet będzie na pączki, a jak zrobimy 2000, to sam sobie pierdolnę platynową płytę w pokoju...". karykatura? troszkę, ale w mniejszym stopniu, niż byście się spodziewali. i nieprzypadkowo w tym monologu nie ma ani słowa o artyście. „artysta? niech się cieszy, że wydał płytę. zarobi se na koncertach..."

niestety, sukces polskiego rapu potrafili wykorzystać nieliczni, i to najczęściej do celów innych, niż rozwój sceny. i nie piszę tu wcale o ideałach, filantropii czy tym podobnych bzdetach, bo jak większość ludzi w moim wieku dawno się wyleczyłem z podobnych haseł. rozwój biznesu gwarantuje kolejne wpływy, może pomóc w utrzymaniu koniunktury, oddala możliwość, że coś nagle, z dnia na dzień, padnie sobie na twarz i... nikt już na tym nie skorzysta.

i właśnie w takim kolorku – ciemnym, to prawda – widzę rok 2004, który właśnie się kończy. fans tandety, szybkie interesy, niemyślenie o perspektywach. oczywiście pokazało się kilka dobrych płyt, było nawet sporo dobrych wersów – ale o tym za miesiąc, gdy rzetelnie będziemy sobie podsumowywać 2004. ogólna ocena jest jednak nie za wesoła – staram się myśleć perspektywicznie...

KOWALSKI

bizaar bazaar
gadżety

polar MASS

Niewiele firm wypuszcza na rynek fajne polarki. Tym razem sztuka ta udała się. MASS wypuszcza na rynek przed świętami dwa modele bluz polarowych: kaptur lekko rozpinany pod szyją oraz kaptur full zip. Wygodny krój, możliwość rozpięcia, czy dwie kleszenie decydują o wysokiej funkcjonalności tych bluz. Miły w dotyku, miękki i ciepły materiał, bardzo fajnie dobrana kolorystyka oraz gustownie wkomponowane literictwo sprawiają, że te produkty szybko znajdą zadowolonych użytkowników.

czapki SYNCHRO

Zima nadciągnęła nieubłaganie, choć akurat, gdy zamykaliśmy ten numer SLG, to było ładnie, słonecznie i ani grama śniegu. Nie ma się jednak co oszukiwać, przed nami jeszcze duże mrozy, a wtedy jak najlepiej trzeba chronić głowę przed niskimi temperaturami. A w tym pomogą Wam na pewno ciepłe i wygodne czapki Synchro, których dwa modele widzicie na zdjęciach.

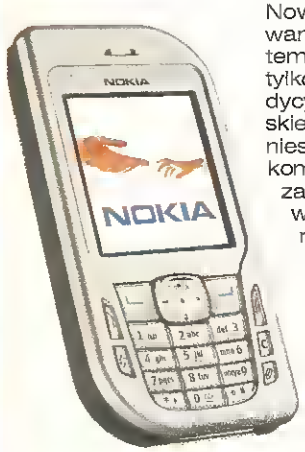

telefon NOKIA 6670

Nowy telefon Nokia 6670 z rozbudowanymi funkcjami biurowymi i aparatem fotograficznym to gadżecik nie tylko dla fachowców, choć – już tradycyjnie w przypadku produktów fińskiej firmy – kryje w sobie niezliczone niespodzianki. Oprócz trójzakresowej komunikacji umożliwia wyświetlanie załączników wiadomości pocztowych, wygodne i skuteczne porządkowanie informacji osobistych, przeglądanie stron internetowych i plików PDF oraz szybsze wprowadzanie danych przy użyciu bezprzewodowej klawiatury, wygodne robienie, drukowanie, przechowywanie i wysyłanie megapikselowych zdjęć i nagrań wideo. Słabo? A to i tak nie wszystko, ale po prostu brakuje czasu, żeby dokładnie przetestować wszystkie możliwości:).

Koszulki ONE WAY

Jest tylko jedna droga do sukcesu. Dlatego, ziomie, jeżeli marzy ci się, aby być tak sławnym jak Mezo i żeby twoją demówkę wydał jakiś kozacki label, po prostu musisz wskoczyć w koszulki One way. W t-shirtach tych na pewno od razu zostaniesz rozpoznany, bo mają bardzo krzykliwe kolory, które wyróżnią cię z szarego tłumu polskiego hip-hopu. Jeżeli nie chcesz jednak być sławny jak Doniu z Liberem, a twoje marzenia kończą się na zaliczeniu tysiąca dziewczyn, to również powinieneś odziać się w te cudowne koszulki.

Koszulki polo STORM

Storm Series przyzwyczaił nas do bardzo dopracowanych projektów ubrań. Pan Majewski, kiedy wymyśla nowy ciuch, robi to bardzo dokładnie. Tak też jest i w tym wypadku, prezentowane polóweczki są w stu procentach kozackie dla każdego ziomka, niezależnie od wyznania. Bluzy te zarówno nadają się na obiadek u rodziców dziewczyny jak i na koncert Peji, na pewno nie będzie przypału. Storm to prawdziwa marka dla bardzo wymagających.

UWAGA!! KONKURS

A to gadżet na nowy 2005 rok. Kalendarz zrealizowany wspólnymi siłami Bartłomieja Buśko i Adriana Ciesielskiego z grupy tsf, chłopaków z firmy Clinic i Wall-E'ego z Kasly.

Na zdjęciach znani raperzy, często w dość, hmmm... niekonwencjonalnych rolach, czego próbkę prezentujemy obok. W projekcie udział wzięli: Magiera i L.A., O.S.T.R., Numer Raz, Mor W.A., Tede, AbradAb, Paresłów, WSZ&CNE, 52Dębiec, Tewu, Trzeci Wymiar i Kasta. Kalendarz jest wydany na ładnym papierze w formacie 50 x 60, a jak skończy się rok, możecie odciąć sobie datownik i z kozackimi zdjęciami ścigać ulubieńców w celu zdobycia autografów.

Dwóch szczęśliwców spośród czytelników, którzy na adres redakcji wyślą najciekawsze portrety jednego spośród wymienionych artystów (technika dowolna) otrzyma od nas po egzemplarzu ze wszystkimi autografami.

Już wkrótce w nowootwartej Galerii Wax Work we Wrocławiu przy ul. Biskupiej 7a oficjalna premiera kalendarza, a po niej wiele ciekawych wydarzeń związanych z kulturą hh, tak że zaglądajcie Jam regularnie. Pod tym samym adresem znajduje się sklep Dj Kut-O z płytami i akcesoriami dla dj'ów. Sklep i galeria mają za zadanie promowanie ciekawych rzeczy i projektów związanych z hip-hopem. Pod tym samym adresem mają także swoje siedziby Kasta Impresariat i Finest Knockout Promotion, które zajmować się będą kompleksową promocją niezależnych twórców.

FLINTESENCJA
muzykat

Kiedy wyszedłem ze sklepu z „Bleak Output Special Edition" Noona i zdążyłem zapoznać się z tym, co napisane jest we wkładce, to był właśnie ten moment, w którym zrozumiałem w jakim stopniu nią żyję. To takie głupie gadanie, wiem. Ale po prostu w pewnym momencie człowiek zauważa, że każda jego emocja nosi na sobie piętno określonych dźwięków. Te dźwięki go tworzą, te dźwięki go niszczą, są kroniką wydarzeń, które się wydarzyły i które nigdy się nie wydarzą.

Patrzę na półkę z płytami. W oko wpada Gumeni Glavi. Ot, bułgarski zespół, nic specjalnego, może ze dwa ciekawe utwory, w tym jeden oparty o „Guantanamerę", która nagle dostaje kopa w postaci jakiegoś kosmicznie lunkowego basu i perkusji. Przed oczami stają wakacje. Gorączka i niemal utrata przytomności po tym, jak wpadliśmy na pomysł, żeby wypożyczyć rowery i w pełnym słońcu ruszyć wzdłuż stromej linii brzegowej bez nakrycia głowy. Albo burza w środku nocy spędzona w Morzu Czarnym, które było wówczas naprawdę czarne, jak zresztą wszystko wokół, może z wyjątkiem srebrnych wstążek wklejanych czasem z hukiem na niebo. Każdy, kto patrząc na określony obraz stwierdza nagle, że lepiej oddaje on rzeczywistość niż najstaranniej wykonane zdjęcie czy nawet i film, zrozumie o co chodzi. Mózg głębiej wyrusza we wspomnienia i obrazy, kiedy nie usiłuje się go ograniczyć do tego, co pokaże bezduszny negatyw.

Patrzę na albumy, na cdr-y zamieniające się z wolna w oryginały. Strata hajsu? Przestałem się czuć, jakbym zdradzał przyjaciół. Swojej dziewczynie na stosowne ku temu okazje staram się również kupować płyty, które bardzo ceni, a których u siebie nie mogła dostać, czy też nie było na to pieniędzy. Ostatnio dostała album „NIA". I jest w tym coś magicznego. Pamiętam jak uczyła mnie przywiązania właśnie do Blackalicious, wpajała mi podziw dla Krusha, którego wówczas szczerze nienawidziłem. Rewanżowałem się swoim D.I T.C., Atmosphere i tak dalej. Tak naprawdę uczyliśmy się wtedy tego, jak kochać się jeszcze bardziej.

Hip-hop coraz częściej sięga po sample z lat 80. Trudno mi tego słuchać, widzę bowiem kasety w samochodzie ojca. Te same kasety, które podkradałem mu, żeby nagrywać rzeczy z radia i pytać go o nie. Nie umiemy rozmawiać o niczym, ale o muzyce potratimy. Dire Straits zawsze będzie mi kojarzyć się z jego powrotami po pijaku. Od paru lat na szczęście wraca do innego domu. Któregoś dnia nie wróci nigdzie, nawet esperal nie powstrzymuje go od picia, tasują się tylko kolejne kliniki, w których jest odtruwany.

Moim podstawowym uzależnieniem jest muzyka. Osiągnąłem biegłość w programowaniu się nią. Odpowiednia sekwencja kawałków puszczona przed sylwestrem może rozjaśnić mi twarz na tyle, żeby dobrze się bawić. Kiedy człowieka ogarniają nocą głupie myśli, i czuję potrzebę drapania blizn, czy może nawet zamiany skaleczeń w rany, mam gdzieś pod ręką uniwersalny zestaw Sole'i, Sage'ów Francisów, Kiddów. I zawsze zastanawiam się po tym, ile czasu można robić nic, ile godzin spędzić na patrzeniu się w noc, aż mrok rozwarstwi się na kilka odcieni.

Nie zapomnę płyty, która towarzyszyła mi w pierwszym dniu, w którym dowiedziałem się, że będę ojcem. Byłem sam w domu, siedziałem kolejną godzinę w wannie, słuchając „Muzyki Poważnej", leczyłem kaca po wieczorze, jak przez mgłę przypominając sobie moją dziewczynę usiłującą dobudzić mnie rano z testem ciążowym w dłoni. I Pezet powtarzał kolejny raz w „Retro" – „Nie ma już rapu / jest kołyska, wózek, becik". To była jedna z najgorszych chwil w moim życiu. Teraz wiem, że rap będzie i uświadamiam sobie jak dużo nam dał. Owszem, to nie końcówka lat 60., a my nie jesteśmy hipisami. Niemniej jednak na nic nie zamieniłbym godzinnej kolejki z kurtką i godzinnej po kurtkę, tylko po to, żeby w „Scenie" zobaczyć na chwilę TDFa. Na bieżąco kolekcjonuję nowe chwile – trudno zapomnieć moment, w którym ośmiu finalistów WBW wyszło razem na scenę. Dla każdego w klubie nie liczyło się wtedy w życiu nic innego. Nawet to, że nasz fotoedytor wynajduje jakieś stare nagranie i z szyderczym błyskiem w oku pragnie udowodnić, że go nie znam, ma swój niepowtarzalny urok. Jednak jest coś, co w czasach totalnego triumfu kasy, coraz większej alienacji w natłoku elektronicznych gadżetów i braku wiary w cokolwiek jest w stanie jednoczyć zupełnie różnych ludzi wokół jednej idei. Niedawno wracałem z Imielina, zabieralem się właśnie za przejście przez Płaskowickiej, kiedy z okna na pierwszym piętrze dobiegły mnie dźwięki Taliba Kweli. Nie znałem osoby, która tam mieszka. Ale już ją lubiłem. W żadnym wypadku nie utożsamiam się z tym, co widzę w większości klubów – przeraża mnie to. To, że często mamy artystów zbyt ograniczonych, żeby odnaleźć ironię w recenzji swojej płyty powoduje, że cynizm przychodzi mi naturalnie. Ten nasz rap przypomina relację „ojciec-syn" w filmie „Pręgi". Bije się go, żeby był lepszy, żeby dał radę. Bywa jednak czasem na tyle słaby, że człowiek boi się, że nie podniesie się po kolejnym uderzeniu. Ale jednak poczucie więzi jest ponad to. I chciałbym, żeby trochę z tej atmosfery poczuł mój synek. Jak to rymuje Pe – „zanim głupia nienawiść spali jego tętnice".

A wam czego mogę życzyć? Chyba tylko „melodyjnych świąt".

Flintstone (CS)

politycy o hip-hopie
suplement

W poprzednim numerze mogliście przeczytać krótkie wypowiedzi polityków na temat hip-hopu. Jeden z naszych rozmówców, poseł SDPL pan Marek Borowski, odesłał odpowiedź już po zamknięciu numeru, dlatego macie możliwość przeczytania jej dopiero teraz.

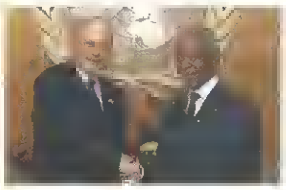

Droga Redakcjo,

Szczerze mówiąc niewiele wiem o hip-hopie, a odpowiadając Redakcji nie chciałbym sugerować się opinią innych.

Słyszałem tylko, że jest to kultura, muzyka tworzona przez środowiska młodzieży z wielkomiejskich osiedli, tzw. blokersów.

Przypuszczam, że jest to trochę taki ich „krzyk duszy" – bardziej istotny jest tekst niż sama muzyka, tekst jest raczej mówiony niż śpiewany. Na ile jednak ten „krzyk duszy" jest prawdziwy – nie wiem. Pewnie różnie z tym bywa. Każdy kiedyś chce „wykrzyczeć siebie", ale nie każdego stać na szczerość. Tym, których stać, gratuluję.

Nie znam graffiti będącego elementem kultury hiphopowej, to znaczy nie potrafiłbym odróżnić graffiti, które należy do tej kultury lub nie należy. Generalnie jednak graffiti spotykane na ulicach, budynkach i klatkach schodowych raczej nie służy ich ozdobie, więc to akurat – jeśli jest w ogóle elementem kultury hiphopowej – nie podoba mi się. Niektóre pociągi czy tramwaje ozdobione graffiti wyglądają ciekawie, nie wiem jednak czy pomalowano je za zgodą ich dysponentów, czy też nie i czy to też hip-hop.

Jeśli chodzi o ubiór, to tutaj akurat wiem, że hiphopowcy noszą spodnie z krokiem na wysokości kolana. Jak przystało na socjaldemokratę, jestem człowiekiem tolerancyjnym i nie wadzi mi to, pod warunkiem, że nikt nie zmusza mnie, abym takie spodnie nosił albo reklamował.

Nie kojarzę żadnych postaci związanych z hip-hopem – ani w Polsce, ani w innych krajach. Należę do pokolenia, które było zalascynowane muzyką rockową, polem polubiłem muzykę klasyczną.

Być może politycy powinni więcej wiedzieć o subkulturach młodzieżowych. Zastanawiając się nad Waszym pytaniem, wszedłem na portal Hip-Hop.pl, znalazłem też inne strony poświęcone tej tematyce. Jest co czytać, ale nawet po tej lekturze trudno by mi było poczuć się jakimś ekspertem w tej dziedzinie.

Pozdrawiam.

Marek Borowski

(zdjęcie Marka Borowskiego z Kofi Annanem pochodzi z oficjalnej strony internetowej posła www.borowski.pl)

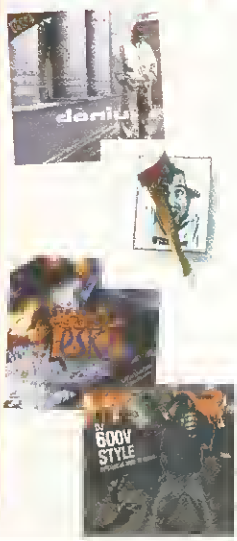

Jak zauważyliście, ten numer jest nieco inny od poprzednich. Chcemy Was zapytać, co jeszcze chcielibyście znaleźć w „Ślizgu". Nie wszystkie Wasze życzenia się spełnią, ale przy okazji możecie wygrać płyty. Zadbaliśmy o różnorodność, żeby każdy mógł wybrać, to co lubi. A teraz instrukcja obsługi:

1. Musicie wybrać nagrodę i na początku sms-a wpisać przysługujący jej prefiks.

O. S. T. R. „Jazzurekcja" – slizg1
DJ 600V „Style-Operacja zrób to głośniej" – slizg2
Doniu „Monologimuzyka" – slizg3
RapEskadra – slizg4
płyty DVD + CD Jay-z/Linkin Park – slizg5
kwartalna prenumerata „Ślizgu" – slizg6

2. Po wybranym prefiksie wpisać kropkę.
3. Po kropce wpisać odpowiedź na pytanie, o czym jeszcze chcielibyście przeczytać na łamach Ślizgu.
4. Wysłać SMS-a na numer 7178

UWAGA! SMS-y wysyłajcie od 24 grudnia do 21 stycznia. Długość sms-a wraz z prefiksem nie może przekraczać 160 znaków. Koszt jednego SMS-a to 1 zł + VAT (1,22 zł brutto). Usługa dostępna jest dla użytkowników telefonów ERA, IDEA, PLUS, HEYAH. Integratorem usługi jest Phonesat Sp. z o.o. Regulamin konkursu do wglądu w redakcji.

warszawa 101,5fm • łódź 104,5fm • olsztyn 91,9fm
gdańsk 92,0fm • gdynia 101,1fm • poznań 101,6fm
zielona góra 92,9fm • wrocław 106,9fm
kraków 93,7fm • rzeszów 96,4fm

(R)EWOLUCJA NA WWW.SLIZG.COM.PL:

Zmienił się wygląd naszego pisma, zmienia się też nasza strona. Rośnie, i to jak na drożdżach. Od teraz obiecujemy wam:
-CODZIENNE UPDATE'Y
-PUBLIKACJE NAJLEPSZYCH MATERIAŁÓW OD CZYTELNIKÓW, KTÓRE MOGĄ STAĆ SIĘ POCZĄTKIEM KARIERY W PAPIEROWYM MAGAZYNIE I BĘDĄ NAGRADZANE (PRENUMERATA, GADŻETY). PRZYSYŁAJCIE NAM ZDJĘCIA SPORTOWE, MUZYCZNE I GRAFFITI, TAPETY ORAZ WYGASZACZE, RELACJE Z IMPREZ, RECENZJE, ARTYKUŁY
-CHATY Z RAP GWIAZDAMI
-ANIMOWANIE IMPREZDWEGO INFO (ORGANIZATORZY – ŚMIAŁO PRZYSYŁAJCIE INFORMACJE!!!)
-GDRĄCE NEWSY Z ŻYCIA REDAKCJI

Informacje/przysyłanie materiałów: cess@slizg.com.pl lub na adres redakcji z dopiskiem „WSPÓŁPRACA Z SLG". CZEKAMY!

UWAGA!!! KONKURS

W związku z premierą płyty Eminem przysłał nam dla Was różne gadżety. Aby je zdobyć, musicie:

1. Wybrać nagrodę i na początku sms-a wpisać przysługujący jej preliks.

singiel „Just Lose It" – slizg7
singiel „Just Lose It" na winylu – slizg8
płytę „Encore" – slizg9
płytę „Encore" z bonusowym cd zwierającym trzy dodatkowe utwoty – slizg10
specjalny box „Encore" z bonusowym cd, zdjęciami Ema – slizg11
bluzę – slizg12
bezrękawnik – slizg13
smycz – slizg14

2. Po wybranym prefiksie wpisać kropkę.
3. Po kropce wymień co najmniej trzech artystów, z którymi Eminem był skonfliktowany.
4. Wysłać SMS-a na numer 7178

UWAGA! SMS-y wysyłajcie od 24 grudnia do 21 stycznia. Długość sms-a wraz z prefiksem nie może przekraczać 160 znaków. Koszt jednego SMS-a to 1 zł + VAT (1,22 zł brutto). Usługa dostępna jest dla użytkowników telefonów ERA, IDEA, PLUS, HEYAH. Integratorem usługi jest Phonesat Sp. z o.o. Regulamin konkursu do wglądu w redakcji.

bizaar bazaar
do poczytania

ZAPACH SZKŁA
Andrzej Ziemiański
FABRYKA SŁÓW

„Zapach szkła" to zbiór opowiadań, wcześniej publikowanych w rozmaitych pismach zajmujących się fantastyką. Niektóre z nich (opowiadań, nie pism) zdobywały nawet prestiżowe polskie nagrody, ale nie wiem, czy to na pewno dobrze o tychże nagrodach świadczy... Do rzeczy. Ziemiański ma niewątpliwie talent, udowodnił to cyklem „Achaja", którego trzeci tom niedawno się ukazał. Świeże pomysły, interesujące postaci, fajnie wykorzystany klimat Wrocławia (tu rozgrywa się akcja większości opowiadań). To i tak dużo, ale mogło być naprawdę świetnie. Niestety, owe dobre pomysły nie idą w parze z dobrym wykonaniem. Stylistyczne niedociągnięcia, momentami boleśnie szkolne dialogi, niektóre rozwiązania rodem z internetowego serwisu www.wielkarzeczpospolita.net (kto nie wie, o co chodzi, niech sprawdzi) – to wszystko sprawia, że przebrnięcie przez niektóre fragmenty zbioru to naprawdę ciężka praca. Szkoda, bo wystarczyłoby przejrzeć jeszcze raz teksty, poprawić, odchudzić (taka na przykład „Legenda" mogła wiele zyskać, gdyby była krótsza o kilkanaście stron) i mielibyśmy całkiem udaną książkę. A tak otrzymujemy zbiorek zaledwie poprawny, z którego opowiadania lepiej sobie dawkować, niż czytać „jednym tchem". (jd)

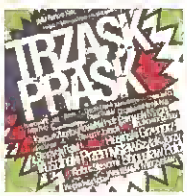

TRZASK PRASK
Bartosz Kurc
BAJKA

„Trzask Prask" to zbiór wywiadów z polskimi twórcami komiksu, dla miłośników tej sztuki rzecz nieoceniona. Znaleźli się tu zarówno klasycy (Butenko, Christa, Papcio Chmiel), jak i popularni młodzi artyści (Gawronkiewicz, Truściński, Adler, Leśniak i Skarżycki), nie zabrakło też oczywiście naszych ludzi na Zachodzie, czyli Rosińskiego i Kasprzaka. Co więcej, mamy tu wywiady z ludźmi, którzy swój wkład w polski komiks mieli, ale teraz są raczej pomijani przez media (np. Marek Szyszko czy scenarzysta „Kapitana Klossa" Mieczysław Wiśniewski). A że Kurc to dobry rozmówca, to rozmowy prowadzi dynamicznie, wyciągając ze swoich gości dużo ciekawych informacji. Wywiadów jest sporo, choć zabrakło tu kilku znaczących nazwisk (Mleczko, Śledziu i jeszcze wielu innych, ale nie ma sensu ciągnąć kolejnej wyliczanki). Podsumowując: porządna, ciekawa lektura. Oby stała się dobrym startem do drugiego tomu wywiadów, albo – jeszcze lepiej – do solidnego podsumowania polskiego komiksu ostatnich kilkudziesięciu lat. (jd)

RING
Koji Suzuki
ZNAK

Horror made in Japan stał się jakś czas temu wyznacznikiem jakości w filmach grozy. Zaskakujące rozwiązania, budowanie napięcia przez klimat, a nie drastyczne sceny i egzotyka filmów z Kraju Kwitnącej Wiśni sprawiły, że nazwiska takie jak Takashi Shimizu czy Hideo Nakata siedzą głęboko w umysłach wielbicieli horroru. Zwłaszcza ten ostatni, dzięki serii „Ringu" („Krąg") stał się u nas popularny. Warto więc zapoznać się z książką, która jest pierwowzorem cyklu.

Koji Suzuki wydał „Ring" na początku lat 90. i bardzo szybko powieść stała się w Japonii hitem. Młodzi Japończycy zobaczyli w jej bohaterach siebie samych, a i tematyka (źródłem zagrożenia jest tu przecież jeden z ówczesnych symboli nowoczesnej techniki, czyli kaseta video), połączona z nawiązaniami do tradycyjnych wierzeń przypasowała czytelnikom. Główną postacią książki jest dziennikarz, który bada sprawę niewyjaśnionych śmierci kilkorga nastolatków. Szybko okazuje się, że każdy z nich na tydzień przed gwałtownym zgonem obejrzał tajemniczą kasetę. Reporter postanawia zbadać temat dogłębnie i sam staje się ofiarą klątwy. Zostaje mu tylko siedem dni na rozwiązanie tajemnicy... „Ring" to świetna, trzymająca w napięciu literatura. Po prostu. Nietrudno wyłapać wszelkie zmiany, jakich dokonał Hideo Nakata w jej ekranizacji, jeśli widzieliście film wcześniej (tak, jak ja), to znacie już zakończenie, ale zapewniam, że to nie przeszkadza w lekturze. Polecam zdecydowanie. (jd)

DJ SPOX I ŚLIZG PREZENTUJĄ - NIELEGALNY MIXTAPE.
JUŻ W PRZYSZŁYM NUMERZE!

radiostacja
muzanowejgeneracji

TopLogo.pl
Phonesat Sp. z o.o.
Gry Java
Super Dzwonki
Hot Tapety
infolinia: 0708-188-008
Koszt za minutę połączenia 0,29 - 0,35 groszy z Vat.

DZWONKOWE NOWOŚCI

			MONO	POLI
		SMS+	7216	7516
1.	Dragostea din tei:: O-zone	▲	3	205577	601267
2.	Dla Mnie Masz Stajla:: Trzeci Wymiar	△	6	205952	601351
3.	Here I Go Again:: Marta Wisniewska	▽	12	205982	601417
4.	Nothing else matters:: Metallica	△	5	204784	601172
5.	Only you:: 112	▽	9	205565	601255
6.	Stacja Warszawa:: Lady Pank	▭	1	205959	601392
7.	Satisfaction:: Rollingstones	▲	5	204807	602118
8.	Asereje:: Las Ketchup	▭	7	202794	600162
9.	Blue:: Zucchero,Bono	▽	9	206328	601642
10.	Bo jestes Ty:: Krzysztof Krawczyk	△	12	203292	600122
11.	Children:: Miles Robert	▽	3	200091	600438
12.	Czerwone Korale:: Brathanki	△	5	200331	600155
13.	Yeah:: Usher	▽	11	205397	601226
14.	Gangsta paradise:: Coolio	△	7	204791	601180
15.	Pump it up:: Danzel	▲	2	207066	602083
16.	Kochać kobiety:: Ich Troje	▭	7	202900	600118
17.	Fuck it:: Floridainc	▲	6	206076	601551
18.	Makumba:: Big Cyc	▭	3	203418	600063
19.	Jak się masz kochanie:: Happy End	▲	8	203554	600101
20.	Hey ya:: Outkast	△	5	204781	601170
21.	Bohema:: Wilki	▬	12	206725	601904
22.	God Is A DJ:: Faithless	▽	3	202739	600518
23.	Don't Hurt Yourself:: Marillion	▬	1	207822	602548

GRY JAVA

SMS+ 7916

TOP HITY teraz w Twoim Telefonie!

800161

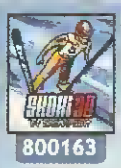

800163

800164

205

800167

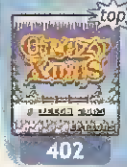

402

200

718

800098

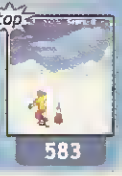

583

TAPETKI !

SMS+ 7516

Najlepsze Tapety w Twojej Komórce!

4928

3725

4934

4931

4938

3807

4939

4942

4945

4944

3750

4943

4908

4909

4912

3776

4911

4910

4918

3783

4916

Jeśli chcesz odsłuchać dzwonek w telefonie stacjonarnym zadzwon pod numer 0708-188-009 i postępuj zgodnie z instrukcja usłyszana w słuchawce. Koszt połaczenia: 0,29 - 0,35 PLN z Vat
Dzwonek monofoniczny: Nokia,Samsung: **SMS 7216** o treści **ASL.nr dzwonka** Siemens: **SMS 7216** o treści **ASL.Snr dzwonka** Aby wysłać dzwonek znajomemu **SMS 7216** o treści **ASL.nr dzwonka.nr telefonu** dla Nokii i Samsunga lub **ASL.Snr dzwonka.nr telefonu** dla Siemensa. Koszt 2,00 - 2,44 PLN z VAT
Dzwonek polifoniczny: SMS 7516 o treści: dla Nokii **ASL.xxxxxx** dla Siemensa **ASL.Sxxxxxx** dla Motoroli **ASL.Vxxxxxx** dla Sony Ericsson **ASL.Exxxxxx** Aby wysłac znajomemu: dla Nokii **ASL.xxxxxx.nr znajomego** dla Siemensa **ASL.Sxxxxxx.nr znajomego** dla Motoroli **ASL.Vxxxxxx.nr znajomego** dla Sony Ericsson **ASL.Exxxxxx.nr znajomego** Gdzie xxxxxx to numer dzwonka. Koszt 5,00 - 6,10 PLN z VAT
Kolorowe Tapetki: SMS 7516 o treści dla NOKII: **ASL.125**xxxx 3510i, 3530, 8910i **ASL.225**xxxx 3330, 5100, 6100, 6220,6610, 6800, 7210, 7250 **ASL.325**xxxx 3650, 7650 **ASL.425**xxxx 6650 SIEMENS: **ASL.S25**xxxx m55, s45, s55, sl55 MOTOROLA: **ASL.V25**xxxx t720, t720i, t722i SAGEM: **ASL.G25**xxxx My x5, x6 ERICSSON: **ASL.E25**xxxx t300, t310, t610 Gdzie xxxxxx to numer tapetki , KOSZT 5,00 - 6,10 PLN z Vat.
Gry Java: SMS na numer **7916** o treści: **TASL.nr gry** dla aparatów Nokia 5100, 6100, 6610, 7210, 7250 **TASL.2nr gry** dla aparatów Nokia 3510i, 3530, 3560, 8910i **TASL.3nr gry** dla aparatów Nokia 3650, 3660, 7650 KOSZT 9,00 - 10,98 PLN z Vat

Wszystkie uwagi i reklamacje prosimy kierowac pod adres bok@phonesat.pl lub telefonicznie 0708-188-008 koszt połaczenia 0,29 - 0,35 gr/min z Vat. Uczestnicy serwisu zamawiający usługi wyrażają zgode na wykorzystanie przez Phonesat Sp.z o.o. ich numerów w celu przesyłania ofert handlowych. Uczestnicy serwisu maja prawo do wglądu, poprawiania oraz usunięcia swoich numerów

Phonesat

PRZYPŁYWY
refleksy na witrynie

Wszystkie te reklamy z Mikołajem, billboardy z choinką i promocje w supermarketach nastrajają mnie świątecznie i skłaniają do refleksji ostatecznych. To, oczywiście, pewna przewrotność kryjąca się w przebrzydłej komercjalizacji świąt. Kto wie, kim był święty Mikołaj? Albo po co dzielimy się opłatkiem? Ha? Większość śmiertelników biega jak kot z pęcherzem po mallach, a ja patrzę na to z góry i ocieram łezkę. Bo zawsze przypomina mi się moja młodzieńcza przygoda (nie próbujcie w domu) z chemikaliami na trzy literki, gdy to po nocy spędzonej między „Opowieściami z Narni" a teorią względności Einsteina, będąc o krok od przybicia „piątki" ze Stwórcą, zostałam zmuszona przez mamę do zakupów w pobliskim supermarkecie. Wierzcie mi, zderzenie było jak z TIR-em.

Podobnie czuję się teraz, gdy liźnięta duchowością i podszyta dziennikarską ciekawością śledzę przedświąteczny chaos. Takie obserwacje skłaniają do refleksji, skłaniają do rocznych podsumowań. A te są różne.

Na polu polskim ten rok należał bez dwóch zdań do Tytusa i Remika. Cóż, szkoda, że tak jak głosi napis na świecach Caritasu: „najbardziej potrzebujący proszą najciszej", tak najbardziej utalentowani najmniej się chwalą. W ten oto sposób Łona, Pezet i Noon, Tworzywo a nawet Ostry z wysmakowanego Asfaltu giną gdzieś w morzu dusznych i zaściankowych numerów lansowanych, jak zwykle agresywnie, przez UMC. A przecież w muzyce musi być przestrzeń – na emocje, interpretacje i chwile przemyśleń. To właśnie jest w niej najlepsze!

Jeśli chodzi o liczby, czy to nagród, czy zagranych koncertów. Wygrywa kto? Sistars oczywiście, z wynikiem naście statuetek stłoczonych na kuchennym parapecie i ponad setką zagranych koncertów. Rekord, przy którym każdy komentarz blednie, więc się powstrzymam.

Podsumowanie imprez: były Ślizgery, ale nikt mnie nie zaprosił. Było De La Soul, ale chyba sobie ubzdurałam, że jako dziennikarz (już nie mówię, że jako raperka, czy choćby znajoma) mogę wejść na „gębę". Bongos Promocja mnie nie wpuściła.

Warto odnotować także moją wizytację na jednej z Platinum Nights organizowanych przez M. Konkreta w warszawskim klubie Scena, która o mały włos nie zakończyła się rękoczynem. Koniec końców doszło do sceny (nomen omen) z udziałem dziennikarki w roli klientki lokalu, pana Miecia od kabli w roli menadżera klubu oraz świnki Piggy w roli właścicielki. Oddać honory muszę organizatorowi, który, choć w sporze mi nie pomógł, to i, wyjątkowo, nie zaszkodził! Na koniec nie zapomnijmy o Kelis. Serdeczne pozdrowienia ślę!

A co tam panie w wielkim świecie? The Neptunes mnie rozczarowali, a na kult Kanye Westa jest według mnie jeszcze za wcześnie. Wracam więc jak syn marnotrawny do Timbalanda (minęły lata, a ja zasłuchuję się w Bubba Sparksie, Magoo i Aaliyah). Nic w tym roku jakimś cudem nie wbiło mnie w fotel – żaden debiut, żadna kontynuacja. Trochę lękam się ostrych sformułowań, ale można chyba mówić o regresie. Najbardziej odjechanej płyty roku nie znalazłam na regałach z tabliczką hip-hop. Choć podnoszę palec do góry i przypominam, że na „Medulli" Bjork udzielał się gęsto przynajmniej nasz rycerz – Rahzel.

Nie było tylko źle. Mistrzowo było choćby na Seanie Paulu, mimo że lato, jakby Aniołowie z wiader wylewali. Tym, co nie byli, pokazuję tigę z makiem, bo i sam S.P. miły, wyglądny i, o dziwo, wysoki gość, a i jego tancereczki w kusych wdziankach bardzo przyjemne dla oka. Podziwiałam tempo, w jakim zmieniały stroje do niemal każdego kawałka i z jakim animuszem robiły pompki na jednej dłoni. Zdrowe jamaican girlz!

Zresztą, co tu się będę rozwodzić nad pomniejszymi historiami, skoro miałam zaszczyt występować i prowadzić wielce kulturalne rozmowy na Dniach Kultury Polskiej w Lille oraz grać koncert promujący Unię Europejską na Chreszczatiku w Kijowie z twarzą zwróconą w stronę monumentalnego Hotelu Ukraina (tak, tak, na tej scenie, na której pół roku później występował Juszczenko na zmianę z Edytą Górniak).

Dosłownie kilka dni temu siedząc w samochodzie, jak w oldskulowym żarcie z Polakiem, Turkiem i Murzynem, przesłuchałam przedpremierową wersję polsko-francuskiej składanki hiphopowej i choć przygotowana byłam na rzeź, okazała się zaskakująco dobra i świeża. Nawet raper T i zespół A (nie podaję, bo, sami rozumiecie, jest przed premierą), jak się okazało potrafią nagrać dobry numer. To naprawdę dobra wiadomość!

Podobnie jak ta, że Łukasz Kamiński i Monia Dąbrowska zgodnym chórem twierdzą, iż w tym roku miał miejsce najlepszy koncert, jaki w życiu widzieli. Oczywiście w Berlinie. I oczywiście The Roots. Wypieki, jakie mieli na twarzy dają znękanemu zimową depresją człowiekowi nadzieję, że nie wszystko dla hip-hopu stracone. Jeszcze niejedna gwiazda zaświeci...

Fala

Prosta reguła
SMS 10 gr z VAT
Gdyby milczenie nie było jednak Twoim powołaniem
– 39 groszy z VAT za minutę rozmowy.
Zestaw z telefonem 179 zł z VAT
Szczegóły: www.simplusteam.pl
simplus TEAM

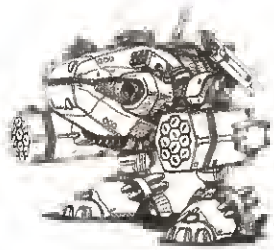

Half-Life 2
(Valve)

Z prawie półtorarocznym opóźnieniem (związanym z wykradzeniem kodu źródłowego – taka jest przynajmniej wersja oficjalna) pojawił się na półkach sklepowych całego świata – także i w Polsce – Half-Life 2. Od kiedy Valve oficjalnie poinformowało, że pracuje nad kontynuacją Half-Life'a, serca chyba wszystkich graczy zabiły żywiej. Ale od razu też pojawiły się pytania, czy HL 2 dorówna pierwowzorowi, czy nie okaże się porażką? Cóż, historia ciągów dalszych znanych lpsów nie nastrajała zbyt optymistycznie... Unreal: The Awakening, Doom 3 zostały przyjęte raczej chłodno. Czy więc i HL 2 nie dołączy do tej grupy, wielkich – przegranych? Żeby nie trzymać nikogo w napięciu, od razu powiem, że nie. Half-Life 2 WYMIATA. Po prostu. I na tym należałoby zakończyć recenzję, ale tak łatwo niestety nie ma...

Zacznijmy więc od największej wady – jeśli to wada. Otóż żeby w ogóle zagrać w HL 2, nawet w trybie singleplayer, musimy się zarejestrować przez Internet. W normalnym świecie, gdzie każdy ma dostęp do w miarę szybkiego i w miarę taniego Internetu (podobno rządzimy w Europie, jeśli chodzi o opłaty za dostęp do sieci), bez problemu się zarejestruje i gra bezstresowo. Tu, w pięknym nadwiślańskim kraju szybki Internet w domu to nadal bajka. Więc zasadniczo ci, którzy nie mają netu w domu mogą sobie odpuścić HL 2.

——Zaś sama gra... no, po prostu Gordon Freeman – twardziel z konieczności powiócił! I to jest najważniejsze! Oczywiście, grafika – ale widzieliśmy ją wcześniej na filmach – jest naprawdę dobrze (choć pojawiają się głosy, że światło nie takie, jak trzeba, że to nie Doom 3, ale pokażcie mi, gdzie w nowym Doomie widać te wszystkie bajery?), przyjrzyjcie się wodzie – kiedyś tak się reagowało na jej widok w Morrowind – rewelacja.

Fizyka, hm... widzieliśmy na filmikach, jak się podnosi różne przedmioty, jak różne rzeczy spadają. Ale trzeba dopiero zagrać, by docenić nakład pracy programistów. HL 2 jest chyba pierwszą grą, oddającą prawie że idealnie prawa fizyczne rządzące naszym światem. AI, czyli sztuczna inteligencja – jest dobrze – w końcu to Half-Life:). Fabuła – kto choć trochę się interesował wcześniej historią HL 2 wie, że nie wracamy do Black Mesy. Pojawiamy się w dziwnym, przerażającym mieście City 17, jakby żywcem wyjętym z komunistycznego koszmaru. Oczywiście nie tylko tam dane nam będzie kierować Gordonem Freemanem, ale o tym sami się musicie przekonać, co będzie dalej i czy możliwy jest ciąg dalszy (oczywiście...). Jednakże Half-Life to przede wszystkim klimat – nie tylko grafika, fizyka, czy inne bajery (giwery, przeciwnicy itd., choć właśnie to wszystko składa się na klimat...), i muszę bez bólu powiedzieć, że choć to nie Black Mesa, znów czułem zimny pot na plecach. Half-Life 2 to znakomita kontynuacja przygód Freemana.

Co więcej? Otóż razem z grą dostajemy nowego-starego Counter Strike'a, nowego, bo nowa grafika, starego, bo właściwie nic się poza grafą nie zmieniło. Jeżeli jednak chwilę odczekamy i popytamy się o inną edycję HL 2, dostaniemy w pudełeczku jeszcze pierwszego HL, ale działającego na silniku graficznym Source, który jest odpowiedzialny za wygląd HL 2. Wesołych świąt, mister Freeman!

Odrobina historii...

W 1998 roku nowa firma produkująca gry, Valve, pokazała swe pierwsze dzieło zwące się Half-Life. Odpowiedzialnością za to oraz to wszystko, co stało się potem, należy obwiniać dwóch byłych pracowników Microsoftu: Gabe'a Newella i Mike'a Harringtona (Harrington obecnie nie pracuje już w Valve), którzy za odprawę z firmy Billa Gatesa założyli własny biznes i postanowili robić gry komputerowe. Wystarali się o silnik graficzny Quake'a 2, uważany wtedy za jeden z najlepszych (oczywiście, dopóki nie pojawił się Unreal, he he) i prawdę rzekłszy nie mając zbyt dużego doświadczenia w dziedzinie rozrywki elektronicznej zabrali się do roboty. Efekt ich pracy jest wszystkim znany. HALF-LIFE. Co tu dużo mówić (lub pisać), Half-Life zrewolucjonizował pierwszoosobowe strzelanki komputerowe i pokazał, jak tego typu gra może wyglądać. Skończyły się misje polegające tylko na bezmyślnym fragowaniu przeciwników i zaliczaniu kolejnych etapów misji oraz obowiązkowej walce z bossem (w HL – niestety dla mnie – nadal trzeba pokonać jakiegoś superstwora, ale nie przesadzajmy w drugą stronę). Główny bohater nie był – w końcu! – superherosem w kusym wdzianku z mieczem albo maszyną do zabijania z arsenałem godnym Schwarzeneggera i Stallone'a razem wziętych. Gordon Freeman, naukowiec z tajnego laboratorium Black Mesa, był takim samym człowiekiem jak my, i chyba dlatego tak łatwo mogliśmy się wczuć w klimat gry.

Nic dziwnego, że pojawiły się dodatki do HL, nie ustępujące mu jakością – i co ciekawe – nawiązujące do niego tak ściśle fabułą, że... działy się w tym samym czasie! W Half-Life: Opposing Force wcielamy się w Shepharda, jednego z komandosów atakujących kompleks Black Mesa, którzy w HL mieli wyeliminować wszystkich świadków wydarzeń – w HL: OP sam musi walczyć o życie. W HL: Blue Shift jesteśmy strażnikiem Barneyem Calhounem, który również znalazł się w centrum wydarzeń i musi uratować swój tyłek. Takie powiązanie scenariuszowe dodatków do HL świadczy tylko o naprawdę niezłym główkowaniu gości z Valve (jeśli graliście w dodatki, to pewnie pamiętacie, że grając Barneyem bądź Shephardem, spotykamy na swej drodze właśnie Gordona Freemana!).

Ale to nie koniec historii HL. Jak każda gra, która zdobyła światową popularność, stanowiła smakowity kąsek dla społeczności koderów, moderów i innych wariatów, którzy zaczęli przerabiać HL wg własnego uznania. Dzięki temu powstała chyba najpopularniejsza na świecie sieciowa gra: Counter Strike, pierwotnie zwykły mod, w której wcielamy się terrorystę bądź antyterrorystę. Dziś nie można sobie wyobrazić kolejnej edycji HL (Half-Life Generation) bez tego moda. Inne modyfikacje, które doczekały się pudełkowych wydań to choćby Day of Defeat, multiplayerowa rozgrywka w realiach drugiej wojny światowej, lub Gunman Chronicles (akcja dzieje się w przyszłości, na planecie, gdzie żyją dinozaury, a naszymi przeciwnikami są futurystyczni... kowboje), który od razu pojawił się jako gra (twórcy, producenci, doszli do wniosku, że jest to zbyt dobry produkt, by był rozprowadzany na zasadzie modyfikacji – czyli za darmo:). Do innych ważnych modów należą np. Team Fortress Classic, czy HL Deathmatch, będący dokładnym odwzorowaniem map z Quake'a 1, tyle że na lepszym silniku graficznym. Powstawały (i powstają) również mniejsze lub większe dodatki do trybu singleplayer. W niektórych znów wracaliśmy do Black Mesy, ale... Obcy byli naszymi sprzymierzeńcami, w innych dostawaliśmy różnych pomocników (dziewczynę Barneya).

O HL można by napisać książkę, a tu z racji miejsca, musimy się ograniczyć do najważniejszych informacji. Jeśli jednak zainteresowała was postać Gordona Freemana, tajemnice Black Mesy, to zacznijcie swe poszukiwania (oprócz samego grania) od jednego z największych serwisów poświęconych HL: www.planethalflife.com. Zajrzyjcie także na oficjalną stronę HL 2: www.half-life2.com. Na początek wystarczy:. gad

komiks
recenzje

ODMIENIEC: TRZY
scenariusz: Mariusz Gradowski i Marek Oleksicki
rysunki: Marek Oleksicki
MANDRAGORA

Rysunki Marka Oleksickiego czytelnicy Ślizgu znają na pewno dobrze. Pora więc przyjrzeć się jego albumowemu debiutowi, czyli „Odmieńcowi". Tytułowy bohater to postać zaczerpnięta z ludowej mitologii, wychowywany przez ludzi syn dziwożony, wygnany na tułaczkę przez swoich współplemieńców. Niewiele się jeszcze o nim dowiemy. Odmieniec żyje z dala od ludzi, między światem realnym, a mroczną domeną widm i upiorów. Czasami broni ludzi przed ingerencją demonicznych intruzów. Na pierwszy tom komiksu składają się trzy nowelki, inspirowane ludowymi podaniami i wierzeniami, pochodzącymi głównie z południowej części Polski. Utrzymane w poetyce baśniowego horroru są dowodem na to, że w naszej rodzimej mitologii tkwi olbrzymi potencjał, który można efektownie przełożyć na język komiksu. Pomysłów nie powinno zabraknąć.

Pod względem graficznym komiks prezentuje się świetnie. Owszem, widać, że mistrzem Oleksickiego jest Mike Mignola, całość utrzymał w klimacie prac autora „Hellboya" – od operowania światłem i cieniem, po kompozycję niektórych kadrów (swoją drogą w warstwie tekstowej też widać tę fascynację). Ale nie jest to wcale zarzut. Po pierwsze, Mignola to rysownik olbrzymiej klasy i jeśli kogoś twórczo inspiruje, to można się tylko cieszyć. Po drugie, widać, że Marek dąży do wykształcenia własnego, rozpoznawalnego stylu, choćby w ostatniej nowelce „Cyganie". Naprawdę, jest bardzo dobrze, a może być jeszcze lepiej. Dawno żaden debiutancki album nie zrobił na mnie aż tak dobrego wrażenia. Pojawiła się przy okazji szansa, żeby „Odmieniec" z biegiem czasu rozrósł się w interesujący, bogaty cykl, w którym poszczególne wątki będą się ze sobą wiązać, a pokazany w nim świat zdobędzie naprawdę oddanych fanów... Może się trochę rozpędziłem, więc skończę recenzję dwoma apelami. Do czytelników: czytajcie, bo warto. I do autorów: nie zmarnujcie tej szansy. Pierwszy tom naprawdę się wam udał. (jd)

KONKURS! Mamy dla was pięć albumów „Odmieńca". Aby je wygrać, musicie odpowiedzieć na pytanie – chyba proste dla stałych czytelników – ile okładek Ślizgu narysował do tej pory Marek Oleksicki. No to wertujcie roczniki pisma, a odpowiedzi przesyłajcie na mail: hellboy@slizg.com.pl.

WOLF'S RAIN
scenariusz: Bones, Keiko Mobumoto
ilustracje: Toshitsugu Iida
JPF

Kiedy „mangacy" zabierają się za snucie wizji przyszłości, rzadko kiedy bywają optymistami. I tym razem nie będzie wyjątku. Manga „Wolf's Rain", komiksowa adaptacja popularnego anime daleka jest od pogodnych prognoz. Wybiegając w przyszłość, poznajemy świat po upadku, pogrążony w rozkładzie. Z trudem odnajdują się w nim ludzie, ale przeżycie jest jeszcze większą sztuką dla wilków. Te dzikie zwierzęta, potrafiące przybierać ludzką postać, poszukują drogi prowadzącej do legendarnego raju. Tyle że nie nikt nie jest pewny jego istnienia.

„Wolf's Rain" to ciekawie opowiedziana, nastrojowa historia z pogranicza futurystycznego science-fiction i natchnionego duchem legend fantasy. Słowem kawał solidnego mangowego rzemiosła. Czy polecam? Jasne, że tak. /sr/

CONAN tom 1
scenariusz: Kurt Busiek
ilustracje: Cary Nord, Thomas Yeates
EGMONT

Nowa seria komiksów o przygodach barbarzyńcy z Cimerii, którego powołał do życia w swoich opowiadaniach amerykański pisarz Robert E. Howard. Conan już dawno stał się ikoną popkultury, pojawił się w licznych komiksach, dziesiątkach książek pisanych przez epigonów Howarda i, oczywiście, w dwóch filmach, w których wojownika zagrał gubernator Schwarzenegger. Dark Horse jakoś na początku 2004 roku wydał pierwsze zeszyty z nową wersją komiksu i dość szybko ogłosił, że to był strzał w dziesiątkę. Rzeczywiście, komiks jest co najmniej bardzo udany. Trzyma klimat najlepszych opowiadań Howarda, buduje postać Conana powoli, ale konsekwentnie, na dodatek jest narysowany fajną, nowoczesną kreską i świetnie kolorowany. Mamy tu wszystko, czego od opowieści o barbarzyńcy można się spodziewać: dużo przemocy, walki i krwi, trochę elementów fantastycznych, prosto, ale ciekawie zarysowany świat. Heroic fantasy pełną gębą, na dodatek w mistrzowskim wykonaniu. Swoją drogą, Dark Horse wydaje od jakiegoś czasu kapitalnie przygotowaną reedycję klasycznych komiksów o Conanie. Może tak kiedyś i u nas... Ech, marzenia. (jd)

PLASTELINA 2
scenariusz i rysunki: Krzysztof Ostrowski
KULTURA GNIEWU

Krzysiek Ostrowski ostatnio nieco mniej uwagi poświęca tworzeniu komiksów, a więcej udziela się w Cool Kids Of Death. Ale co jakiś czas można przeczytać jego nowe dzieło. Teraz ukazał się drugi tom „Plasteliny", zebranych jednoplanszowych (a częściej nawet jednoobrazkowych) żartów, publikowanych wcześniej na łamach prasy. No, trzeba przyznać, że lektura to niezwykła. Surrealistyczne, dziwaczne gagi mniej odpornych czytelników mogą co prawda oburzyć, ale wyczuleni na dobrą i inteligentną rozrywkę będą się przy „Plastelinie" bawić doskonale. O zawartości tomiku trudno napisać coś konkretnego, w sumie każda strona to inny żart, aż dziw, że wszystkie trzymają równy poziom. Zresztą, co tu dużo gadać. „Plastelinę" trzeba po prostu czytać, a nie wgłębiać się w jakieś tam analizy. (jd)

THORGAL tom 28 KRISS DE VALNOR
scenariusz: Jean Van Hamme
rysunki: Grzegorz Rosiński
EGMONT

Niekończących się przygód dzielnego wikinga i jego udręczonej rodziny ciąg dalszy. Przypomnijmy: Aaricia, Jolan i Louve zostali oddani w niewolę cesarskiemu namiestnikowi, natomiast otruty przez rywala Thorgal pozostawiony na śmierć na skalnej wyspie. Nasz bohater jednak przeżył, zaś jego żona i dzieci uciekają z niewoli dzięki pomocy swego odwiecznego wroga, czyli przebiegłej i mocno zdeprawowanej Kriss De Valnor. Ich tropem podąża cesarskie wojsko, a cała sytuacja komplikuje się, gdy Kriss ujawnia dziecko jej i Thorgala (spłodzone w czasach, gdy wiking stracił pamięć).

Najkrótszą celną recenzję tego albumu wygłosił Toyboy, który po przeczytaniu komiksu stwierdził, że „robi się z tego Dynastia". Może nie jest aż tak źle, ale faktycznie tkwi w tym ziarno prawdy: pojawiające się na nowo już dawno zapomniane postaci, niespodziewani potomkowie, cokolwiek łzawe i pretensjonalne rozwiązania. Czuć w tym lekkie zmęczenie materiału, zwłaszcza po bardzo dobrym „Barbarzyńcy". Natomiast Rosińskiemu przydała się odskocznia i „odświeżenie ręki" w postaci „Zemsty hrabiego Skarbka", dzięki temu rysunki w „Kriss De Valnor" są naprawdę dobre, jakby autor tchnął sporo nowego życia w postaci, które rysuje od trzydziestu lat. Na całość nie będę więc za bardzo narzekał, mimo wszystko „Thorgal" jest zajawkowym komiksem. No i serią – o czym zapomnieć nie można – której polski rynek komiksowy naprawdę dużo zawdzięcza. (jd)

GODSPEED
scenariusz: Barnaby Legg, Jim McCarthy
rysunki: Flameboy
IN ROCK

„Historia Kurta Cobaina w obrazach" głosi podtytuł tego albumu i w zasadzie niewiele więcej trzeba dodawać. Rzeczywiście, komiks poświęcono karierze lidera Nirvany, od czasów dzieciństwa, aż po samobójczą śmierć. Nie unika niewygodnych aspektów życia muzyka (trudno zresztą byłoby ich uniknąć), takich jak uzależnienie od heroiny. Jednocześnie jest próbą nie tylko zrozumienia tego, co siedziało w głowie Cobaina, ale i niejako wybielenia jego postaci w oczach odbiorców. Szkoda tylko, że niezłe fragmenty są przeplatane pseudopsychologicznymi rozkminkami, ale może to właśnie jest droga do lepszego poznania frustracji, problemów i schiz wokalisty. Autorem ilustracji jest niejaki Flameboy, którego rysunki są proste, czytelne, czasami niestety kiczowate (choć tu akurat może być to wynikiem ingerencji scenarzystów, wszystkie te kwiatki i aniołki), ale w sumie łatwo przyswajalne i nieźle ilustrujące wszelkie paranoje bohatera. Całość jest przyzwoita, da się czytać bezboleśnie, choć najbardziej zachwyceni będą zagorzali wielbiciele zespołu z Seattle. (jd)

VIENIO & PELE

AUTENTYK 3

styczeń 2005

etylina

genuine city wear

+48 22 575 54 26

recenzje filmowe

WŁADCA PIERŚCIENI POWRÓT KRÓLA

reż. Peter Jackson
WARNER BROS.

O wieńczącym tolkienowską trylogię filmie pisaliśmy już przy okazji premiery kinowej i dvd, ale wydanie specjalne jest naprawdę warte uwagi, więc dorzucimy jeszcze kilka słów. Wydanie jest naprawdę dopasione: kilkanaście godzin dodatków, tradycyjnie już urozmaiconych i ciekawych, ładne wydanie (limitowana edycja zawiera też miakietę Minas Tirith), ale oczywiście najważniejszy jest tutaj film. Ponad czterdzieści minut dłuższy od wersji podstawowej i nie jest to jedynie sztuczne wydłużanie niektórych scen, nie brakuje bowiem sekwencji, których w kinowej wersji nie było. A wśród nich na czoło wysuwa się scena ostatecznej rozprawy z Sarumanem – rewelacja. Wszystkie pozostałe zresztą jej nie ustępują, idealnie wpasowując się w film. Dopiero teraz widać, o ile uboższa była wersja kinowa „Powrtou Króla". Warto poświęcić z górą cztery godziny na ten seans, bo tak jak w przypadku poprzednich części, to niezapomniane przeżycie. Jednocześnie ukazuje się też specjalne, dwunastoptytowe wydanie wszystkich części, rarytas, niestety dostępny – z racji ceny – tylko nielicznym kinomanom. (jd)

CZEKAJĄC NA JOE

reż. Kevin Macdonald
MAYFLY

Film oparty na faktach, opisanych przez Joe Simpsona w książce „Dotknięcie pustki". Opowieść o morderczej wyprawie w peruwiańskie Andy, którą odbyli Simpson i Simon Yates, by zdobyć szczyt Siula Grande, idąc najbardziej wymagającą, zachodnią ścianą szczytu. Wyprawa okazała się najtrudniejszą w ich alpinistycznej karierze... Film ma nietypową konstrukcję, jest bowiem fabularyzowanym dokumentem, komentowanym przez jego uczestników. Trzyma jednak w napięciu lepiej niż niejedno zmyślone dzieło sensacyjne, na pewno też przerasla o dwie klasy większość filmów fabularnych poświęconych górom. Jego siłą jest niewiarygodne wręcz odwzorowanie wydarzeń, mamy wrażenie, jakby cała ekipa naprawdę towarzyszyła Simpsonowi i Yatesowi w ich drodze przez górskie piekło. Poruszający, wciągający i cholernie prawdziwy film. Na długo zostaje w głowie. (jd)

POWRÓT DO PRZYSZŁOŚCI – TRYLOGIA

reż. Robert Zemeckis
UNIVERSAL

„Powrót do przyszłości" to trylogia Roberta Zemeckisa, świetnie broniąca się po latach klasyka filmu przygodowego. Mamy nadpobudliwego nastolatka (Michael J. Fox), genialnego naukowca, machinę do przenoszenia się w czasie. Co z tego może wyniknąć? Ano szalone podróże – od przeszłości sięgającej dzikiego zachodu, po odmalowaną w pogodnych dość kolorach przyszłość. Wykorzystane są oczywiście wszystkie możliwe wynikle paradoksy, a nawet alternatywna rzeczywistość. Moda, muzyka a nawet dialogi i mentalność cuchnie strasznie latami 80., ale nie przeszkadza to w zabawie. Zwłaszcza przy pierwszej części, gdzie fabuła jest dopieszczona i logiczna, a dowcip iskrzy jak trzeba. O dziwo, nie zestarzały się efekty specjalne, obraz starannie przeniesiono na DVD i całość jest wciąż atrakcyjna wizualnie. Dźwięk to solidne DD 5.1. Fanów ucieszą bardzo starannie przygotowane (i przeważnie spolszczone) dodatki: reportaże z planu filmowego, sceny usunięte i nieudane, porównanie filmu ze scenopisem, a nawet teledysk i opcjonalne komentarze i ciekawostki w trakcie projekcji. Jeżeli zwlekacie z prezentem dla brata na ostatnią chwilę – to ta solidna porcja zabawy kosztuje tylko osiem dyszek. (flint)

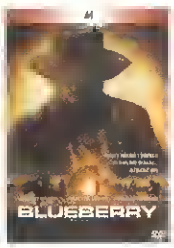

BLUEBERRY

reż. Jan Kounen
MONOLITH

Komiks o przygodach Mike'a Blueberry'ego nie miał w Polsce szczęścia. Ukazało się jedynie pięć z blisko trzydziestu albumów serii Jeana-Michela Charliera i Moebiusa. Także film nie trafił na kinowe ekrany, a od razu pojawił się na video i dvd. Tych, którzy znają wydane u nas albumy, treść filmu może zbić z tropu. Blueberry (Vincent Cassel) jest tu szeryfem w małym miasteczku. Do dziś przeżywa traumę po tym, jak perfidny i złowieszczy Wallace Blount przyczynił się do śmierci dziewczyny Blueberry'ego. Zgorzkniały, nieco zagubiony szeryf postanawia się zemścić, gdy Blount pojawia się na w jego miasteczku. Streszczenie brzmi dość prozaicznie, ale sam film taki nie jest. To western metalizyczny, nasycony niepokojącą narkotyczną atmosferą. Przynajmniej do połowy przykuwa uwagę spowolnioną akcją, pięknymi zdjęciami, świetną obsadą. Potem jednak zaczyna się robić co najmniej dziwnie. Pewne wątki się gubią, inne tracą znaczenie, zaś finałowy pojedynek pomiędzy Blueberrym a Blountem to kilkuminutowy ciąg barwnych, oszałamiających wizji, obywa się zaś bez choćby jednego rewolwerowego wystrzału. Zresztą cały film jest zaskakujący, chwilami wręcz nachalnie podkreśla swoją odrębność i przełamuje westernowe schematy. Ciekawy w sumie eksperyment, ale, moim zdaniem, nie do końca udany. Warto go jednak samemu obejrzeć i ocenić, choć nie dla wszystkich ta dziwaczna jazda jest przeznaczona. (jd)

KONKURS! Jeśli chcecie wygrać jedną z 2 płyt DVD lub 3 kaset video z filmem „Blueberry", to nic prostszego. Wystarczy odpowiedzieć na pytanie: jaki film zrobili wcześniej wspólnie reżyser Jan Kounen i aktor Vincent Cassel? Odpowiedzi wysyłajcie na mail: hellboy@slizg.com.pl

T. Love
PRZYSTANEK WOODSTOCK
ZŁOTY MELON

Jakby zarekomendować to koncertowe DVD? Muniek nie jest showmanem, nie liczcie więc na szalony ruch sceniczny. Nawet Polak, tak wyluzowany na swojej płycie, tutaj jest poważny, przejęty i skoncentrowany. Natomiast wokal frontmana T. Love nabiera przy występach na żywca energii i melodyjności, przez co prezentuje się lepiej niż przy wersjach studyjnych. Zwłaszcza, że często uzyskuje wsparcie licznej bardzo publiczności. Ciekawym urozmaiceniem aranżacyjnym jest spory udział saksofonisty (Pierzchalski). Pojawia się też wyjątkowo zacny gość – Grabaż z Pidżamy Porno, wykonując wspólnie z zespołem „Outsidera". Dobór utworów usatysfakcjonować powinien wszystkich – łani starego punkrockowego T. Love mają „IV Liceum", „Wychowanie", „Warszawę", „Karuzelę", „Autobusy i tramwaje". Najmłodsi odbiorcy na pewno znają „Ajrisz", „Stokrotkę" i „Nie, nie, nie". Jakość dźwięku jest idealna (DTS), obraz bez zarzutu, montaż uniemożliwia nudę. Dodatki? Wspaniałe. Udany wywiad, fragmenty występów ze Spodka '88, Jarocina '87, Przystanku Woodstock ad 2002, parę teledysków, a nawet klip Muńka z Ziperą i Krawczykiem. Cóż, wzorcowe wydawnictwo. Za miesiąc napiszemy o DVD grupy Hey. A póki co – Sie ma i kupować! (flint)

newsy

Witam. Kończy się rok, więc prawie wszyscy robią jakieś podsumowania mijających 12 miesięcy oraz czynią plany na kolejne 365 dni. Nie będę Was tu zanudzał jednak żadnymi tego typu rzeczami, gdyż najzwyczajniej póki co nad nimi nie myślałem. Wiem jedno – to był dobry rok, przynajmniej dla mnie:). Wszak rozpocząłem w nim współpracę z SLG, więc jakże mógłbym twierdzić inaczej. A teraz tradycyjne (w sensie, że niniejszym tę tradycję w newsach właśnie wprowadzam) noworoczne życzonka:). Otóż, życzę Wam wszystkim w roku 2005 spełnienia przynajmniej części marzeń, a już na pewno przewagi sukcesów nad porażkami. Wtedy wszyscy będą zadowoleni i może więcej uśmiechniętych buzi na ulicach będzie, a to w naszym przybitym społeczeństwie powitałbym z przyjemnością. Pozdrawiam.

Na przestrzeni ostatniego miesiąca znowu pojawiło się na kilka znaczących **polskich produkcji hiphopowych**. Jako że podjęliśmy w redakcji silne postanowienie poprawy w kwestii recenzji, o wszystkich tych płytach możecie przeczytać gdzieś nad tym tekstem. Skupmy się tymczasem na nadchodzących wydawnictwach. Lada dzień należy się spodziewać wspólnego albumu Proceente i Emazeta z Szybkiego Szmalu. Szczegółów póki co brak, tak co do tytułu płyty jak i konkretnej daty premiery. Wiadomo, że bity złożyło bardzo wielu producentów, wśród nich Matin, Kociołek, Polej i Szogun. Gural szykuje się do wydania swej drugiej solówki. Będzie to płyta zatytułowana „Drewnianej Małpy Rock", a ukaże się nakładem... uwaga! – Wielkiego Jot na początku przyszłego roku. Wśród producentów wymieniani są Tabb, DJ 600V, Kada i Mixer, a szlagierem ma być numer z Sido. Na marzec 2005 z kolei szykowana jest premiera nowego albumu Mezo pod tytułem „Wyjście z Bloków". Całością produkcji zająć się ma Tabb, stąd płyta ma być wydana pod szyldem Mezo/Tabb jako Lajner.

errorcthz.com
info koncertowe: 604-556-371, 601-820-374

recenzje muzyczne

DONIU
MONOLOG!MUZYKA
UMC

Podkłady Donia brzmią dobrze i jego zmysł muzyczny raczej trudno kwestionować. Nigdy nie produkował lepiej i ten pomysłowo aranżowany, harmonijny hip-hop z popowym zacięciem może się podobać, o ile przesłanie się go porównywać z tym zza wielkiej wody. Flow jest energiczny, melodyjny, słychać, że wypracowywany godzinami, przez co bardzo pewny. Dynamiczne, nerwowe „Uciekaj" z Hansem dotyczące niedawnych poznańskich perturbacji z policją sprawdza się świetnie. „Czas minął" buja, ma siłę a jednocześnie lekkość – kozacki podkład. Kiedy Doniu w „Niech ktoś mnie obudzi" rymuje „Tępe sępy zaczną chryję / zadzwonią do Iwej matki w nocy mówiąc, że nie żyjesz" zaczyna się go lubić.

Gdyby tylko UMC miało porządnego producenta wykonawczego... Kogoś, kto nauczyłby zdolnego ascetoholika wyczucia, nakreślił granicę między melodyjnością a rzewnością, byciem wzruszającym a byciem obciachowym. Odkrył, jak nie uniwersalne i żenujące słuchacza może być „Halo kochanie" i kazał zostawić je do prywatnego użytku ukochanej. Zabronił tykać kiczowatych ramot Kombi. Nie pozwolił, żeby w singlu obok siebie były „Objęcia Mofreusza" i „Morza ekskrementów", bo to groteska. Wykreślił z tekstów wszelkie określenia typu „ryje miękną", „spasione alusy", „podarte portki", „kawał dranía", „pindol w różowym swetrze", bo to pachnie mokasynami, białymi skarpetkami i dekoderem Polsatu. Zasugerował, że skoro już nawijka jest śpiewna, lepiej oddać refren dobrej wokalistce (a mamy tu taką) czy Dj'owi Story, przecież nie można wszystkiego robić dobrze. Zwrócił uwagę, by „Chłopaki z sąsiedztwa" były bardziej funky, a mniej disco, mają przecież hitowy potencjał. Wpadł na to, że miksowanie weselnych przyśpiewek z wyjątkowo tu odtwórczym dancehallowym alter ego Dużego Pe czyni „Energię" klęską. Precz z przaśną pseudo-Jamajką. Niestety takiego executive producera brak. Dlatego album jest zaledwie niezły. **Ilint (cs)**

DESTINY'S CHILD
DESTINY FULFILLED
SONY

Gdzie te szalone bity? Gdzie te cytaty z popowych standardów? Gdzie te chwytliwe taneczne refreny? I przede wszystkim, gdzie ta feministyczna zadziorność? Nie wiem, jak mam rozumieć słowa „Chcę ci zdjąć kapcie" czy „Oto twoje ślipki kochanie, oto obiad, zrobię ci deser", czy najgorszy fragment „Będę trzymać dla ciebie figurę, bo chcę ci dobrze służyć". Piosenka „Cater 2 U" wprawiła mnie w nie lada konsternację – szukałam na gwałt jakiegoś tropu ironii, ale nie – koniec z „Pay my bills" i „Say my name", wczuwamy się w role oddanych żon. Nic dziwnego, w końcu na czele brygady stoi Beyonce, która z oddania ukochanemu Jay-Z nie może się pozbierać i poświęciła mu połowę piosenek. Mówi się, że o miłości dobrze piszą tylko samotni i coś w tym jest – kawałek „T-shirt" jest absolutnie nie do słuchania – błogosławieni nieznający angielskiego.

Na „Destiny Fulfilled" pierwszy raz udzielają się bardziej niż symbolicznie pozostałe wokalistki i o ile w przypadku Kelly to plus, to Michelle jest straszna, choć swoim naiwnym głosikiem pasuje przynajmniej do równie naiwnych tekstów piosenek. Piosenek? Trzeba to powiedzieć jasno – ballad! Oprócz „Lose my breath" – hitu ewidentnie singlowego, na płycie usłyszymy już tylko kołysanki. Widać taka nowa specjalizacja Rockwildera i Jerkinsa.

Małym wyjątkiem jest hiphopowy hicior „Soldier" z T. I i Lil Wayne'em. Żeby nie było, że mi nic się nie podoba, donoszę, że podoba mi się owszem poruszająca piosenka „Through with love" skomponowana przez Mario Winansa.

Po przesłuchaniu płyty słychać jak na dłoni, że to już nie jest zespół a zbiór solistek, które w przerwach coś sklecily, bo wypadało. Zapewne tytuł „Destiny Fullilled" okaże się proroczy i będzie to ostatnia płyta Destiny's Child. Jeśli następne miałyby być takie jak ta – nie będę płakać. **Fala**

SCHIZMA
XIII
SHING RECORDS

Nowa dekada, nowa Schizma. Po trzynastu latach działalności, najpopularniejszą polską ekipę hard core wzięło na wspominki. Na szczęście, zamiast preparowania składanki w stylu „złote przeboje", bydgoszczanie postanowili na nowo zmierzyć się z własnym repertuarem. W tym celu przearanżowali trzynaście utworów ze swojego arsenału, numerów znanych z takich płyt jak chociażby „Miejskie depresje", „Unity 2000" czy, najliczniej reprezentowane w tym zestawie „Pod naciskiem". Z najgłębszego archiwum wykopano nawet „Memento Mori" wykonywane przez Schizmę w czasach, gdy żadnego z dzisiejszych jej członków nie było w składzie grupy!

Nowe wersje zyskały pełniejsze, bardziej brutalne, thrashowe brzmienie. Nawet przeróbce „Dzieci z brudnej ulicy" legendarnej punk formacji TZN Xenna przydano radykalnego soundu. Wypada wspomnieć, że jubileuszową Schizmę wspomagają zaproszeni goście: Kiki z Abaddonu, Gonzo z Projektu oraz Vienio, który pojawia się w hiphopowo-punkowej wersji „Pod naciskiem". W tym numerze zresztą rapowy talent ujawnia wokalista Schizmy, Pestka.

„XIII" nie jest w gruncie rzeczy nową płytą Schizmy, ale nie do końca można ją też traktować jako dokument czy retrospekcję. Albumu powinni wysłuchać nie tylko ci, którzy znają dorobek zespołu na wylot. A posłuchać warto, bo „dzieje się, oj, dzieje się". **/sr/**

Małe zamieszanie w świecie biz-[illegible] **Roc-A-Fella Records** został bowiem wykupiony przez jeszcze większego giganta, Island Def Jam. Zatem teraz takie tuzy, jak Ja Rule, LL Cool J, Ghostface, Method Man (Def Jam), Kanye West (na zdjęciu), Cam'ron i Beanie Sigel (Roc-A-Fella) zarabiać hajs będą od tej pory pod jednym szyldem! Co więcej, nowym szefem całego Def Jam Recordings został nie kto inny, jak sam Jay-Z, dotychczas współszef mniejszego z połączonych labeli.

Na wiosnę 2005 roku szykowany jest trzeci album **J-Live'a**. Raper dołączył właśnie do ekipy Penalty Records, w której znajdują się już choćby Rhazel czy The Beatnuts. Album jeszcze nie ma tytułu, a ukaże się po dwuletniej przerwie od „All Of The Above". J-Live stwierdził: „Kiedy słucha się hip-hopu, można zauważyć, że najlepsi emcees stają się lepsi z każdym rokiem. Właśnie to próbuję robić ze swoją muzyką."

Khujo Goodie oraz **T-Mo**, członkowie składu Go[illegible] wydadzą album [illegible] się on 2 [illegible] nakładem Koch Records, a zatytułowany będzie „Livin Like Lumberjacks". Produkcją zajmują się m.in. Organized Noize oraz DJ Speedy, zaś wśród gości znajdą się Big Gipp (kolejny członek Goodie Mob) oraz Wilchdoctor.

Update do artykułu o **ODB**. Pojawiły się pogłoski, że śmierć rapera może mieć silny związek z narkotykami. A to nowość, nie? Tylko że tym razem pojawiły się konkrety. W jego żołądku odnaleziono bowiem plastikową torebkę oraz biały „proszek". Przyczyną śmierci było pęknięcie tej torebki i przedostanie się zbyt dużej dawki „proszku" do organizmu. Trwają badania, mające ustalić, czym była owa substancja... Niebawem ukaże się pośmiertny album ODB. Będzie to mixtejp wydany przez JC Records (label założony właśnie przez byłego menedżera Dirty'ego i jego matkę) i dystrybuowany przez Sure Shot Records, na którym raper wystąpi jako Osirus. Pierwszym singlem z tej [illegible] jest [illegible] produkowany [illegible] rze DJ'a Premiera „Pop-Shots (Wu Tang)".

Na początku 2005 roku ukaże się trzeci solowy album **Freddie'ego Foxxxa**, „American Black Man". Produkcją zajmą się takie tuzy, jak DJ Premier, Pete Rock i The Alchemist. Nie wiadomo, jaki label zajmie się wydaniem płyty. Ciekawostką, która znajdzie się na tym wydawnictwie, jest wspólny kawałek Foxxxa z Rayem Benzino i Tupakiem nagrany na początku lat dziewięćdziesiątych.

Prince Paul zapowiada, że w nadchodzącym roku ukaże się jego pożegnalny solowy album. Artysta był zawiedziony słabym przyjęciem płyty z 2003 „The Politics Of The Business", stąd taka decyzja. Nie oznacza ona jednak całkowitego zakończenia działalności przez Paula. Razem z grupą Dix szykuje on bowiem epkę z DVD pt. „The Art Of Picking Up Women", a także płytę z nieznanymi wcześniej numerami pozostałymi ze współpracy z Gravediggaz czy De La Soul.

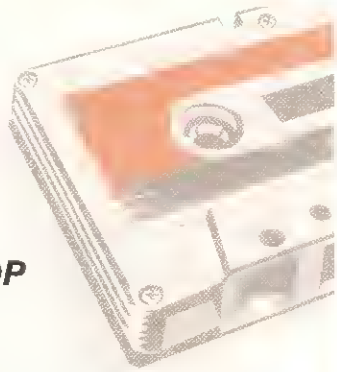

TO JEST HIP-HOP VOL. 1
MIL

Wydawca informuje, że kieruje tę płytę do młodszych odbiorców, chcąc poszerzyć ich wiedzę (jakże to idealistyczne). „To jest hip-hop! A nie hiphopolo..." grzmi we wkładce. Po pierwsze, ciekawe, że Mil rości sobie prawa do decydowania, czym hh jest, a czym nie. Po drugie, który to już raz chcą nam sprzedawać odgrzewane kotlety? Te są akurat z menu RRX i trzeba przyznać, że są wśród nich klasyki takie jak: „Śródmieście południowe", „Ja mam to co ty", „Dla tych, którzy się odwrócili", „Coś się rozkręca". Największym wypasem jest jednak „Jeden strzał (RMX)" Owala (!) i Ośki, gdzie rymuje Pęku, Tede i Radoskór. Czasem wydaje się, że znany sprzed lat brak szacunku dla słuchacza wciąż jest normą. A co, byle się sprzedało... flint

BRANDY
AFRODISIAC
ATLANTA/WARNER

Brandy nagrała ten album z myślą o mnie. Po przewypasionym „Full Moon", na którym Rodney Jerkins zrobił muzykę swojego życia a Brandy przeistoczyła się z opuchniętej małolaty w dorosłą piękność (to także alegoria jej rozwoju artystycznego), wydawało mi się, że może być tylko gorzej.

Minęły dwa lata. Brandy z panienki Norwood zmieniła się w panią Smith. Została mamą. Ta życiowa dorosłość musiała wpłynąć na artystyczną, którą widać wyraźnie i która powala na kolana. Nie dość, że Brandy znalazła nową formułę na aranżowanie swojego powietrznego i chrypiącego wokalu, to efektownie wybrnęła z kwestii producenckich zatrudniając gwiazdę Kanye Westa i odkrywając na nowo geniusza Timbalanda. W ramach perelek pojawia się tu także bit Organized Noise – charakterystyczny, choć „Afrodisiac" muzycznie jest zadziwiająco spójny – utrzymuje się w płynących, choć pulsujących niebiańskich rytmach i aż dziw bierze, że na płycie o tak niepowtarzalnym klimacie nie razi raping, który przecież na poprzednich albumach Brandy pojawiał się mniej niż sporadycznie.

Płyta ciekawa jest także pod względem tekstowym – nie spodziewałam się nigdy usłyszeć tak szczerej spowiedzi gwiazdy jak we wzruszającym „Should I go" – pojawiają się tu też dwa kawałki stricte imprezowe, co jest również precedensem (polecam tradycyjnie Timbowy „Sadiddy"). Ale najbardziej w tym wszystkim liczy się wokal Brandy, który omiata muzykę delikatną siecią różnych melodii, ścieżek, chórów – przemyślanych tak precyzyjnie, że dech zapiera. Kipię z zazdrości, że laska w moim wieku może mieć taką wyobraźnię, że potrafi chwyt opatentowany przez irlandzką bardkę Enyę przełożyć na język R'n'B i uzyskać tak poruszający efekt. Wiem, wiem, nawzdychałam się tu za cały ostatni rok – lecz prawdą jest, że jak nie posłuchacie, to współczuję. Fala

25 stycznia ukaże się druga płyta **Big Noyda** „On The Grind". Większość numerów wyprodukowana została przez Havoca i Rica Rude. Wydany rok temu pierwszy album Noyda był oczekiwany bardzo długo, stąd tak krótki odstęp między płytami jest niespodzianką.

Ron Artest, koszykarz Indiana Pacers, szykuje się do wydania własnej płyty hiphopowej. Artest jest właścicielem labela Truwarier, który ostatnio wypuścił album żeńskiej grupy R&B Allure. Zawodnik stał się niedawno bohaterem jednej z większych afer w historii NBA, biorąc aktywny udział w bijatyce z kibicami w Detroit, za co został zawieszony do końca sezonu, czyli do kwietnia. Będzie miał zatem sporo czasu na promowanie swego krążka.

Kolejna wieść z pogranicza hip-hopu i koszykówki. **Shaquille O'Neal**, gwiazdor NBA, który niedawno przeniósł się z Los Angeles do Miami, założył nowy label hiphopowy o nazwie DEJA34. Jako dyrektor artystyczny zatrudniony został DJ Kay Slay, którego trzeci pełny album będzie pierwszym wydanym przez wytwórnię. Stać się ma to w kwietniu. Dystrybucją płyt wydanych przez DEJA34 zajmie się Koch Records. Shaq parę miesięcy temu powrócił do rapowania, nagrywając na mixtejpie dissy na byłego partnera z zespołu, Kobe'ego Bryanta, oraz rapera Skillza.

Serię newsów o **P. Diddym** rozpoczynamy znów od... NBA. Jest on bowiem autorem wzoru nowych strojów drużyny Dallas Mavericks. Nie dzieje się tak po raz pierwszy. Już w ubiegłym sezonie Mavs wybiegli na parkiet w strojach Seana Combsa, ale nie przypadły one do gustu i na jednym występie się skończyło.

debiutancki album

FATBOYSLIM
PALOOKAVILLE
SONYMUSIC

Miasto Palookaville to takie miejsce w wyobraźni, gdzie przebywa DJ w apogeum grania na imprezie, kiedy macha w transie jedną ręką nad rozszalałym tłumem, a drugą ledwo muska gramofonów. Tak to tłumaczy Fat Boy, choć ja nadal nie wiem, dlaczego zatytułował tak tę płytę, bo z klubem ma ona niewiele wspólnego. To raczej muzyka do walkmana na brzydką pogodę. Może dlatego tak mi się podoba.

Nigdy wcześniej nie podniecały mnie jego dziesięciominutowe sieczki, a już szczytem niesłrawności dla mnie było „Righ Here, Right Now", które wyniosły Fat Boya do czołówki światowej. Sobie myślałam: po co mam słuchać jakiegoś angielskiego popowego palanta, skoro mam pod ręką masę polskich mixtapelów. Minęło parę ładnych lat, włączam „Palookaville" i choć od pierwszego kawałka słychać, że to Fat Boy, to jednak łagodniejszy a przede wszystkim jakiś bardziej zabawny. Bo ponad wszystkimi, nieraz bardzo romantycznymi, kawałkami, unosi się duch żartu. Fat Boyowi nie obcy jest też czarny humor: przedostatni numer na płycie, melodyjny i transowy, zadedykowany jest zmarłemu kumplowi Cheshowi („Song for the Chesh"), choć, jak mówi w wywiadzie Norman, Chesh nie cierpiał tego typu muzy.

Palookaville to cała masa cytatów z muzyki brytyjskiej ostatnich kilku dekad, a wszystko to pocięte i złożone w jedyny w swoim rodzaju, Fat Boyowy sposób. Najbardziej „tradycyjny" pozostaje singiel „Slash Dot Dash". Reszta ucieka już daleko od schematów. Choćby romantyczna ballada „NorthWest Tree" (o zachodzie słońca na londyńskim Primrose Hill, na którym podobno Norman chadzał na pierwsze randki ze swoją dzisiejszą żoną) oraz uderzająco „blurowe" (może dlatego, że śpiewa Damon Albarn?) „Put It Back Together". Natomiast „Puch and Showe" to mrugnięcie okiem w stronę oldskulowego stylu Depeche Mode. Uroczym kawałkiem jest też jajcarski kowbojski rap song „The Journey".

Dla niewytańczonych mam także dobrą wiadomość. Oparty na afrykańskim oryginale „Jin Go La Ba" jest tak rasowym housem, że aż ściska lęknota za imprezami w Piekarni. „Wonderfull Night" wysyła nas na ciut bardziej offową, choć nie mniej udaną imprezę. Fala

PRAKTIK
DOBRA CZĘSTOTLIWOŚĆ
EMBARGO

Praktik wypracował sobie rozpoznawalny styl produkcji. Przede wszystkim jest królem basu. To bas z miejsca narzuca pulsację charakterystyczną dla całej produkcji, nigdy jeszcze nie był tak głęboki. Udało się uniknąć modnego ostatnio przearanżowania, jest czytelnie, a umiejętnie ponakładane pogłosy zapewniły przestrzeń. Ktoś jeszcze umie być zarazem niebanalny i przebojowy, ktoś tętni pozytywnym rytmem. Jak miło. Od razu wiadomo, że Urbaniak nie znalazł się tu przypadkiem.

A teraz wyobraźcie sobie restaurację. Ciepłe światło, kwiaty na stołach, srebrna zastawa, kwartet smyczkowy przygrywa dla gości, kelner wygląda, jakby urodził się garniturze. I nagle wchodzi dwóch typów, łapią go za fokieć z tekstem „kurwa, zrób mi ziomuś zapiekankę". Tak właśnie prezentuje się featuring JWP na Praktiku. Przyzwoite wersy na PCP to jedno, ale linijki o zarabianiu na „mercawkę" i „lojeniu nafty" po prostu zupełnie nie pasują na płytę taką jak „Dobra Częstotliwość". Choć wers Ero z „porankiem kojota" dobry, oj dobry... Mes nawija o alkoholu, ale lekkość, z jaką wchodzi na beat, to jak idealnie współgra głosem z muzyką rekompensuje wszystkie jego niepotrzebne beefy i średnie featuringi AD 2004. Pezet ma wielką formę, daje odważne rymy, które mają i sens i dużą siłę. Dizkret satysfakcjonuje: składny jak zawsze, wyraźny jak rzadko kiedy, choć i tak większość uszu do numeru „Jestem tu" przyciągnie raczej znakomity śpiew Piotrka Packi. Lilu jest bardzo wdzięczna, ale jej występ i tak należy potraktować jak zapowiedź znacznie większych możliwości.

Relaksujący album, niezawodny w odprowadzaniu stresu z organizmu. Kiedy się kończy, puszcza się go jeszcze raz i jest to odruch bezwarunkowy. Tylko gdzie zapodział się numer z Tetrisem? I czy Praktik na pewno jest biały? flint

RAP ESKADRA
UMC

Kolejna zajefajna składanka firmowana przez Eskę, będąca w gruncie rzeczy wizytówką UMC Records. Kto lubi, ten kupi, bo w rzeczywistości jest tu wszystko, co kojarzy się z tą wytwórnią – począwszy od „Suczek" przez „Skarby" do „Jak zapomnieć". Mamy tu (głównie na pierwszym z dwóch CD) wszystkie ostatnie hiciory Ascetów, Meza, Owala, Libera solo, Jeden Osiem L (część w remiksach), 52 Dębiec, Dużego Pe i Deobe/Dena. To znamy, a czy lubimy, jest kwestią gustu. Na drugim krążku są natomiast przedstawieni (obok nowych numerów załogi UMC) mniej znani wykonawcy powiązani słabiej lub silniej z wielkopolskim labelem i jego ekipą. Większość prezentuje się tu na bitach Tabba (samego lub w duecie z Bobikiem), który trzyma poziom, ale z nóg nie zwala. Najbardziej z nowych twarzy przypadł mi do gustu skład Niczego Sobie z kawałkiem „Halohalo" – rzeczywiście „niczego sobie", chociaż emce powinni popracować nad oryginalnością tekstów. Poza tym, na drugim krążku w ucho wpada ze swym laidbackowym brzmieniem numer „Czeki" duetu Pe/Spox, czyli Ciszy i Spokoju. Do promowania płyty wybrano jednak inne utwory: „Powiem" 52 Dębiec oraz „Nie ma na co czekać" W. B. U. Wybór pierwszego jest jeszcze zrozumiały – gwiazda sceny porusza kontrowersyjne problemy, zdecydowanie stawiając tu na przekaz, choć nie jest to hit. Co do drugiego kawałka jednak mam spore wątpliwości. W. B. U. jest do bólu wtórny i nie wnosi nic ciekawego, jedynie bit wyciąga utwór na przyzwoity poziom. grb

TEKA
CHCĘ, WIĘC POTRAFIĘ
CAMEY STUDIO

Ten album to doskonały przykład tzw. polskiej logiki. Przyzwoity producent (z paskudnymi popowymi inklinacjami) wziął podkłady od innych, żeby sobie na nich porapować. Co z tego wyszło? Ano, że chcieć to rzeczywiście móc. Ale chcieć nie znaczy, niestety, potrafić.

Teka raper... Spięty, sprawiający wrażenie kogoś, kto chce jak najszybciej wyskandować swoje wersy. Nietrzymający dramaturgii jako narrator, odtwórczy w bragga, nieporadny w nawiązaniach, w porównaniach wychodzący z kolei na człowieka o niewielkich horyzontach. Da się wybaczyć nawet „Carpe diem" z nieszczęsnym „ę" na końcu, przymknąć oko na pomyłkę w tytule książki, którą mc podobno czytał (Grzesiuk napisał pięć, nie zaś sześć lat kacelu), ale to, że lansowane „Jestes" ma tak bełkotliwą, że aż niezrozumiałą pierwszą zwrotkę, jest grandą. Gospodarzowi co krok towarzyszą Chicks w różnych konfiguracjach. Śpiewają czysto, ale bliżej im do Mandaryny, niż czarnego brzmienia z duszą.

Zaproszeni producenci (Camey, Nolte, Żółty, Szyha, Ośka, Mes) jakby wypsirykali się z naprawdę dobrych bealów przy okazji własnych projektów. Mamy więc masę średniaków z zupełnie innych paratii, dobranych bez klucza, w konsekwencji męczących – każdy kto usłyszy ciężką elektronikę Żółtego obok rozpłasanego, tropikalnego Cameya, zrozumie o co chodzi. Na osłodę gościnni mc, m.in.: Pih („Przejmujące, wzruszające, podłe / u ciebie ro-

Obecny wzór ma być używany w sumie w 11 meczach. Współpraca rapera z drużyną wzięła się z jego znajomości z właścicielem Mavericks, Markiem Cubanem. Inna wiadomość z ostatnich działań P Diddy'ego związana jest z jego aktywnością na polu edukacyjnym. Puff-Tata założył przed wyborami w USA organizację Citizen Change, mającą na celu zachęcanie młodych ludzi do głosowania. Ostatnio ogłosił, iż będzie ona funkcjonować nadal, by „niwelować apatię wśród młodzieży" oraz angażować ją do społecznej aktywności. No i wieść trzecia. Sean Combs zdradził, że chciałby zagrać Jamesa Bonda w następnym jego wcieleniu. Jego partnerką miałaby być Angelina Jolie. Diddy stwierdził: „Świat jest gotowy na czarnego Jamesa Bonda".

50 Cent na początku grudnia wyjechał na serię koncertów Star Mega Jam Tour do Nigerii, gdzie spotkało go niemiłe wydarzenie. Stało się to na pokładzie samolotu przeznaczonego do transportu gwiazd nigeryjskich oraz ekipy Fifty'ego między kolejnymi miastami goszczącymi tour. Niejaki Eedris Abdulkareem, miejscowa gwiazda hip-hopu chciał bezczelnie zająć miejsce Amerykanina w tymże samolocie, a gdy poproszono go o opuszczenie miejsca, stanął za nim jego ochroniarz. Było gorąco, ale obyło się bez poważniejszych utarczek. Oj, dzieciaki...

Kronika kryminalna:). **Black Rob** z wytwórni Bad Boy został aresztowany po dokonaniu kradzieży z pokoju w nowojorskim hotelu. Raperowi udało się ukraść biżuterię i gotówkę o wartości ponad 6 tysięcy dolarów, ale jego wejście do pokoju zostało uwiecznione przez kamerę ochrony i po kilku godzinach zatrzymano go. Black Rob spędził 12 z 28 lat swego życia w różnego rodzaju instytucjach poprawczych i więzieniach, więc to dla niego nic nowego... Tymczasem **DMX** (na zdjęciu) więzienia właśnie uniknął. W czerwcu wraz z kompanem na lotnisku JFK w Nowym Jorku udawali agentów FBI i ścigali inne auto używając policyjnych świateł i syreny. Rozbili budkę do pobierania opłat za wjazd, a następnie próbowali ukraść inny samochód i zostali zatrzymani, gdy wyciągali z niego kierowcę. Wszystko to oczywiście w stanie „pomroczności jasnej". DMX pokajał się, co otworzyło drogę do ugody z oskarżycielami. Gdyby nie ona, raper odsiedziałby przynajmniej dwa lata. Kolejnym wykonawcą, który popadł w konflikt z prawem jest **Young Buck** z G-Unit. W czasie ceremonii rozdania Vibe Awards niejaki Jimmy James Johnson uderzył w twarz Dr. Dre, zaś Buck postanowił wymierzyć mu sprawiedliwość i pchnął go nożem. Raper oddał się w ręce policji, ale pozostaje na wolności, gdyż wpłacił pół miliona dolarów kaucji. Jedziemy dalej. Za prowadzenie samochodu pod wpływem marihuany i posiadanie całkiem sporej jej ilości

zum jak okres spóźnia się ciągle" – wers płyty), Hastu („(...) weź się zastanów / jak nie chcą ci lać, chcesz napierdalać barmanów"), Jano (w formie), Ciech.

Hiphopolo? Nie. Po prostu słaby hip-pop. flint

TRZECI WYMIAR
CZTERY PORY RAPU
EDYCJA SPECJALNA
CAMEY STUDIO

Wydanie specjalne zawierające oprócz znanego już albumu w zupełnie niezmienionej postaci płytę z remiksami i teledyskami zespołu. Zawartość „Czterech Pór Rapu" jest znana chyba wszystkim i nie jest tu moim celem recenzowanie jej po raz kolejny. Skupmy się zatem na bonusach. Cóż, niewiele ich tu w rzeczywistości mamy. Są tylko cztery kawałki audio. To dwa remiksy „Dla mnie masz stajla", pierwszy w wykonaniu Gieni i Laski, drugi zaś – lepszy moim zdaniem – jest dziełem Creona. To on też jest autorem remiksu do „Zapomnij o tym". Creon jest póki co mało znanym producentem z Lubina, jeśli jednak prezentować będzie taki poziom, jak na dwóch numerach zamieszczonych na tej płycie, będzie jeszcze o nim głośno. Czwarty utwór to „Basket ball" w wykonaniu Masseya i jednego z członków TW, Nulla. Ponadto mamy video do ostatniego wspomnianego kawałka oraz cztery klipy grupy („Dla mnie masz stajla", „Piętnastu MC's", „Skamieniali" i „Dostosowany"). W związku z niklą ilością nowego materiału jest to pozycja chyba tylko dla fanów zespołu. A mogło być lepiej, gdyby chłopaki postanowili troszkę bardziej się wysilić.

APRIL
KILL DEPRESSION
PASAŻER

Pod apelem – tytułem albumu podpisuję się obiema rękami. To tak na dobry początek...

Już debiutancka kompaktowa EP-ka kazała myśleć o April jako o zespole oryginalnym i ujmującym swoją pozytywną rześkością. Od jej wydania upłynął słuszny kawałek czasu i oto jest – pierwsza pełnowymiarowa produkcja ekipy ze „Ściany Wschód". „Kill Depression" jest jak znalazł na zimowe dni, w trakcie których człowiek nie ma ochoty nawet wstawać z łóżka. Energetyczne, melodyjne piosenki April ruszą z posad wszystkich malkontentów, zaintrygowanych uprzednio gustownym samplem ze ścieżki dźwiękowej pamiętnego filmu „Nienawiść". Zapakowany w digi-pack krążek kryje osiem przebojowych kawałków witalnego HC / punka w staroszkolnym (co nie znaczy, że nieświeżym) stylu + bonus w postaci videoclipu. Trochę nie styka mi w tym zestawie cover zapomnianej wieki temu tińskiej grupy Treblinka (którą i tak zna pięciu maniaków na krzyż), bo autorskie utwory April przebijają go pod każdym względem.

Mógłbym się trochę pozżymać na pewną niezgrabność w tekstach, ale jako całość „Kill Depression" robi przyjemne wrażenie. Zacna to płyta a i koszt jej mniejszy niż opakowanie Prozaku. Zabij depresję i Ty! /sr/

a w następnym numerze dostaniecie tyle recenzji, że się... zajaracie
m.in. SNOOP DOGG Rhytm&Gangsta The Masterpiece / JA RULE R. U. L. E. / PIH Krew, pot i łzy / 2PAC Live / CHINGY Powerballin' / GWEN STEFANI Love. Angel. Music. Baby / ROBOTOBIBOK Nawykł Przyrody / TWORZYWO SZTUCZNE Na żywo w mózgu / nowy FABOLOUS i nowy, wypasiony 600v wraz z wywiadem
więc się szykujcie...

(35 gramów, człowieku!) w chwili zatrzymania odpowie **Murphy Lee**. Patrol policji zatrzymał go, gdyż jego Mercedes miał przeterminowane blachy. Ależ wtopa:).

Czarna muzyka królowała w czasie rozdania nagród **American Music Awards** 14 listopada. Cztery nagrody powędrowały do Ushera (na zdjęciu), a trzy dostały się w ręce Outkastu. Najbardziej niezadowolonym artystą był nominowany do trzech nagród Kanye West, który strasznie się rozczarował po tym, jak nie otrzymał wyróżnienia dla najlepszego nowego artysty. Humor wrócił mu szybko, gdyż w czasie rozdania nagród Billboardu przypadły mu aż cztery z nich (pięć zdobył Outkast, a Usher aż jedenaście, co nie dziwi, biorąc pod uwagę fakt, że czynnikiem decydującym o przyznaniu Annual Billboard Awards jest sprzedaż i miejsca na listach przebojów), a nieco wcześniej dowiedział się, iż otrzymał najwięcej, bo aż dziesięć nominacji do nagród Grammy.

Na ścieżce dźwiękowej do filmu **„Blade: Trinity"** pojawia się kilka posłaci, które z pewnością zainteresują fanów hip-hopu. Sporą częścią produkcji bowiem zajął się tu RZA, a na majku usłyszeć można jego partnerów z Wu – Ghostface'a, Raekwona i ODB, a ponadto pojawiają się Lil' Flip, WC, E-40 oraz Kool Keith.

Grabiszczy

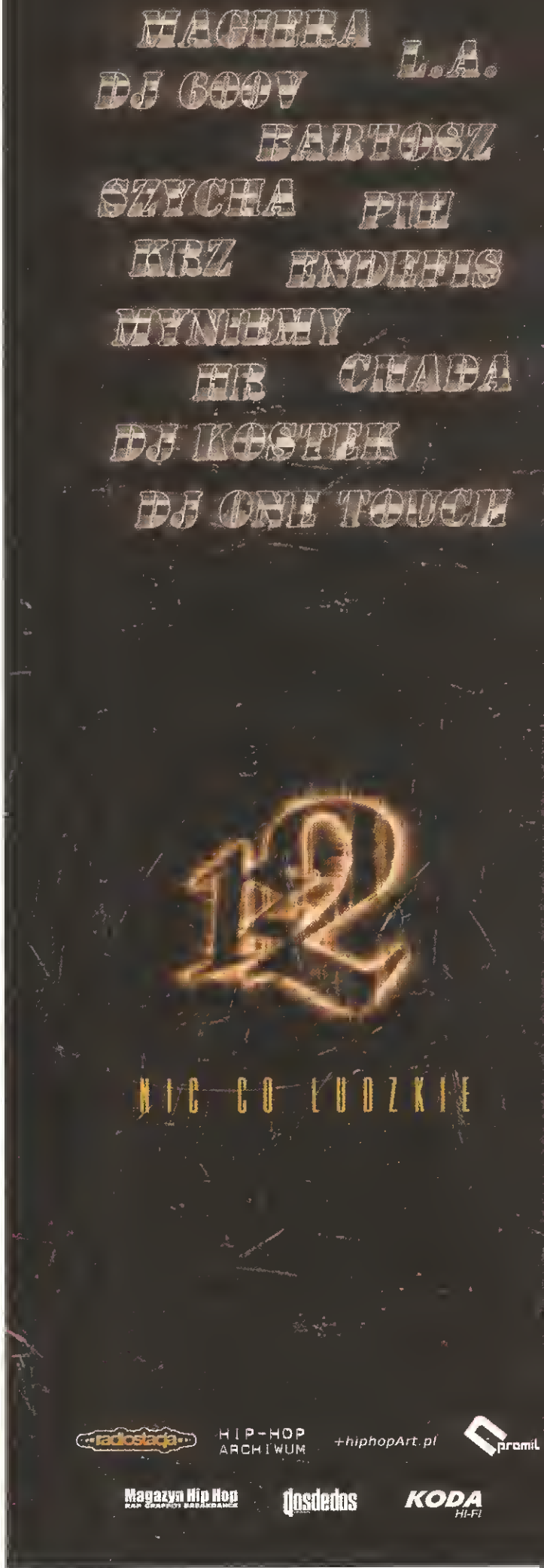

portret

jajonasz zapomniany?

Mówiło się o nim zawsze, nie tylko w Katowicach. Odkąd zabłysnął zwrotką w słynnym już dziś „Nie jestem, kurwa, biznesmenem" na drugiej składance 600V, był jedną z nadziei śląskiego hip-hopu, sporym talentem, w który wszyscy wierzyli

tekst i foto Keb (Czyste Słowa)

Wysoką klasę potwierdził każdy z jego gościnnych występów: był na dwóch płytach WYP3, pierwszej „Kompilacji" Ośki, składance „Usta Miasta Kast". Zasłynął ponadto jako świetny freestylowiec, kopiący w swoim czasie tylki wszystkim na Południu. Nic zatem dziwnego, że na zapowiedź jego solowej płyty – „Lirykipoety", cała Polska zareagowała entuzjastycznie, oczekując prawdziwego uderzenia. Co z tego... czas płynął, legenda rosła, a materiału nigdy się nie doczekaliśmy. Jajo powrócił – w 2002 roku – ale jako producent. Zadbał o oprawę muzyczną płyty HST „Masy Ludu. Na językach", za którą mocno go chwalono, zresztą album okazał się jednym z większych sukcesów artystycznych roku. Mimo niewielkiego dorobku, mówimy o postaci na pewno zasłużonej, dziś nieco już zapomnianej (niewykluczone, że najmłodsze pokolenie hiphopowców podchodzi do tej ksywy zupełnie obojętnie), a z drugiej strony, czy Jajonasz to nie najlepszy przykład niewykorzystanego potencjału?

Hip-hop pojawił się w jego życiu w okresie, kiedy niewielu w Polsce wiedziało jeszcze, czym tak naprawdę jest ta muzyka. Początek lat 90., Katowice-Bogucice, szkoła podstawowa. Już wtedy znał Ś.P. Magika, który również zdradzał zainteresowanie nowymi w kraju brzmieniami. Wspólnie szukali kaset, rozglądali się po mieście za jakimkolwiek rapem (drugim albumem EPMD, kupionym na kasecie za 6 zł, Jajo od razu się zajarał), nagrywali nawet klipy z telewizji. Aż wreszcie doszli do przekonania, że warto samemu spróbować coś stworzyć. Jako że Ś.P. Magik miał komputer wcześniej, dłubał bity pierwszy, a Jajo się przyglądał. Gdy i on dostał peceta, sam wziął się za produkcję. Jednocześnie hiphopowa ekipa na osiedlu zaczęła szybko się powiększać i Jajo poznał kolejnych młodych entuzjastów rapu. Byli wśród nich tacy ludzie, jak Gano, Dab czy Joka. Rymowanie wciągnęło ich na tyle, że po niedługim czasie założyli zespół – Kaliber 44 (ostatecznie bez Gano). Jajonasz jednak do niego nie przystąpił. Powód był prosty: nigdy nie zajął się pisaniem tekstów tak poważnie i tak regularnie, jak pozostali.

Jajo miał niegdyś piękną ideę – chciał rozkręcić rap na Śląsku i wypromować go na nieco szerszą skalę. Świadomy potencjału, jaki drzemie w tym regionie, wspierał utalentowanych, lokalnych MC, udostępniał im swoje domowe studio, proponował bity. Nie zdołał jednak tego ogarnąć.

Wciągnął go za to freestyle. Myślał wówczas undergroundowo, nie chciał nagrywać, nie chciał wydawać, wolał wpadać na imprezy i improwizować. Właściwie nie sam. Był z nim łodzianin, kumpel, z którym wkrótce założył Mikrolorte C.K. Bywało, że nagrywali swoje wolne style, lepszej czy gorszej jakości, i chociaż nie przywiązywali do tego większej wagi, kilka szumiących nagrań rozeszło się po znajomych. Prac nad płytą jednak nigdy nie zaczęli... aż pewnego dnia łodzianin wyjechał. Podobno do Łodzi.

Jajo freestyle'ował dalej i szybko wyrobił sobie w tej dziedzinie markę. Na czym polega jego fenomen? Wspomina, że jeszcze za młodu rozpisywał sobie teksty Public Enemy, uczył się ich na pamięć i rapował. Dzięki temu poczuł muzykę, poczuł rytm i szybko odnalazł się na bicie. Zabawa słowem, umiejętność sprawnego składania wersów w głowie – to wszystko, jak się okazało, część jego natury. Był taki okres, że freestyle'ował przy każdej możliwej okazji, zwłaszcza, że atmosfera imprez i najebek, w których od pewnego momentu zaczął regularnie uczestniczyć, zawsze temu sprzyjała. Dużo batował z Aniołem. Od hardkorowych imprez z piciem absyntu z grzybami, przez urodzinowe biby w Ustroniu z udziałem wszystkich znajomych, po klasyczne, pokoncertowe melanże w hotelach. „Lubię sobie bimbać" – zawsze powtarza.

Pewnego dnia, kiedy już wiedział, że współpraca z kolejnymi kompanami – Lisem i Basem, nie ma przyszłości, podjął decyzję o wydaniu płyty solo. Zachęcił go do tego Krzysztof Kozak, szef prężnie działającego wówczas RRX-u (swoją drogą, to dzięki niemu Jajo zdobył pierwsze MPC, którego używa do dziś). „Lirykipoety" – pod takim tytułem raper zapowiedział swój materiał, robiąc wszystkim nadzieję na to, że wreszcie usłyszą go na mikrofonie w taklej ilości, w jakiej by chcieli. Jakże złudne to było, szybko wyszło na jaw. Płyta nie powstała, a Jajonasz porzucił MC'ing. Powody? „Zabrakło mi motywacji", „nie chciałem już rapować", „nie miałem zajawki na robienie płyty" – tłumaczy. Może to dlatego, że nie miał wokół siebie wsparcia? Kogoś, z kim mógłby działać w duecie? Nigdy nie czuł się dobrze jako rapowy solista. Szukał więc dalej.

W liceum poznał Gutka. Zaczęło się od konfliktu: Jajo, jako że był rok starszy, próbował go kocić, kilka współnych buchów na drugi dzień załatwiło jednak sprawę i przetarło szlaki pod przyszłą współpracę. Gutek zaszczepił Jajowi reggae, Jajonasz pokazał Gutkowi hip-hop; we dwójkę uznali, że warto połączyć te dwa klimaty i stworzyć coś wspólnego. Tak powstało Mustafarai. Kilka kawałków, sporo koncertów (także za granicą), aż projekt padł. Jajonaszowi przeszła ochota na reggae, Gutek zaangażował się w swój zespół – Indios Bravos oraz wzmocnił współpracę z Dabem. Niewielki dorobek oby artystów został wyłącznie na twardych dyskach.

Hasła znał od dawna, gdyż ten wpadał do niego z Riskiem już w wieku 14 lat. Przychodził nagrywać i Jajo wspomina, że od początku jarał się tym, co Kaczy wyczyniał za mikrolonem. Risku dość szybko z gry odpadł, HST udzielał się dalej, chociaż czteroletnia różnica wieku między nim i Jajonaszem utrudniała na początku współpracę obu. Aż Hastu dorósł (i urósł) i panowie znaleźli wspólny język. Jajo, będący cały czas pod wrażeniem umiejętności dwumetrowego już wówczas rapera, bez wahania zaproponował mu swoje bity, których cały czas produkował sporo (na tym polu nie przystopował ani na moment). Weszli w porozumienie z Igorem, który akurat przenosił się do nowego, lepszego studia i w ten sposób płyta zatytułowana później „Masy Ludu. Na Językach" zaczęła nabierać realnych kształtów. Jajonasz zadbał o całość warstwy muzycznej. Zaserwował nowoczesne, dynamiczne, wyróżniające się w Polsce bity. Nadał elektronice polotu i nośności, ukazując w tym jednocześnie swój własny, indywidualny styl produkcji. Płyta się nie sprzedała, ale zostala ciepło przyjęta przez środowisko i dziś jest na pewno jedną z rzeczy, z których Śląsk może być dumny.

Aż pewnego pięknego dnia Jajo powiedział sobie: pora wrócić za mikrofon. Zwerbował Hasta, zwerbował Gana (z którym przyjaźni się od lat) i powołali do życia trzyosobowy projekt: Czarne Złoto, który obecnie realizują. Czym ma się różnić od płyty HST? Przede wszystkim inspiracjami. Funk, soul, lata 80. – wokół tego kręci się styl dzisiejszych bitów Jajonasza (taką też muzykę proponuje ludziom w radiu, prowadzi bowiem audycję o nazwie Rap Planeta). Przyszłych słuchaczy zapewnia, że trzyma rękę na pulsie i wie, co chce osiągnąć. Kozackie brzmienie plus rap, który zaczął znów go kręcić. Wiele wskazuje na to, że nawet ci, którzy już w niego nie wierzą lub o nim zapomnieli, będą mieli okazję ponownie się przekonać, kim jest Jajonasz.

Jajo miał niegdyś piękną ideę – chciał rozkręcić rap na Śląsku i wypromować go na nieco szerszą skalę. Świadomy potencjału, jaki drzemie w tym regionie, wspierał utalentowanych, lokalnych MC, udostępniał im swoje domowe studio, proponował bity. Nie zdołał jednak tego ogarnąć. Brakowało pieniędzy, dobrego marketingu, pomocy kogoś z zewnątrz. Później każdy poszedł w swoją stronę, wielu porzuciło rap, nieliczni ze starej ekipy tworzą coś nadal. Jajo przyznaje, że on sam nie mógł wiele zdziałać. Dlaczego? „Dlatego, że chyba nigdy nie byłem dobrym biznesmenem", odpowiada z uśmiechem.

eminem szoł?

Można by postawić kilka pytań. Czy to jeszcze hip-hop? Czy to w ogóle ma coś wspólnego z hip-hopem? Czy to jest prowokacja? Czy to może szoł? Czy to choroba psychiczna? Można by. Przedtem jednak należałoby odpowiedzieć sobie na pytania, czym są, odpowiednio: hip-hop, prowokacja, szoł oraz choroba psychiczna. Przy takiej kolejności postępowania szybko zdamy sobie sprawę, że choć pytanie będzie jedno, to odpowiedzi dostaniemy przynajmniej kilka. Albo kilkanaście. Albo kilkaset. Albo pogodzimy się w końcu z tym, że Eminema najlepiej jest słuchać, bo zastanawianie się nad tym, o co mu właściwie chodzi i po co w ogóle to robi, może prowadzić do wniosków – nie tyle błędnych, co nic nie wnoszących

tekst Kowal

A jednak spróbujmy. Krąży po świecie taki rasistowski dowcip, według którego świat się niedługo skończy, bo najlepszym golfistą jest Czarny, a najlepszym raperem Biały. Głupi to wic, ale można się skrzywić. Tiger Woods co prawda ostatnio bryluje przede wszystkim w reklamówkach, ale też mało jest osób, które przyznają, że Eminem jest najlepszym raperem. To oczywiście kwestia gustu, o gustach się nie dyskutuje, a można się najwyżej pokłócić o nie przy wódce. W każdym razie, Eminem jest w tej chwili zdecydowanie najpopularniejszym raperem. Tu chyba aż tylu głosów sprzeciwu nie będzie. Wyniki sprzedaży mówią za siebie, ale też nie tylko one. Em jest ikoną środków masowego przekazu, rozpoznawalną marką. I wcale nie trzeba znać się na rapie, słuchać go, wiedzieć o nim czegokolwiek, żeby znać Eminema.

Założenie pierwsze – osoby powszechnie rozpoznawalne nie zawsze są bohaterami pozytywnymi. Wiecie, że Saddam Hussajn był człowiekiem roku amerykańskiego Time'a? Dla wielu osób w Stanach Zjednoczonych Eminem to większe zło, niż Saddam.

Biedny był nie miał co jeść, pić, a matka ćpała i puszczała się z przygodnymi facetami. Co prawda niezależni biografowie Marshalla Mathersa często informują, że nie było tak źle, jak opowiada on w swoich tekstach, ale za miętowo też nie miał. Nie będziemy dokładnie analizować dzieciństwa Eminema, bo to już było wiele razy i wcale nie jest ciekawe. W każdym razie można się zastanowić nad tym, że albo facet w dzieciństwie rzeczywiście dostał straszliwy wpierdol od życia i dlatego, gdy dopuszczono go do mikrofonu, pofolgował sobie, jadąc po mamuście, ile wlezie; albo też jest cynicznym skurwielem, który wie, że ludzie bardzo lubią sobie posłuchać o cudzej krzywdzie. Prawda leży zapewne gdzieś pośrodku. W każdym razie, mamusia podała Marshalla do sądu. Zła kobieta chciała wyłudzić od syna część jego grubych milionów, czy też może rzeczywiście poczuła się urażona?

Kiedy czyta się kolorowe magazyny dla przygłupów, których Eminem jest częstym gościem, często można znaleźć niezwykle przydatną informację, że wszystkiego o dorastaniu naszego bohatera dowiecie się z 8. Mili, filmu opartego o wątki biograficzne, gdzie główny bohater B. Rabbit, grany przez Ema, jest Emem. Jak mówi sam zainteresowany, to nie do końca jest tak, bo choć film rzeczywiście pokazuje wiele historii, które zdarzyły się naprawdę, bądź były bardzo podobne, to jednak pozostaje filmem i nie wszystko w nim to „fakty autentyczne". Zwróciliście uwagę, że w teledysku do „Just Lose It" Em nabija się również z siebie i z 8. Mili? Nie ma przypadków? Może więc to wszystko jest od początku do końca wymyślone? W amerykańskim szołbizie już nie takie rzeczy kreowano. Skoro ktoś zrobił aktorkę i piosenkarkę z J-Lo., to właściwie wszystko jest możliwe...

Założenie drugie – ikony popkultury nie zawsze są takie, jak je widzimy. Za tym wszystkim stoją tłumy speców od public relations, marketingu i innych takich. Ważne jest, byście zwrócili uwagę na to, że „nie zawsze są takie, jak je widzimy". Istnieje więc pewne prawdopodobieństwo, że Em jednak jest taki, jakim go widzimy.

W takim razie – co widzimy? Detroit to średnie miejsce do szczęśliwego dzieciństwa. W każdym razie na pewno te okolice, w których pomieszkiwał Marshall. Syfiaste osiedla przyczep kampingowych obok szarych blokowisk. American dream w wersji startowej. Socjal zapewnia dach nad głową. Robota jest,

ale marna, mil[illegible]n dolarów na pe[illegible]no nie leż[illegible] jesz i gów[illegible] te[illegible] masz. Pozostaje pasja i uczucia. Pasja pozwala zapomnieć, pozwala też marzyć. Jeżeli jesteś hip-hopowcem, układasz rymy, masz nad łóżkiem plakaty tych typków, którym udało się zarobić na tym trochę grosza, to może pewnego dnia i ty znajdziesz się na plakacie. Pomarzyć zawsze wolno. No a uczucia? Znajdź sobie dziewczynę, razem raźniej. Rodzina, podstawowa komórka społeczna również w Stanach. American dream jest łatwiejszy do zrealizowania we dwoje? Niekoniecznie, ale stała dziewczyna/żona to przynajmniej regularny seks. O ile nie jest oziębła, bo i takie suki chodzą po świecie. Pierwsza poważniejsza partia Eminema nie była chyba do końca fajna, narobiła mu numerów jakichś, a on nagrał o niej kawałek. Pojechał ją w nim strasznie, przy okazji używając określeń lekko rasistowskich. Syf ten wyciągnął kilka lat później na światło dzienne wydawca branżowego miesięcznika The Source, rozpoczynając jednocześnie sporego kalibru kampanię przeciwko Emowi. Marshall tłumaczył się gęsto, dowalił Benzino w kilku tekstach, ogólnie wyszedł na swoje. O czym za chwilę.

Bo na razie jesteśmy przy paniach. A więc Kim, słynna Kim... To miała być ta właściwa, jedyna, no bo w końcu została żoną. Żoną i matką. Tylko że nie bardzo im się układało. Kim pracowała, a Em pracy szukał. Ze średnim efektem, na tle czego wciąż dochodziło między małżonkami do grubych kłótni. Ona kazała mu się wziąć za siebie i nie bardzo podobało jej się, że zamiast skuteczniej poszukać pracy, Em wciąż pisze teksty, łazi po jakichś koncertach i wysyła swoje demotaśmy do wydawców.

Gdy już demotaśma zrobiła swoje, Marshall wiele miejsca w swoich tekstach poświęcił żonie. Kimberly Mathers usłyszała o sobie takie historie, że... Po jednym z koncertów w Detroit, na którym się pojawiła, a podczas którego Em poświęcił jej wiele „ciepłych" słów, nie wytrzymała. Wróciła do domu i zjadła sporą ilość środków nasennych. Udało ją się uratować... Eminem jakoś się do tego odniósł, ale tak naprawdę nikt nie wie, jaki jest jego prawdziwy stosunek do eks-żony. Eks-żony wciąż posługującej się jego nazwiskiem. Eks-żo[illegible]ącej spo[illegible] szanse na to, by najbliższe dwa lata spędzić w więzieniu. Kokaina; posiadanie, do tego w momencie, gdy już była na specjalnym programie odwykowym dla ludzi nadużywających.

Po jednym z koncertów w Detroit, na którym się pojawiła, a podczas którego Em poświęcił jej wiele „ciepłych" słów, nie wytrzymała. Wróciła do domu i zjadła sporą ilość środków nasennych. Udało ją się uratować...

Mało brakowało, a do pierdla przez żonę trafiłby i Em. Kiedyś spotkał ją przed klubem w Detroit, czule całującą się z muzykiem fajansiarskiego zespołu Insane Clown Posse (też z Detroit). Dostał szału, facet dostał po buzi, a oprócz tego Em wykrzyczał mu w tę buzię, że go odstrzeli, na co istniała szansa, bo podczas krzyku machał rewolwerem...

Tak, burzliwy romans i małżeństwo zapewne pozostawiają na psychice pewien ślad. W psychikę Ema wchodzić nie będziemy, ale na każdej z jego płyt można znaleźć kilka słów o Kim. I pewnie jeszcze o niej usłyszymy.

Ale żeby nie było tak do końca nieprzyjemnie, to przypomnijmy sobie o ich córeczce. Hailie Jade to oczko w głowie tatusia. To właśnie jej obiecał, że wspólnie pojadą nad morze, żeby... utopić ciało mamusi. Córeczka też kocha tatusia, choć podobno była bardzo smutna, gdy rok temu nie pozwolił mamusi, by zapisała ją do szkoły aktorskiej. Szkoła aktorska dla siedmioletniej dziewczynki?! W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej są dziwniejsze rzeczy.

Założenie trzecie – jeżeli coś ma szansę się udać, to się pewnie nie uda. Jedno z Praw Murphy'ego? Może i jakieś takie jest, to zostało stworzone na nasz użytek, i to tylko po to, żebyśmy mogli napisać, że jednak czasami coś się udaje.

No bo zakładamy, że skoro Eminem wysyłał w różne miejsca swoje mikstejpy, to chyba po to, żeby mu się udało zainteresować kogoś swoją twórczością, prawda? [illegible]tnieje ki[illegible]a wersji histor[illegible] o [illegible]m, [illegible]ak [illegible]r. Dre dostał w swoje [illegible]cę [illegible]asetę [illegible]oz[illegible]ściami Eminema. Że się o nią potknął, że ktoś mu ją zostawił w samochodzie, że ją znalazł... Pewnie było tak, że jeden z licznych asystentów producenckiej megagwiazdy po prostu mu ją przyniósł, jako wartą przesłuchania. Przesłuchał i... zaczęło się.

Dalszą historię zasadniczo znacie. Świat przeżył szok, kiedy zobaczył typka w za szerokich spodniach, o urodzie aktywisty Hitlerjugend, ale ze złotymi kolczykami. To wszystko można mu było wybaczyć, ale on rapował. I to jak! „My name is..." A potem już samo poszło. Dre dał mu kontrakt w swoim Aftermath Entertainment, skomponował beaty, poukładał to wszystko do kupy i zaczęło się odcinanie kuponów. Trwa do dziś. I jaki ma zasięg.

Założenie czwarte – tematy tabu dlatego są tematami tabu, żeby ich unikać. Ale czy jest coś, co interesuje ludzi bardziej, niż tematy tabu?

Nie ma. Z wypiekami na twarzy słuchamy o tym wszystkim, o czym nie powinno się mówić głośno. I właśnie o tym mówimy nagłośniej. Ale nie publicznie. Eminem nie zarobiłby złamanego centa, gdyby w swojej karierze postawił tylko na flow i umiejętności składania rymów. To może przesada, trochę by zapewne zarobił, ale tu równie ważne jak świetne przygotowanie techniczne, było to, o czym jest opowieść. Nie rozbijajmy tego wszystkiego na poszczególne podgrupy. Nie piszemy książki o Emie. Ale wynotujmy: bluzga, grozi śmiercią, nienawidzi pedałów (nie gayów, tylko pedałów, starannie to podkreśla), establishmentu, polityków i kilku najbliższych mu osób. Prowokuje, przebiera się, maluje, a w swoich teledyskach zagrał już m.in. Britney Spears, Ben Ladena, Madonnę i oczywiście Michaela Jacksona.

Obraził Everlasta, zadarł z Ja Rulem, pojechał bezbronnego Benzino. Bezbronnego, bo Benzino to żaden raper, a Em spiął się na nieg[illegible], jak Ruscy na [illegible]aukaz. Co prawda ostatnio tłumaczył się z tego w utworze „Like Toy Soldiers", a w wywiadach prasowych powtarza, że ma już tyle lat, że nie chce mu się toczyć wojen. Podkreśla, że nie będzie uciekał przed rywalizacją, ale do niej nie będzie dążył.

Homoseksualiści go nienawidzą, gdyż w kraju, w którym polityczna poprawność nakazuje ich obojętnie tolerować, on nazywa ich ciotami, wyśmiewa, otwarcie manifestuje swoją do nich niechęć. W kilku miastach po kilka tysięcy ped... homoseksualistów manifestowało, apelując, by zatrzymać spiralę homofobii, którą nakręca Em i zakazać sprzedaży jego płyt. Sprzedaż wzrosła, a Em wystąpił na scenie z... Eltonem Johnem. Zaśpiewali, objęli się, a świat zbaraniał. Jeszcze bardziej zbaraniał, gdy Em tłumaczył się jak idiota, że nie wiedział, iż brytyjski śpiewak jest zdeklarowanym homoseksualistą. Tłumaczenie co najmniej głupie. A po tym występie Marshall wcale nie przestał okazywać kochającym inaczej swoich gorących uczuć.

Po dupie dostał też George Bush. W utworze „Mosh" Eminem jednoznacznie wypowiedział się przeciwko jego prezydenturze, przeciwko wojnie w Iraku, militarnym aspektom międzynarodowej polityki USA. W komentarzach po wyborach w Stanach wiele osób podkreślało, że gdyby „Mosh", który pojawił się w sieci i mediach dwa tygodnie przed wyborami, był w nich wcześniej, wynik wyborów mógłby być inny. I były to poważne komentarze. Raper, z którym walczyli zarówno republikanie, jak i demokraci, mógł wpłynąć na sytuację polityczną supermocarstwa. Nie przesadzamy trochę? Sam Em w wywiadach przed wyborami podkreślał, że po raz pierwszy idzie głosować, że trzeba wybrać – cóż za śliczne określenie – mniejsze zło. Potem, w kolejnych wywiadach, gdy Bush mógł już zacierać ręce po wygranej, żałował, że kawałek nie trafił do słuchaczy wcześniej. Na pocieszenie pozostało mu tylko to, że

Eminem ma wielki wpływ na raperów z całego świata. Tu przeczytacie, co sądzą o Slimie Shady nasi emcees.

DUŻE PE

Eminem? Świetny MC, choć niewątpliwie wypłynięcie na powierzchnię zawdzięcza szumowi medialnemu i kontrowersyjności co najmniej w równym stopniu co skillsom. Nie sposób natomiast odmówić mu fristajlowych umiejętności, trafnych i niepowtarzalnych punchlines oraz własnego, chorego stylu. Co do bitów eM'a – są moim zdaniem w znacznej większości zrobione „na jedno kopyto" (i to akurat na to, które średnio mi odpowiada). Tyle, że ludzie to kupują, więc chyba to ja mam spaczony gust...;)

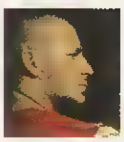

WALL-E

Na początku samozwańczy król białych raperów Eminem zupełnie mi nie odpowiadał. Był to facet, który jechał na kontrowersji, na zasadach w stylu „pierdolimy wszystkich i wszystkim kutasy do dupy wsadzimy" i tym podobne rzeczy. Mnie to nie przekonywało absolutnie. Takich samozwańczych skandalistów w Polsce też analogicznie kilku mógłbym wymienić, którzy zrobili na tym karierę. Średnio mi się to podobało jako dojrzałemu konsumentowi kultury hiphopowej. Zacząłem dostrzegać jego wartość wraz ze wzrostem jego popularności. To niekoniecznie szło w parze dla innych jego fanów, a ja zacząłem rozumieć, że on się bardzo szybko i gwałtownie rozwija. Zaplecze, które zostało mu dane w prezencie od Dr. Dre i innych hiphopowych „możnowładców", którzy za nim stali, pozwoliło mu osiągnąć dużo wyższy poziom niż na początku, kiedy go obserwowałem i kiedy mnie do siebie zniechęcił. Doceniłem go, kiedy zdystansował się od tego skandalu z Michaelem Jacksonem, w który się uwikłał i o którym wiedział, że musi go wywołać na wstępie promocji „Encore" i chwilę później zrobił bardzo upolitycznione, zbuntowane gówno związane z inicjatywą „Vote Or Die" – łączenie całego zaplecza hiphopowego w elektorat polityczny i uwikłanie ich w świadomą grę, że Bush jest kutasem itp. Zrobił to w otwarty sposób, mówi przecież „Fuck Bush". Mimo wszystko wciąż uważam, że królem białego rapu jest niezmiennie były frontman House Of Pain, Everlast, do którego mam wielki sentyment i tyle.

DAB

Uważam, że Eminem ma teksty zajebiście dobre, jeśli chodzi o technikę, ma zajebiście dobrze pojechane rymy, jest oryginalnym skurwysynem, ale myślę, że lajtowo przesadza i często szuka sposobów na zdobycie sławy, jakiegoś poklasku poprzez napierdalanie na swoją rodzinę – a ja tego nie pochwalam. Na pewno Eminem robi też dobre show, gra zajebiste koncerty, ale nie ma co się dziwić przy takiej stawce...

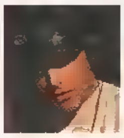

FU

Eminem to na pewno wielka postać w świecie hiphopowym, tego się nie da ukryć. To człowiek, który posiada wielką kreatywność i bardzo duży potencjał. Ma bardzo bogaty zasób słów, według mnie, na co dowodem jest to, jakie rymy pisze, jak je składa i jakie ma kawałki. Wielu emcees nie tylko w Stanach, ale także i w krajach europejskich, w tym w Polsce, powinno brać przykład z jego twórczości. Jako producent, moim zdaniem, bardzo szybko się rozwija. Na początku jego produk-

wyraz[illegible] znania przesłał m[illegible]oby. Gur[illegible] tec[illegible]no, któreg[illegible]ine[illegible] śmiewał w swoich kawałkach, a podczas trasy The Eminem Show uśmiercał w zainscenizowany sposób jego kukłę...

Założenie piąte – są rzeczy, które nie śniły się trzeźwo myślącym ludziom. Na przykład to, że właściwie nie wiadomo, o co w tym wszystkim chodzi.

Choć jest to naprawdę bardzo proste. Hip-hop to kultura ulicy. Na ulicy mówi się prostym językiem. Mówi się o wszystkim, nawet o tych rzeczach, o których mówić się nie powinno. To, co nie uchodzi w eleganckich pomieszczeniach, na ulicach wielkich miast, ale i małych miasteczek, jest rzeczą normalną. Hip-hop to wolność wyrazu, sposób na to, by opowiedzieć o znienawidzonym przeciwniku, najlepszym przyjacielu, kochance, matce, najebce, uzależnieniu, wojnie i seksie oralnym. Hip-hop pozwala na wszystko. Ch[illegible]odzić w czarnyc kapturach i białych adidasach – chodź sobie; chcesz nosić na sobie tony złota – noś sobie; chcesz ćpać – ćpaj sobie; chcesz uwielbiać Boga każdego dnia – a proszę bardzo. Można mówić o wszystkim, należy to jednak robić w taki sposób, by zainteresować innych. MC rymujący do szafy, to chuj nie emcee. To ma sens tylko wtedy, gdy wyjdziesz z tym poza własny pokój. Okoliczności mogą sprawić, że będziesz musiał udowodnić, że twoje jest najlepsze, a gdy pójdziesz jeszcze krok dalej, zacznie się już biznes. Zacznie się wymiar komercyjny. Ale to wciąż hip-hop.

Mogą go najwyżej nie sprzedawać niektóre sklepy, nie puszczać niektóre telewizje i rozgłośnie, a politycy mogą mówić podczas swoich spędów, że niemoralność należy piętnować. Szołbiznes to jednak taka mafia, która potrafi to wykorzystać do celów marketingowych.

Eminem wydaje się człowiekiem, który poszedł dwa kroki dalej. Wyczuł koniunkturę i postanowił wykorzystać ją tak dalece, jak się tylko da. A szołbiznes powitał go z otwartymi ramionami. Oto mamy bowiem bluzgającego wymoczka, który w inteligentny sposób potrafi piętnować pewne rzeczy – co jest wzniosłe i warte pochwały, ale też w obrzydliwie obleśny sposób opowiada o rzeczach, które nigdy nie powinny stać się tematem piosenek. I jeżeli dodamy do tego teledysk, obrazek fajny jakiś, to będziemy bogaci. Bo nie zapominajmy, że w Stanach jest wolność słowa i nikt nie może zabronić Eminemowi, żeby nie mówił rzeczy niepopularnych. Mogą go najwyżej nie sprzedawać niektóre sklepy, nie puszczać niektóre telewizje i rozgłośnie, a politycy mogą mówić podczas swoich spędów, że niemoralność należy piętnować. Szołbiznes to jednak taka mafia, która potrafi to wykorzystać do celów marketingowych. Bo na przykład Eminem podczas swoich koncertów puszcza na telebimie obrazki z twarzami ludzi, którzy go publicznie piętnują. Świetnie się bawi. Wolność słowa.

Spójrzcie, co zrobił Michaelowi Jacksonowi. „Just Lose It" to chyba jeden z najbardziej przegiętych klipów w historii szołbizu. Prawnicy Jacksona zaapelowali do wszystkich stacji muzycznych, by wstrzymały emisję teledysku, w którym Em robi to wszystko, co rzekomo robił gwiazdor. Tylko BET (Black Entertainmet Television) zdecydowała się wstrzymać emisję. To telewizja Afroamerykanów, dla nich Jackson wciąż jeszcze jest legendą. Reszta puszcza w najlepsze. Prawnicy straszą procesem. Straszyć zawsze można.

I na koniec...

To wszystko możliwe jest tylko w Ameryce. I wcale nie wiadomo, czy zazdrościć tym Amerykanom, czy raczej im współczuć...

cje zbytnio mi się nie podobały, nie trafiały w mój gust, a teraz widać, że to, co robi, jest o wiele lepsze i idzie w dobrym kierunku. Co tu dużo mówić, gościu się bardzo szybko rozwija, kolejne produkcje schodzą jak świeże bułeczki i na pewno jeszcze długo, długo będzie on śmigał w TV, długo jeszcze będzie go można usłyszeć, bo ma bardzo dużo do powiedzenia. Moim zdaniem jest na pewno królem, jeśli chodzi o białych emcees.

VIENIO

D[illegible] mnie ten koleś. Dobry ma styl, ale nie lubię tego, co ma do zaprezentowania jako osoba. W sumie ostatnimi czasy zaangażował się w kampanię prezydencką, ale ja będąc tam zobaczyłem, że w USA chyba wszyscy angażują się w tego typu sprawy. Eminem (słyszałem to od wielu ludzi w Stanach, ale zgadzam się z tą opinią) obracając tą kasą, jaką posiadają tamtejsi raperzy, jest częścią większego bałaganu hiphopowego w USA, a to mnie w sumie mało obchodzi, gdyż już wszystko jest tam hip-hopem – począwszy od butów czy reklam w TV, do promocji np. samochodów. Eminemowi udało się w pewnym czasie osiągnąć sukces, okej, tego nikomu nie mam za złe, muzykę robi się też po to, żeby zaistnieć i trudno mieć o to do niego pretensje. Jednak jako raper średnio mi odpowiada.

WOJTAS

Nie wiem, co sądzić o Eminemie. Nie jaram się raczej jego muzyką, [illegible] dla małolatów taka podpałka. Nie, nie jaram się nim zupełnie.

ŁONA

Do Eminema mam ambiwalentny stosunek i nie ma o czym mówić.

zebrał GRB

jimson
lord jim

Gdybyście zapytali o trójkę najpopularniejszych obecnie artystów undergroundowych, odpowiedź byłaby prosta do przewidzenia: Tetris z jego równiutkim flow, wyobraźnią i wolnymi stylami na podorędziu. Reno – bełchatowski władca punchline'ów. Tych dwóch mieliśmy już jednak na łamach. Zabrakło trzeciej osobowości – Jimsona. Epka nagrana z Cbk jako Miejski Klasyk została entuzjastycznie przyjęta przez szerokie spektrum rap-prasy. Mieszkający w Słupsku Jim nie zaprzestał ewolucji, i szybko wykroczył poza schemat duo typu „gracz i poeta". Treść zaczęła iść w parze z formą, a głęboki, niski wokal nie pozwalał odejść od głośnika. Obecnie jest chętnie zapraszanym mc, z którego ciętym zdaniem należy się liczyć, i który zdołał odrzucić już trzy propozycje wydawnicze, by budować podziemie z prawdziwego zdarzenia. Sprawdźcie, co ma do powiedzenia, a także numer na naszym cover CD

rozmawiał Flint (CS)
foto Archiwum artysty

Dla odmiany zacznę od niepoważnego pytania. Co słyszysz częściej – nastolatki piszczące ci do ucha „uuuuuu, Jimson, masz taki sexy głos, normalnie jak Fokus", czy może raczej nabitych gości warczących „Te, duży, chono tu, sprawdzimy, czy jesteś taki kozak, na jakiego wyglądasz"?
Co do głosu, to moja dziewczyna najchętniej założyłaby jakiś antyspam na tego typu mejle, z kolei jeśli chcesz powiedzieć mi, że Fokus ma obiektywnie sexy głos, to zaraz sobie wydepiluję nogi, przykuję się do łóżka, włączę „Zimnąfuzję" i będę czekał... Albo od razu będę robił za stolik z „White Slavery" Necro. Ten tembr ma chyba najwięcej zwolenniczek wśród tego typu preferencji. A problemów z „chętnymi podbić" nie mam właśnie z racji postury, to chyba tylko wyobrażenie.

Nielatwo cię rozgryźć. Początkowo wydajesz się muzycznym ortodoksem, który wścieka się na Reno, że ten w ogóle śmiał pojechać w wywiadzie po kalifornijskim podziemiu. Gościem, który w swoich tekstach zwraca uwagę na to, czy słowa lajnie się do siebie lepią, względnie błyskotliwość metafor. Ostatnio twój gust zdaje się raptownie rozszerzać, w wersach pojawia się Jimson, który siedzi w wannie, a obok ma paczkę żyletek, czy też rozprawia o religijnych kwestiach.
Kawałki robione dla samego wajbu, dla pokazania skilli, podwójnych z odwróconymi podwójnymi przeplatanymi potrójnymi to element zajawki, który mija w momencie, kiedy zadajesz sobie pytanie „I co z tego?" albo dochodzisz do tego, że są lepsi. Ja sobie zadałem to pytanie, odpowiedź przekonwertowałem na własną ambicję i wyszedł mi rezultat w postaci dążenia do katharsis. Oczyszczenia poprzez rap. Niewiele jest lepszych uczuć, niż stan po lewatywie najgłębszych emocji w postaci napisanej zwrotki, ale nie można popadać w całkowity brak eklektyzmu w przypadku rapu. Nie przesadzać z tym, choć działa narkotycznie...

Najlepszą reklamą dla Miejskiego Klasyku był udział na drugiej części Kodeksu. Chętnie usłyszę historię kawałka, zwłaszcza, że White House mieli przy nim mniej roboty, niż można by sądzić.
Jakoś w wakacje 2002 zrobiliśmy ten track razem z moim ziomblem Trawą, ja znalazłem sampel, dołożyłem bębny. Pamiętam, że z milimilimilisekundową precyzją przestawialiśmy z Michałem werbel, żeby tchnąć więcej życia w bit. Przy wielkim krytycyzmie dla własnych bębnów i szacunku dla LA – słyszałem kilka opinii, że moja wersja buja właśnie lepiej i pewnie przez to, bo przez co innego (śmiech). Następnie nagraliśmy numer, Biały Dom usłyszał to będąc w jury pewnego konkursu na demo, podkupił nas paroma bitami, których nawet nie wykorzystaliśmy i zgodziliśmy się na zrobienie reedycji do nich na płytę. Przekazałem sampel wiodący, namieszało się troszkę w naszych szykach i w końcu trafiło „re-dokładnie w twoich uszach" ze świeżą zwrotką Ce i moją – niespecjalną jak na 2004. Tak odnośnie sensu pytania, to nawet cuty z refrenu są przeniesione z mojego pomysłu w wersji alfa.

Jak wygląda teraz przyszłość zespołu i co z Melli Fam?
Melli Fam is worth dying for (śmiech). Teraz, kiedy Miejski Klasyk w zasadzie zawiesił działalność produkcyjną, jeszcze bardziej nabiera charakteru ekipy ludzi, którzy po prostu dobrze się ze sobą dogadują. Chłopaki z Finezji Słowa zaczynają pracę nad drugą płytą, będzie na niej więcej producentów m.in. Bitniks, Wuerro, D. Łebek. Ja mam skończony swój album, Michał ma maturę, a Cebek jest szalonym pizzadrajwerem. 2005 jest nasz. Nawet Pih będzie miał to w tekście, zobaczysz.

Na „Najwyższy czas EP" masz utwór poświęcony ucieczce, temat ten powraca przy okazji featuringu u Deobe i Deny. Gdzie, a może raczej jak, uciekasz?
Uciekam ku oazie wiecznego szczęścia, gdzie obwieszone soczystymi i pachnącymi niczym z portugalskich sadów owocami, nimfy o słowiańskich rysach twarzy wachlują stopy mi, czyli swojemu patriarsze. A tak naprawdę do muzyki, nie lubię myśleć w ciszy, jakbym miał więcej samozaparcia, to zabierałbym ze sobą ją nawet do wc, a samozaparcie zostawiał za drzwiami (śmiech). Zresztą „nie byłem nigdy w stolicy", ale jak już trafiłem, to dla takiego biednego rybaka jak ja, niemalże szokiem kulturowym okazał się lecący cichutko Satchmo, podczas załatwiania swoich spraw. Rewelacja.

Kiedyś było tak, że żeby z kimś coś nagrać, trzeba było strasznie mocno się ziomkować, kilkakrotnie upodlić alkoholowo i odbyć przynajmniej jedną ciężką rozmowę o życiu. Przełamujesz ten stereotyp – nie dość, że dajesz się zapraszać ludziom, których praktycznie nie znasz, to jeszcze sam zapraszasz.
Ja z takiego założenia nie wychodziłem nigdy. Rozumiem, do czego pijesz, ale upić to ja się wolę singlem Esz Esza. Słuchać go, przeżywać różne ekscytacje i jeśli będąc pod wielkim wrażeniem dogaduję się z nim na wspólny numer, to nie widzę przeszkód, że dzieje się tak po przesłuchaniu jednego kawałka. Chemia może zupełnie nieoczekiwanie zaistnieć nawet w takich przypadkach, niezależnie od odległości. Internet poniekąd zabija hip-hop, ale i pobudza do rozwijania się jako raper poprzez poznawanie ciekawych ludzi, nurtujące rozmowy. Znam to po sobie i wychodzę z idealistycznego założenia, że człowiek reprezentuje się muzyką najzupełniej szczerze.

Nasz rynek jest specyficzny – tu praktycznie nieznane zespoły nagrywają praktycznie niezauważane legale. Nie ma lzw. „paying dues", długoletniego okresu przedzierania się, zabiegania o szacunek. Tymczasem mam wrażenie, że kiedy będzie wychodzić pierwsze solo Jimsona, hiphopowa polska będzie dobrze wiedzieć kto Jo...
Troszkę przejaskrawiłeś. Teraz wyszła epka Tetrisa, mój lp wyjdzie również na nielegalu, epka Smarka także, plus jeszcze kilka ciekawych produkcji się zbliża. Zaczynam zauważać, że to, co się dzieje w mejnstrimie (gdzie chyba już naprawdę zapomniano, co to wosk, a pamiętam 12-lkę Ascetoholix nawet) powoli, ale postępująco, zaczyna odwracać ludzi w stronę undergroundu. Powiem więcej, underground zaczyna być modny, to jest być może początek czegoś wielkiego. Chodzi mi tu rzecz jasna o reprezentowanie pewnych postaw, nie usilne, ale całkowicie naturalne. Handlarze hery na legalu, fanatycy z megaskillami jak Tetris w podziemiu. Ludzie zaczynają widzieć „Kto jest małym bratem a kto bękartem". Miałem 3 propozycje wydania płyty, bez wysyłania żadnego dema rzecz jasna, ale zrezygnowałem, m.in. dlatego, że nie uważam, że polski Rawkus to utopia.

To ciekawe, bo nawet amerykański Rawkus okazał się utopią...
Ale kiedy to się stało i ile muzyki zawdzięczamy czasowi, w którym istniał. A przede wszystkim – jakiej...

Na koniec powiedz, czego można spodziewać się na solo. Masz już jakieś gorące rymy do „Wiktor Juszczenko", żeby być na czasie?
Jeden – „Tymoszenko", skillowo niespecjalny, niech mi wybaczy pogłowie wyrobników kwadratowych poczwórnych (śmiech). Co do solo, myślę, że poszedłem krok dalej, jeśli chodzi o formę i flow. U nas w Polsce nazwą to off-beat, a to jest po prostu dwa, a nawet cztery razy gęstszy podział rytmu. Mojej dziewczynie się np. to nie podoba, ale spoko, szukam swojej Jurtki i uciekam przed próbującymi cokolwiek kopiować. Wiadomo. Lekki przedsmak znajdziecie na płycie Eldo/Bitniks nadchodzącej niebawem.

Ekipa Stoprocent życzy wszystkim,
kolejnego szalonego i udanego
nadchodzącego 2005 roku,
no i tradycyjnie zdrowia, szczęścia
i wesołych Świąt.

stoprocent®
Prawdziwe ubrania od 1999

de la soul
po stokroć weselsi

„Chodziłem po wodzie, kiedy zobaczyłem krokodyla / Miał stokrotki w swoim kapeluszu, więc zatrzymałem go na moment / dostarczył mi wiadomość" – rymuje Dove. „Krokodyl powiedział „Dove, musisz spojrzeć / teraz łajzy usiłują trzymać cię pod wodą / trzeba zwrócić uwagę na jedną rzecz / Walkmany Sony pozwalają nam chodzić / De La Soul pomaga ci oddychać przy przekraczaniu wody"

tekst Flintstone (CS)

Raper kontynuuje wędrówkę, podczas której spotyka wiewiórkę, przedstawicielkę ginącej populacji – „Potrzebuję wody jak stokrotka / potrzebuję orzechów do jedzenia". Zwierzątko domaga się również odnalezienia Pastmaster Mase'a. „Problem nie może zostać rozwiązany / kiedy nie ma tu nikogo do pomocy, nikogo kto by się zaangażował / zawsze szukaj pozytywnej strony i nigdy nie opuszczaj głowy / woda zaleje nas, jeśli nie damy rady jej przekroczyć/ więc przekroczmy wodę". W tym momencie mikrofon przejmuje Pos, opowiadając o tym jak chciał się wykąpać we własnej wannie i odczuł nagle łaskotanie. „Cześć, jestem panem rybą" rzekł niespodziewany gość. „Jak się masz, bo ja czuję się wspaniale / gdyż moja woda jest czysta / a świeży rybny filet nie jest w niczyim menu / musisz spojrzeć wstecz na swoje problemy / mimo że masz dość, podnieść głowę / z małą radą ode mnie / i to jest właśnie przekraczanie wody". Pos spędza resztę dnia na bezproduktywne włóczenie się po ulicach. Spotyka... nie zgadniecie, pana małpę. „Moje banany są już dojrzałe, ale / wszystkie są na wysokości trzech stóp / moja ręka jest zabandażowana, pomożesz mi?". Raper prowadzi futrzaka do sklepu, kupuje mu kopie nagrań De La, dzięki którym może dosięgnąć owoców. W zamian Posowi zostaje wskazana ścieżka, która pozwala mu zachować zdrowie w warunkach showbiznesu. Przekroczyć wodę.

***

Zastanawiasz się teraz, drogi czytelniku, co to za debilna, infantylna historyjka. Po pierwsze, nie należy lekceważyć bajek i ich prostych prawd ukrytych za niepoważnymi postaciami. Ezopa, La Fontaine'a czy Krasickiego można oceniać na różne sposoby, ale z pewnością nie byli kretynami. Po drugie, utwór ten jest manifestem określonego stylu i światopoglądu. 1989 to rok, w którym większość uszu zwróconych jest w stronę radykalnych Public Enemy i ulega ekspansji gangsta rapu spod znaku NWA. Marsowe miny, zaciśnięte szczęki, aż strach się uśmiechnąć. „To dotarło do punktu, w którym powinniśmy powiedzieć: Wiesz, nienawidzę mówić o getcie, o tym jak jest tam ciężko, o tym jak dużo musiałem kraść. Mówiąc o tym w kółko, jedynie to napędzasz.(...) Czasem każdy się śmieje, przytula matkę, daje miłość swoim dzieciom, robi dużo więcej od sprzedawania narkotyków i okazyjnego bicia dziwek. Jesteśmy przecież za mądrzy, żeby nie stanąć ponad czymś takim" – twierdzi tymczasem członek De La Soul. Zespół nie jest nawet głosem z getta, to głos z przedmieść ubrany w sympatyczne hipisowskie opakowanie. Triumf wyobraźni i tego, co w hip-hopie najważniejsze – wolności. Pierwszy album niesie za sobą kilka postulatów. Po pierwsze, rozszerzyć horyzonty producentów – macie ochotę inspirować się popem, soulem, disco, a nawet country? Proszę bardzo. Po drugie, rymować o wszystkim, na co ma się ochotę, łącznie np. z „nieprzyjemnym zapachem ciała". Mniejsza już nawet o cytowane na wstępie „Tread Water", przyjrzyjmy się np. takiemu „Potholes in my lawn". Utwór już samym tytułem sugeruje abstrakcyjne podejście do „rymopisarstwa". Wykorzystane są w nim próbki jodłowania i dźwięki harfy. Jak widzicie, kreatywność rzeczywiście nie miała tu granic. Debiutancka płyta Posdnuosa, Trugoya The Dove i Pasemaster Mase'a nosi nazwę „3 Feet High and Rising". Pamiętacie jeszcze bajeczkę ze wstępu? Tak, to na tej wysokości wisiały banany pana małpy. I to ta wysokość rośnie, łącznie ze wzrostem nienawiści i gniewu w rap środowisku. W opowiastce były również i stokrotki. Owe, zupełnie miłe, nikomu nie przeszkadzające kwiatki z białymi płatkami i żółtym środkiem, licznie zdobiły krzykliwą okładkę „3 Feet...". Co więcej, mówi się o tym, że De La Soul zapoczątkowało w hip-hopie nowy okres, nazywany właśnie „daisy age". Samo słowo „daisy" było oczywiście pisane dużymi literami z kropkami pomiędzy nimi i rozwijało się do „Da Inner Sound Ya All". Ale i tak wiadomo, o co chodzi. Wszystkim, którzy gotują się teraz z hasłami w stylu „to durne hipisowskie pomioty, pewno nakwasiły się do granic możliwości i cisną nam pseudoidelogię" warto wytłumaczyć, że panowie krzesali miliardy kilodżuli pozytywnej energii z własnych charakterów, a ich stanowisko, liberalne pod względem twórczej swobody, w tym akurat aspekcie było ostrzejsze (odsyłam do numeru „Say No Go").

***

Minęło 15 lat. Kevin Jones z magazynu Word chłodno stwierdza, że „De La Soul widziało wzloty i upadki wielu rap-bohaterów, łącznie z niemal wszystkimi związanymi z legendarnym ruchem Native Tongues". Beatmaker Prince Paul zajął się czymś innym. Przegrana sprawa o wysamplowane bez zgody The Turtles była mocnym ciosem. Na drugiej płycie „De La Soul is dead" zamiast niewinnych stokrotek mamy przewróconą popękaną doniczkę ze słonecznikami – to oczywiście symbol zmian. Ale panowie wciąż wiedzą jak cieszyć się życiem i cieszyć innych, czego dowodzą na najnowszym, siódmym (pomijając składanki i koncertówki) lp „The Grind Date". A, że „Oooh", promowany klipem wystylizowanym na „Czarnoksiężnika z krainy Oz" przebój grupy, to już nieco inna bajka niż „Tread Water". Cóż, bywa...

DE LA SOUL
THE GRIND DATE
SANCTUARY RECORDS GROUP LIMITED

Zaczęli w 1989 roku. To już 15 lat. Krótko i na temat – fajny sobie na te 15. urodziny sprawili prezent. The Grind Date jest bowiem z pewnością płytą zasługującą na baczną uwagę tych wszystkich, którzy w hip-hopie cenią elegancki styl, otwarty umysł i bezkompromisowość.

Bezkompromisowość? A tak, jak najbardziej. Cóż z tego, że na płycie gości Sean Paul (tylko w europejskiej wersji), skoro singlowy utwór oparty jest o beat Madliba – i tu od razu trzeba napisać, że „Shopping Bags (She Got From You)" to rzecz doskonała, niemal bliska ideałowi. Zwłaszcza w zalewie niemal identycznej papki serwowanej ostatnio przez afroamerykańskich raperów z „górnej półki". Temat, wdzięk i pomysł.

Ta płyta zaskakuje, bo kto by się spodziewał, że dziadkowie mają w sobie jeszcze tyle sił? Drwię oczywiście, ale ostatnie pozycje De La przyzwyczaiły nas raczej do stonowanej jazdy, zarówno w warstwie muzycznej, jak i tekstowej. Tymczasem tu nie brakuje odważnych pomysłów muzycznych, czytelnie nawiązujących do brzmień klasycznych, ale jednocześnie nowoczesnych, mogących się spokojnie wpisać w gusta dzisiejszych odbiorców hh. Posłuchajcie choćby drugiego na płycie „Verbal Clap", produkcji J-Dilli; oldskulowe beaty, sample z Ricka Wakemana, a jednocześnie całość brzmi bardzo rawkusowo. (Skoro już jesteśmy przy wytwórniach, choćby tylko z okazji porównań, to ciekawostka – De La nowy album wydali w wytwórni należącej do ojca Beyonce Knowles i są jej pierwszym hiphopowym wykonawcą.)

Ciekawi goście. Możecie posłuchać kilku słów od samego Spike'a Lee (niestety, nie rapuje:)), pojawia się szalony Flava Flav, wspaniale śpiewa Carl Thomas, Common jest jak zwykle niezrównany, trochę rozczarowuje Ghostface. No i zupełnie niespecjalnie brzmi Sean Paul, ale jego jest już po prostu za dużo wszędzie.

The Grind Date to flirt ze wszystkim gatunkami muzycznymi, które miały wpływ na rozwój rapu. Sporo tu jazzu, usłyszymy wpływy muzyki gospel, dużo dobrego, głębokiego, pulsacyjnego funku. Delikatna dawka syntezatorów przypomina, że elektronika jest już dziś wszędzie, ale umiejętnie wykorzystana nie zabija ciepła klasyki (tu piję do wszystkich modnych ostatnio „ostrych" dźwięków, namiętnie lansowanych przez afroamerykańskich artystów). Jednym słowem – styl.

Teksty zaś to wyczucie, dojrzałość, humor i po prostu ciekawe historie. 15 lat na scenie i taka forma? To cieszy i każe pozytywnie myśleć o... kolejnych 15 latach. **k.**

2004 B3. All rights reserved. Ad: Sewer

B3 s.c. ul. Jaracza 76 90-251 Łódź TEL. / FAX: +48 - 42 / 678 21 56, +48 - 42 / 678 69 70 INF. HANDL. O

B3 CLOTHING CO.
WWW.B3BEFBEE.COM

CINQ G

"P.I.E.C.G.I.E. PANAMA"

Wigor Mor W.A.
sztuka władania słowem część 07

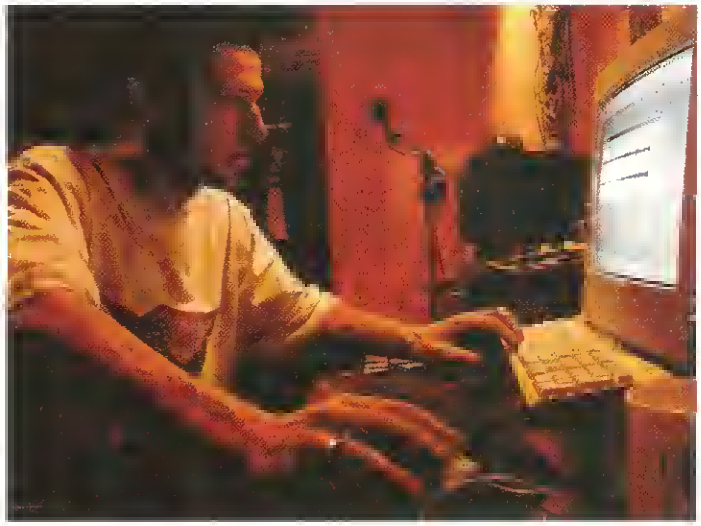

Ostatnimi czasy w naszych wspaniałych mediach dzieją się rzeczy nie do pomyślenia, a co najmniej dziwne! Zdaniem wielu polski hip-hop na tyle się upowszechnił, że chyba już nikogo nie dziwią różne jego przejawy. Przestaje on zaskakiwać, a do tego ludzie tracą jakąkolwiek orientację pomiędzy wykonawcami, którzy naprawdę coś znaczą, a amatorami kwaśnych jabłek. Najsmutniejsze jest to, że większość nie dostrzega różnic, nie zauważa przepaści, jaka dzieli klasyczny polski rap od tej całej gównianej masówki

tekst Wigor

Odnoszę wrażenie, że dobiegający już końca 2004 obfitował w zbyt wiele dziwacznych ekscesów związanych z rapem. Faktycznie, medialnie jest go mnóstwo, głównie za sprawą telewizyjnych, ale zacznę od początku. Całkiem niedawno zostałem wprawiony w prawdziwe osłupienie. Przerzucając kanały natrafiłem na niejaki program typu „reality show", w którym to super-prowadzący z wielkim uśmiechem na twarzy i charyzmą zapowiedział zespół rapowy, o którym w życiu nie słyszałem, a nazwę stanowił kolejny skrót nie do rozszyfrowania (a propos skrótów to już jest jakaś istna plaga).

Tenże skład raperów zaprezentował dwa utwory oparte na loopach, z których jeden był na tyle charakterystyczny, że już kiedyś słyszałem go w użyciu. Nic jednak nie przebije ich wizerunku, sposobu poruszania się, no i oczywiście samego rapu. Koleżkowcy obwiesili się jakimiś łańcuchami, jeden z nich operował ruchem scenicznym - dosyć popularnym - machanie w miejscu jedną rączką do znudzenia, bo przecież w drugiej trzymał mikrofon (wyglądał jak kukiełka na sznureczkach). Dwa kroki do przodu, dwa kroki do tyłu robili pozostali koledzy (widocznie przejęci i stremowani), a najlepsza była publika, która wyraźnie reagowała z przymusu, bo przecież to program na żywo. Dwie zblazowane panny w pierwszym rzędzie bawiły się, jak za karę. Z ich twarzy biła wyraźna doza niepewności co do wykonywanego utworu. Treść kawałka była bardzo poważna i nostalgiczna. Słowa refrenu jakże oryginalne, cytuję: „a teraz rymujemy i płaczemy, płaczemy..." Brawo panowie, idealnie wstrzeliliście się w sytuację!"

Nad takim wykonaniem i samym pomysłem na pokazanie się w podobnym programie można się tylko rozpłakać. Poziom rapu żenujący, kwadratowe rymowanie i wieśniackie przeciąganie słów, jak przystało na amatorów. Zastanawia jedno. Jakim cudem tacy pacjenci występują w programie o ponadprzeciętnej oglądalności. Zapewne jeden z rodziców zna jakiegoś kierownika artystycznego i załatwił synkowi występ przed kamerami, czy coś w tym stylu, a może jakaś gwiazda im nawaliła i podparli się w ostatniej chwili raperkami z pobliskiego podwórka? Myślę, że pierwsza możliwość jest bliższa prawdy, znając reguły polskiej telewizji. Wiem z relacji, że wystąpił już w tym programie jeden polski zespół hiphopolowy i może od tamtego czasu nikt już nie wykazał inicjatywy, a kierownicy produkcji bardzo chcieli pokazać jakiś „rap", bo przecież to teraz takie popularne. Właśnie takie zagrywki są najbardziej wieśniackie, ponieważ ośmieszają rap i lekceważą prawdziwą polską scenę!

Ludzie, którzy nie mają jeszcze wyrobionego zdania o rodzimym rapie, padają ofiarą właśnie takich telewizyjnych bubli. Przypuszczalnie wychodzą z założenia, że skoro w tak znanym programie puszczają coś takiego, to musi to być dobre. Tak naprawdę to już nie mój problem, tylko szkoda, że tego typu incydenty świadczą o ciągłym braku gustu i rozeznaniu struktur medialnych pomiędzy amatorszczyzną a profesjonalizmem. Z jednej strony można to zlekceważyć i się z tego śmiać, bo przecież kto ma wiedzieć, ten wie, co ze sobą niesie godny, wysoki poziom. Z drugiej strony denerwuje to, że tacy goście zamiast się pchać (byleby tylko się przylansować), powinni długo jeszcze siedzieć cicho i nagrywać, aż coś im z tego wyjdzie, a na rewelacyjnych raperów to się nie zapowiadają. Tak sobie myślę, że wpadli na ten genialny pomysł, bo chyba popadli w jakiś samo zachwyt albo paru kolegów poklepało ich po ramieniu, że robią fajny rap. Rzeczywistość jednak jest brutalna, a takim posunięciem w kręgach rapowych szacunku nie zdobędą. Taki wybryk to najlepszy przykład na to, że w naszym kraju zapanowała wszechobecna moda i popularyzacja hip-hopu, którego kondycja niestety na tym cierpi. Kolejnym przykładem telewizyjnej abstrakcji, z jaką miałem okazję ostatnio się spotkać, to najnowszy utwór zespołu Piersi z Kukizem na czele. Osobiście do gościa nigdy nic nie miałem, ale tym razem mnie zniesmaczył. Niby jego kawałek pt. „Nie gniewaj się Janek" to parodia jego własnego utworu, ale oczywiście żeby zwrócić większą uwagę, Kukiz robi z niego singiel pseudo-rapowy, zapewne licząc na to, że bardziej chwyci. Jak sam niby rapuje: „to łatwy jak skurwysyn dostęp do kapuchy, wystarczy walnąć rymo i zajebać komuś loopy". W tym jednym wersie chciał chyba skwitować podejście wszystkich producentów w tym kraju, nawet tych najbardziej ambitnych, tworzących własne kompozycje. Irytuje mnie też stwierdzenie, że to łatwy dostęp do kapuchy, kiedy ja sam nigdy takiego nie miałem, a na scenie jestem już parę ładnych lat. Żeby utrzymać się z wykonywania tej muzyki, przede wszystkim trzeba grać koncerty, a z tymi bywa bardzo różnie. Fakt faktem, że kilka płyt w tym kraju sprzedało się w niezłym nakładzie, ale od dłuższego czasu panuje recesja i jak nie nałożą jakichś kar za nielegalne ściąganie czy coś w tym stylu, to będzie jeszcze gorzej. Kukiz walnął swoje rymy pod loopa swojego kolegi, ale nie pokazał niczego specjalnego. Prześmiewczo rymuje, że w rapie czuje się jak ryba, kiedy to jego wykonanie jest kostawe i nagrane na odwal. Zapewne taki właśnie efekt chciał osiągnąć, bo przecież to muzyka dla mało wymagających i każdy może być pseudo-raperem.

Dalej lecą słowa „przechodzę na raperkę i nowe prądy tworzą". Gratuluję zmiany profesji, bo po co się spinać, skoro można odjebać fuszerkę, a nowym prądem jest kolejny kompromitujący kawałek nie mający nic wspólnego z polskim hip-hopem. Uwzięli się na ten polski rap czy co? Tak naprawdę to jeszcze kilka lat temu był na medialnym marginesie, a większość wieszała na nim psy. Dzisiaj nikogo już nie dziwi to, że jest go aż do przesady, tylko szkoda, że tak niewielu wykonawców trzyma równy poziom. Kiedyś był on tematem tabu, a dzięki temu produkcje cieszyły się większym zainteresowaniem głównie dla wtajemniczonych. Niewątpliwie od kilku lat zapanowała moda, która wbrew pozorom, moim zdaniem, już niedługo może wyparować i wszystko wróci do normy. Zwróćcie uwagę, że im bardziej był nieprzystępny, tym wzbudzał większe zainteresowanie. Teraz jest wszędzie, na każdym kroku i ludzie na tyle się do niego przyzwyczaili, że powoli staje im się obojętny.

Z jednej strony to dobrze, że zrobiło się o nim głośno i zwrócił on na siebie większą uwagę jako zaistniałe zjawisko, jednak z drugiej komercjalizacja ograniczyła jego tajemniczość.

Mam cichą nadzieję, że sytuacja się ustabilizuje już za kilka lat, że prawdziwi słuchacze nie odstąpią go na krok, a podszywacze się wykruszą, że media nauczą się traktować jego kunszt z większą uwagą i dobrym smakiem. Na zakończenie chciałbym jeszcze dorzucić parę zdań dotyczących odbiorców tej muzyki w naszym kraju.

Wiemy, że rap cieszy się dużym zainteresowaniem, bo jest na niego zapotrzebowanie, tylko co to znaczy? Szczególnie ułożsamia się z nim młode pokolenie, co najlepiej widać na koncertach, gdzie średnia wiekowa nie przekracza 18 lat. Młodzi są bardzo podatni na wpływ polskiego rapu, na jego treści i styl życia. Podpatrują i przeważnie naśladują, czy też szukają swoich wzorców. Z jednej strony to dobrze, z drugiej może to stanowić swego rodzaju zagrożenie, ponieważ często przeinaczają albo po prostu nie rozumieją do końca przekazu, który jest do nich kierowany. Wraz z promowaniem naszej drugiej płyty „Morwa Drzewo" pojechaliśmy na nietypowy koncert do Zamościa, gdzie zaprosił nas miejscowy ksiądz w celu zagrania koncertu w domu parafialnym. Było to dla nas swego rodzaju wyróżnienie, ale również zaskoczenie, że zagramy tego typu sztukę. Koncert był bardzo udany, a tuż przed nim porozmawialiśmy sobie od serca z owym księdzem, młodym człowiekiem zaangażowanym w sprawy młodzieżowe w jego mieście. Miejscowa sytuacja to najlepszy przykład na to, o czym pisałem wcześniej. Dowiedzieliśmy się, że dzieciaki słuchające rapu nie widzą poza nim nic ciekawego w życiu. To nie rodzice ani nauczyciele czy też ksiądz stanowią dla nich autorytety, tylko właśnie nasze teksty i poglądy, jakie w nich opisujemy. Jak to powiedział ksiądz: „nie chcą słuchać nikogo innego poza wami, tylko wy macie na nich jakikolwiek wpływ". Sytuacja jest o tyle dramatyczna, że wzrósł tam współczynnik popełniania samobójstw przez nastolatków. Przyczynia się również do tego nadużywanie mocniejszych narkotyków typu amfetamina czy piguły, przez co miesza im się w bani.

Przykra sprawa, ale prawdziwa. Niestety dzieciaki nie mają specjalnie pomysłów na zabijanie nudy. Niech ten hip-hop będzie dla nich solidną alternatywą!

beretta 9

liryczni specjaliści, podziemni terroryści...

Beretta 9 to jedna z licznych postaci należących do Wu-Tang Fam. Wraz z pięcioma innymi raperami tworzy formację Killarmy. Zespół debiutował w 1997 roku płytą „Silent Weapons for Quiet Wars", atakując słuchaczy agresywnym, militarnym stylem. Później ukazały się m.in. „Dirty Weaponry" i „Fear, Love & War". Oto Beretta 9, w wywiadzie specjalnie dla Was

tekst Michał Kowalski
foto Anna Bloda

Skąd pochodzisz i gdzie mieszkasz?
Z Ohio. Aktualnie nie mam domu. Podróżuję. Od dwóch miesięcy jestem w różnych trasach. Ostatnio sporo czasu spędziłem grając z RZA.
Jak wyglądał twój początek na scenie? Kiedy dołączyłeś do Wu Fam?
Słuchać zacząłem w 1991 r. Odpowiednią naukę przyjmowałem do 1993 r. Nagrałem wtedy swój pierwszy kawałek pt. „I rock the microphone, so I guess I am a mickies". To ponadczasowy track.
Jak się czujesz w Polsce?
Lubię Europę. Polska jest cool. Za pierwszym razem, kiedy miałem tu grać z Killabeez, koncert został odwołany. Następnie była trasa koncertowa z RZA i jakiś czas później support przed Shabbazem the Disciple.
Kto stworzył Killarmy?
Duży wpływ na powstanie grupy miały filmy kung fu. „Rozgrywającym" jest RZA. Każdy z grupy wniósł dużą część pozytywnej energii, która zaowocowała trzema albumami.
Kto wchodzi w skład waszych szeregów?
Islord, Killa Sin, Dom Pachino, 9th Prince, Beretta 9 i 4th Disciple.
Jak funkcjonowaliście jako grupa w tamtych czasach?
Byliśmy szaleni, dzicy, młodzi i źli. Do tego czasami dołączała głupota. Szaleństwo było nasza domeną. Z czasem zaszły mentalne zmiany.
Kiedy wyszedł wasz pierwszy album?
„Silent Weapons for Quiet War" została zrzucona w 1997 r. Był to nasz debiut. Żywa legenda. Osobiście najchętniej sięgam po „Fear, Love and War", naszą trzecią płytę.
Czym różni się zatem ta płyta od dwóch poprzednich?
Przede wszystkim czasem jej nagrywania. Każdy nasz album to kolejny front. Przedstawia inną historię, konflikty, brzmienie.
Co robi aktualnie reszta oddziału?
Ci, którzy mogą, dają show. Dom Pachino jeździł ostatnio z trasą koncertową po Afryce. Shogun jest w Brazylii. Ostatnio sporo poruszam się z Cilvaringzem. Cały czas jesteśmy na linii ognia. Następne pytanie.
Kto produkuje dla Killarmy?
Pierwszy album wyprodukował 4th Disciple. Jest prawomocnym członkiem naszej grupy. Armia go potrzebuje. Poza tym wielu braci robiło dla nas muzykę. Niestety, dokładnie nie pamiętam, jeżeli chodzi o szczegóły.
Jakie wytwórnie wydają waszą muzykę?
Wu Tang Records, 36 Chambers... Kto jeszcze współpracował przy „Fear, Love and War"? *(zapytał obok siedzącego Cilvaringza.)*
To co ty, nie pamiętasz? *(odpowiedział Cilva.)*
Przymuliłem się jak... Dirty.
Jakie są wasze plany w najbliższej przyszłości?
Islord i Killah Sin są chwilowo nieobecni. Kiedy wrócą do domu z „wojny", nagramy kolejny album. Czekamy na naszych braci, pokój dla nich. Jak na razie, cały czas jesteśmy w trasach. W planach jest także DVD przedstawiające naszą grupę.
W jakim stopniu interesujesz się bronią palną i lonymi militariami?
Nie mogę tobie tego powiedzieć. Obejrzyj nasze zdjęcia. To ci da odpowiedz na to pytanie.
Opowiedz o trasach koncertowych Killarmy.
Szaleństwo. Myślę, że jesteśmy najbardziej oryginalnym składem na świecie. Wszędzie czekają, żeby zobaczyć naszą eksplozję. Jesteśmy „dzicy".
Myślisz o tym, by wypuścić coś osobistego?
Na pewno taka chwila nastąpi. To przyszłość Beretty 9. Czuję, że mogę to zrobić.
Czyja muzyka i słowa przemawiają do ciebie najbardziej?
Definitywnie jest to Wu-Tang. Wychowałem na Iym swoją wiedzę. Z westu podoba mi się gówno, które robi Snoop. Lubię tez Lil' Jona, bo to dziki czarnuch. Kocham „Dirty south shit". Tamte czarnuchy myślą tylko o piciu i pierdoleniu. Ich podkłady są inne, one żyją. Typowe party shit. Godny uwagi jest także album 9th Prince'a ode mnie z oddziału. Merytorycznie doceniam treści zawarte w tekstach RZA. Jestem jego studentem. Wiesz o co chodzi?
Ostatnio obejrzałem sobie klip „Wu Renegades". Szatone tlow w twojej zwrotce dosięga niczym kule zamachowca.
Byłem wtedy młodszy, przez co bardziej zacięty. Byłem taki jak pierwszy album Killarmy, czyli „the illest". Nagraliśmy także m.in. unergroundowy klip do numeru „Wake up". Bardzo sobie cenię tę produkcję.
Jak cenny jest dla ciebie dar życia?
Życie jest ciągłą nauka prawdy. Prawda daje nam wolność. Życie bez wolności jest nic nie warte.
Mam nadzieję, że niedługo zobaczymy całe Killarmy w Polsce.
To bardzo możliwe. Fuck it, let's go to war.

MOROSPORT

borixon
bez problemu

Borixon, Borys, Borygo, Rekin, Marna Twarz – rapowy weteran z Kielc krył się pod wieloma pseudonimami. Kariera zaczęła się od koncertów z Liroyem, jakiś czas później wymienił Radoskóra we Wzgórzu Ya-Pa-3. Trzy solówki i płyta sygnowana jako Hardkorowa Komercja to rzecz pełna prostego, absolutnie bezpretensjonalnego rymowania, przecinanego melodyjnymi refrenami. BRX stał się uosobieniem luzu, przebojowości oraz umiejętnej prowokacji. A może to tylko stereotyp? Przekonajcie się sami czytając wywiad

tekst i foto Wojtek Antonów/WZRR

Dobra, Borixon, na początek powiedz nam: jak to się wszystko zaczęło?
Co??? Hahahahaha!!! No, nie żartuj, co to za pytanie?! Hehehehe... Następne proszę..
Żartuję. Powiedz, co u ciebie słychać, ostatnio trochę o tobie przycichło?
Po prostu zawsze muszę dostać to pytanie! Ucichło o mnie? Nie, to nieprawda. Ja cały czas jestem, nie cichnę. Może w mediach przycichłem? Nie wiem. W każdym razie cały czas robię hip-hop, cały czas jestem na fali, wiesz. Hahaha. A co poza tym słychać? Ostatnio jestem skupiony na promocji swojego nowego materiału. Podpisałem kontrakt i umowę z Cameyem, w której on zobowiązuje się do wydania, a ja do nagrania kilku płyt...
To znaczy, że tak jak Michael Jackson podpisałeś kontrakt, iż w ciągu trzech lat wydasz osiem albumów a na nich 14 hitów?
Nie, to nie tak jak Michael Jackson. Nie aż tak. Umówiliśmy się na trzy płyty i będę kombinował żeby tak zrobić.
Podpisałeś kontrakt na kilka płyt, czyli czujesz się na siłach, czujesz się, że tak powiem „płodny", jeśli chodzi o kawałki?
Mogę powiedzieć, że tę płytę nagrałem bardzo szybko, wszedłem do studia i pstryk, nagrałem. Ja nigdy nie miałem żadnych blokad. Wiadomo, niektórzy pracują nad płytą dwa czy więcej lat, ja nie muszę. Nie jestem wkurwiony, że muszę napisać kawałek. Jest spoko, mogę nagrywać. Mam jeszcze sporo pomysłów. Myślę, tak skromnie mówiąc, że mogę mając zero materiału nagrać płytę w ciągu trzech miesięcy. Bez problemu.

Wszystko jest dla ludzi, kto chce, niech robi, co chce, kto chce słuchać, niech słucha. Nie będę mówił, że mi się to nie podoba czy tamto. Robię swoje

Kiedyś robiłeś trochę inny rap, teraz nowa wytwórnia, nowa płyta, nie miałeś ochoty zacząć wszystkiego od nowa? Oddzielić kreską to, co było i stać się nowym Borixonem?
Myślałem o czymś takim, ale nie chcę tego teraz robić. Chcę działać, działać i dopiero potem może spróbuję wykonać taki ruch, jak mówisz. Na razie jeszcze nic nie oddzielam. „Rap daje siłę" jest kontynuacją tego, co robiłem wcześniej.
Skoro mowa o płycie, powiedz trochę o niej. Co myślisz po jej nagraniu, co ci się na niej najbardziej podoba, co ci się nie podoba?
Ogólnie jestem zadowolony z całokształtu tej płyty. Jest na niej kilka niedociągnięć, ale są to niedociągnięcia, których nie mógłby wyłapać potencjalny słuchacz. Zobaczymy za pół roku lub za rok. Może wtedy będę mógł powiedzieć więcej na ten temat.
Czy kawałek „Sprawdź to działa" jest jakąś manifestacją narodowo-ku-klux-klanową? „Jestem dumny, że moja skóra jest biała..."?
Nie, no co ty, bez żadnych podtekstów. Przecież normalnie tak jest, jestem białasem i jestem z tego zadowolony, i to nie jest tak, że jestem jakimś rasistą. Nie należy tu się doszukiwać żadnych chorych ideologii. Była nawet taka opcja, że dzwonili do jakiegoś radia, z partii Zielonych, czy jakoś tak, że co to za rasistowska piosenka. To nie jak i więcej mnie nie obchodzi.
W międzyczasie zmieniło się też towarzystwo, z którym jesteś kojarzony, wcześniej było Wielkie Joł, teraz jest Camey Squad?
Rozumiesz, wyjechałem z Warszawy, już tu nie mieszkam, mieszkam z powrotem w Kielcach. Jeżeli chodzi o Wielkie Joł, to nie mam z nikim kontaktu od roku. Współpracowało nam się bardzo dobrze, ale coś się skończyło. Nie interesuje mnie Wielkie Joł w tym momencie. A teraz to nie jest całkiem tak, że jestem w ekipie Cameya. No oczywiście nagrywam z nimi, widuję się z nimi, ale moja prawdziwa ekipa to ta, co zawsze, chłopaki z Kielc – LWWL, z tymi ludźmi robię różne rzeczy, pozdrawiam wszystkich.
To, że robisz u Cameya, daje ci jakieś możliwości, których nie miałeś wcześniej?
Parę takich możliwości jest. Mam gwarancję na cztery teledyski do każdej płyty, jest możliwość porządnej promocji, w studio są dobre warunki do nagrywania, czego chcieć jeszcze? Oprócz teledysków do każdej płyty będą single na cd, darmowe, takie promocyjne. W ogóle od promocji bardzo dużo zależy i trzeba umieć docierać do ludzi.
Masz jakieś szczególne plany promocyjne?
No wiadomo, kawałki będą śmigać w radiu, będą teledyski. Szykuje się teraz w styczniu taka nasza kielecka trasa koncertowa pod nazwą LWWL-TOUR-2005, którą organizujemy razem z dj'em Feel-x'em. Z tymi koncertami to dziwna sprawa, bo jak nagrałem i wydałem swoją „kontrowersyjną" płytę „Hardkorowa Komercja", to jakoś nikt nie zapraszał mnie na koncerty. Może dlatego, że ze Wzgórzem popaliliśmy za dużo mostów i za dużo hoteli porozwalaliśmy? Nie wiem. W każdym razie teraz chcę grać, więc ludzie z miast i miasteczek zapraszajcie mnie, zapraszajcie nas, jesteśmy zajebiści.
A co cię najbardziej inspiruje? Jakie masz pomysły?
Wszystko, co się wokół mnie dzieje, wszystkie historie moje i moich przyjaciół. Zbieram to w całość i o tym piszę. Obserwuję, żyję, tworzę.
A propos twoich przyjaciół i tego, co cię otacza, co ze Wzgórzem?
Krótko: Wzgórze Ya-Pa 3 już nie funkcjonuje i nigdy już nie będzie funkcjonować. Złożyły się na to nasze osobiste sprawy, i z jednej strony szkoda, bardzo szkoda, ale z drugiej to chyba nawet dobrze. Zamknęliśmy rozdział Wzgórza płytą „Stara Szkoła Rapu". Kiedyś ten zespół miał swój czas, teraz już nie wiem, czy miałoby to sens.
Widzisz się w jakiejś następnej grupie? Nie solo, tylko z jakąś ekipą na stałe?
Raczej nie. Próbowałem, ale ciężko to idzie. Chyba raczej sam będę walczył.
A jak traktujesz wszystkie inne nowe zespoły pojawiające się na polskiej scenie?
Mówisz o całym polskim hip-hopie? Ja tam nie mam żadnych przeciwwskazań, wszystko jest dla ludzi, kto chce niech robi, co chce, kto chce słuchać, niech słucha. Nie będę mówił, że mi się to nie podoba czy tamto. Robię swoje. Miałem takie jazdy w życiu, że zajmowałem się dissowaniem. Teraz już nie chce mi się jechać na nikogo, wyrosłem z tego. Wiadomo, każdy będzie słuchał tego, co mu się podoba. Inna sprawa jest taka, że ostatnio to, co jest cienkie, jest bardzo popularne, hehehe.
Powiedz, jak wygląda według ciebie scena w Kielcach?
Jak wszędzie. W Kielcach jest dużo ludzi, którzy robią hip-hop. Są takie ekipy jak Projekt Hamas, który niedługo wydaje płytę. Jest już wspomniana ekipa LWWL, jest oczywiście całe mnóstwo grup wydających nielegale, przebijających się, ale to nie jest Warszawa, gdzie nawet o mniej znanym zespole jest głośniej niż o dobrej ekipie z Kielc, wiesz o co chodzi? U nas ten, kto się interesuje, ten wie, co się dzieje.
Pomagasz takim nowym, kieleckim twarzom?
Wychodzę z takiego założenia, że nie wiem, w jaki sposób mogę im pomóc. No, bo jak? Mam wozić ich płyty i rozdawać znajomym, wydawcom, producentom? Zapraszać ich do kawałków? Niech robią po prostu chłopaki, jak coś zrobią zajebistego, to wszyscy będą o tym wiedzieć. Nie ma recepty na to, żeby komuś pomóc zaistnieć na scenie, każdy musi to jakoś sam wykombinować. Słuchajcie rapu z Kielc dzieciaki!!!
Co ma w sobie specyficznego kieteckí hip-hop, że tak go potecasz?
Kielcki hip-hop jest bardzo autentyczny i specyficzny. Jest sporo ziomów, którzy zajebiście nawijają, ale często ludzie spoza Kielc nie rozumieją tej nawijki, podam przykład: Pęku z VETO. To jest typ, który jest nieprzeciętny, moim zdaniem jest to najlepszy mc w tym kraju. Ma taki flow, taką przewijkę i takie tematy, że rozwala wszystkich. Przy okazji Pęku niedługo wydaje płytę, więc zapraszam do posłuchania. Ale słownictwo, którym się posługuje trzeba by tłumaczyć na Polski, żeby wszystkie dzieciaki mogły skumać, hehehehe.
Jakie masz plany nie związane z hip-hopem?
Całe moje życie jest z nim związane, więc ciężko o plany niezwiązane z rapem, ale z ciekawych rzeczy pewien miesięcznik młodzieżowy zaproponował mi pisanie co miesięcznych felietonów. Mam już nawet tytuł „Gotuj w dresie czyli Szybka szama narko-jara", takie śmieszne jazdy tam będą. Na pewno bardziej będę dbał o promocję moich płyt, podpisałem te kontrakty z Cameyem, to dobrze by było o to zadbać. Poza tym chcę postawić dom, posadzić drzewo. Córkę już mam, zajebiste dziecko, siedmiotetnia dziewczyna ma już swoje jazdy, szaleje w Internecie. Jeszcze muszę się postarać o syna, hehehe.
Co na koniec?
Przede wszystkim pozdrawiam Radzia. Radziu, wracaj do Kielc. Poza tym pozdrawiam wszystkich zajaranych hip-hopem. Czytelników, czytelniczki i redakcję Ślizgu także pozdrawiam. Pozdrawiam Gracjana, czekamy na ciebie chłopaku, a porobiło się ostatnio tu u nas dużo. LWWL Lepiej Widoczni Widocznie Lepsi. Siemanko, chłopaki.

fatboy slim

cholera, zaczynam wracać do piosenek

„Dotychczasowa struktura moich utworów była taka: „powtórka, powtórka, powtórka, przerwa, podjazd i znów powtórka", w którymś momencie zauważyłem, że jest już „zwrotka, most, refren, zwrotka", czyli klasyczna struktura piosenki..."
- Fatboy Slim

tekst Fala

Od britpopu do big beatu

Aż trudno uwierzyć, że Norman Cook, znany głównie jako Fatboy Slim, ma tylko 41 lat. Piszę „głównie", bo jak się poszpera, okazuje się, że maczał swoje utalentowane paluchy w co drugiej brytyjskiej produkcji. Pamiętacie kawałek „Tune in, turn on, drop out" z reklamy Levisa? To jego muzyka. Podobnie jak spora część muzyki zespołu Blur. A pamiętacie może szalony singiel z początku lat 90. podpisany przez niejakiego Pizzamana? To on był jednym z autorów. A projekt Mighty Dub Katz? To też on. A może kołacze się wam gdzieś w pamięci jeden z pierwszych britpopowych zespołów grzecznych chłopców z końca lat 80. – The Housemartins? O dziwo tam też był on! Grał sobie na basie.

Jako dziecko bardzo lubiłam The Housemartins z ich kabaretowym zacięciem i zamiłowaniem do rytmów ska. Ich klipy nagrane na kasetach VHS przywoził mi z Niemiec tata. Tak, tak, zamierzchłe czasy zapyziałego PRL-u. A Norman – student z białym kotnierzykiem wystającym spod sweterka – już działał. Właściwie zaczął w wieku lat piętnastu, kiedy odkrył, że na prywatkach kumple najlepiej się bawią, gdy to właśnie on puszcza muzykę. Trzy lata istniało The Housemartins. W tym czasie Norman znajdował jeszcze czas na studia na wydziale nauk politycznych. Po rozpadzie zespołu, do którego się niewątpliwie przyłożył, zainteresowania Normana mogły już swobodnie podążać w stronę muzyki tanecznej. Początkowo zainteresował się dubem i powołał do życia zespół Beats International, którego działalność sprowadzała się głównie do grania co weekend w klubach. Potem na dobre zajął się remiksowaniem i dj'ingiem i powoli wypuszczał coraz to nowsze single pod całą gamą najróżniejszych ksywek. W tym samym czasie ustawiała się już kolejka artystów, którzy chcieli, by Fatboy produkował ich albumy.

Tak oto basista w krótkim czasie przekształcił się w producenta, remiksera i przede wszystkim DJ'a. Podsumowując tamte czasy, Norman mówi: „Housemartins było zaangażowane politycznie, a ja straciłem wiarę w politykę. Te wszystkie lata staraliśmy się pozbyć konserwatywnej władzy w Wielkiej Brytanii, gdy tymczasem, jak się później okazało, głupia tabletka ecstasy radzi sobie z tym problemem skuteczniej".

Z Brighton do Londynu i z powrotem

Trudno uwierzyć, że gwiazda takiego kalibru wciąż mieszka w zapyziałym Brighton, gdzie szczęśliwie Fatboy dorobił się swojej własnej gwiazdki na tamtejszym „Walk of Fame". Jak twierdzi – Londyn jest dla niego za duży i tłoczny. Spędził tam kilka lat grywając w klubach The Sunday Social (do którego zaprosili go rezydenci – Chemical Brothers) i Big Kahuna. Do Londynu tratił zaraz po tym, gdy w 1995 jako świeżo upieczony Fatboy Slim zawojował stacje radiowe swoim pierwszym singlem „Santa Cruz". Propozycja, by grał imprezy, była dla Normana nieco zaskakująca – choć umiał obejść się z gramofonami, skupiał się w tym czasie bardziej na produkowaniu muzyki.

Szybko wrócił do rodzinnego Brighton i założył z dwoma kumplami własny klub „Big Beat Boutique", do którego zaczęli z czasem zjeżdżać znawcy muzyki tanecznej z Londynu i całej Wielkiej Brytanii. Równolegle kończył swój pierwszy album „Better Living Through Chemistry", który dedykował zarówno The Chemical Brothers, jak i – czego nie ukrywa – chemikaliom typu ecstasy. Wszystkie popisy techniczne będące wizytówką stylu Fatboy Slima, powstały na poddaszu jego „Domu Miłości", jak zwykł nazywać swoją daczę. Niewiarygodne wydaje się, że jak sam twierdzi, nie umie posługiwać się komputerem ani tym bardziej Internetem.

W wywiadzie z września tego roku mówi: „Pierwszym singlem z mojej nowej płyty „Palookaville" jest przekorny utwór hołdujący komputerom i Internetowi „Slash Dot Dash". Znany jestem wśród znajomych z tego, że się na tych obu rzeczach kompletnie nie znam. Ostatnio udało mi się nawet znaleźć coś w Internecie, ale nie zmienia to faktu, że nie zamierzam zakładać konta mailowego". Naturalną koleją rzeczy zadalibyśmy mu pytanie, jak w takim razie radzi sobie z procesem twórczym? „Praktycznie rzecz biorąc, wszystko na „Palookaville" robiłem po staremu. Chodziłem po sklepach, wynajdowałem stare, tanie płyty, wygrzebywałem z nich sample. Ponieważ nie jest tajemnicą, że moje utwory coraz bardziej swoją strukturą przypominają piosenki, miksuję więcej wokalu niż kiedyś. Nagle okazało się, że mój sprzęt nie wytrzymuje ciągłego cięcia i miksowania wokali, z krzykiem przerażenia więc pobiegłem po protoolsa, przed którym się dotąd broniłem – jak przed każdym nowym sprzętem". Kto by zgadł, że tak swego czasu nowatorski producent muzyczny walczący o obywatelskie wolności jest konserwatystą technicznym.

Klubing ziom

„Palookaville" to czwarty album pod szyldem Fatboy Slim, ale nie w muzycznej karierze Normana Cooka. Płyty, które „wykucharzył" w ciągu ostatnich kilkunastu lat, sięgają przekraczającej moce wyobraźni liczby kilkudziesięciu. W tym naturalnie popularne w muzyce klubowej składanki i soundtracki – między innymi do kultowego filmu o brytyjskim clubbingu „Human Traffic".

Na każde pytanie nasz podstarzały DJ w kowbojskim kapeluszu ma zabawną odpowiedź. Polecam upolować jakiś wywiad live, bo można spaść z krzesła. Oto tylko niewielki wycinek, w którym Norman opowiada o różnicach między brytyjskim a amerykańskim clubbingiem. „Różnica jest natury geograficznej. U nas każdy narąbany małolat może wrócić do domu piechotą. No, ostatecznie wyżyłować się na taksę. W Stanach na imprezę jedziesz furą i to po kilka godzin. Trzeba wytypować trajera, co nie pije. Już to jest trudną sprawą. A do tego dochodzi zaporowa bariera wiekowa. Amerykanie pomniejszają o dziewięćdziesiąt procent grupę clubberów przez to głupie ograniczenie imprezowania do 21 roku życia. Komu po dwudziestce chce się jeszcze wychodzić z domu? U nas nikt dowodów nie sprawdza i pod moją didżejką skaczą i piętnastki. Poza tym, nikt oprócz policji nie ma u nas broni..." A także o swoich alter ego, pod którymi od lat na zmianę tworzy muzykę. „To jest tak. Fatboy Slim to moja wersja komiksowa: facio w ogromnym wieśniackim kapeluszu, dobry wujek Chemical Brothers. Might Dub Katz to część mnie, która szaleńczo kocha house. Freakpower to moja wersja lekko popowego psycho funku. Taki mentalny powrót do lat 60., gdzie idolem jest Santana. No i jest Pizzaman, który parę lat temu zapadł w śpiączkę z powodu tragicznego wypadku. Mianowicie zachłysnął się pływając w morzu okropnych remiksów. Chyba w końcu odłączę go od respiratora i zakopię. A dlaczego teraz jest głównie Fatboy? Cóż, chcę się godnie zestarzeć..."

Przeszedłeś długą drogę, baby

Fatboy nie zamierza się jednak zestarzeć. Młody duchem nie przestaje pracować, choć jak twierdzi, robi to w strasznym chaosie. Ma masę pomysłów, które natychmiast musi zrealizować. Mimo tych wszystkich zajęć i braku życiowej powagi, pięć lat temu ożenił się z muzyczną prezenterką radiową z BBC i rok później został tatą chłopca o imieniu Woody. Małżeństwo z równie znaną osobą sprawiło, że para Cooków stała się ulubieńcami tabloidów i rubryk plotkarskich. Szczególnie na tapecie była ich separacja, która natchnęła Normana do pracy nad „Palookaville" po dłuższej przerwie.

Fatboy nie lubi być gwiazdą. Wspomina, że po oszałamiającym sukcesie drugiego albumu „You've come a long way baby" z hitami numer jeden „Rockefeller Skunk" i „Praise You", zaczął żyć w nieco surrealistycznym świecie. Pół roku nie robił nic, poza bywaniem na rautach i ceremoniach, a jeśli już grywał imprezy, to w hotelach, gdzie o północy na drinka wpadali Jennifer Aniston i Brad Pitt.

Z transu wyrwała go intensywna praca nad albumem „Halfway between the gutter and the stars", z którego klip z tańczącym Christopherem Walkenem w reżyserii męża Sophii Copolli, Spike'a Jonze, zdobył główną nagrodę MTV. W międzyczasie natrzaskał dużo muzyczki reklamowej (w podobnym czasie dla Adidasa i Nike, co jest niewątpliwie precedensem) oraz soundtrack do gry „Smerfy".

A wszystko zaczęło się tak niewinnie – od brzdąkania na basówce. Co by powiedział dziś Fatboy Slim, gdyby spotkał basistę z The Housemartins? „Postawiłbym mu kolejkę. Dla siebie zamówiłbym screwdrivera, dla niego żołądkówkę. Co bym mógł mu poradzić? Jak już skończysz z The Housemartins – oby szybko, bracie! – zajmij się DJ'owaniem i załóż Beats International. Bracie, to jest czad! A poza tym, w innym wypadku możesz zapomnieć o jakiejkolwiek karierze".

Moro

moro poleca

Moral/**Gano**

"Nienagannie Niemoralna Propozycja"

premiera 15 listopada 2004

www.tonami.pl

www.moro78.com

ton ami

HIP-HOP.pl

Moro

sklepy firmowe
Warszawa:
Rondo Jazdy Polskiej-parasz pod. lok.7,8
Galeria Mokotów
Wola Park
Kielce
ul.Sienkiewicza 66
sklep internetowy www.sklep.moro78.com,
dystrybucja (.)22 844-74-84(219)
płyta dostępna także w salonach sieci cropptown

cropp town

jay-z/linkin park
platynowe zderzenie

Pomysł istniejącej od niedawna w MTV serii Mash-Up jest dość prosty – mieszanie muzycznych klimatów różnych wykonawców. Dla wielu osób zderzenie rapera Jaya-Z i numetalowej grupy Linkin Park, które zapoczątkowało serię, było jednak zaskoczeniem. Po głębszym zastanowieniu można dojść do wniosku, że niesłusznie. Dwa sporego kalibru brandy muzyczne mieszające swój repertuar? To się może sprzedać...

tekst Kowal

Współpraca metalowców i raperów ma w Stanach długą historię. Kerry King pojawił się w „No Sleep 'Til Brooklyn" Beastie Boys już w 1986 roku, Run DMC przerobili z Aerosmith ich szlagier „Walk This Way", a legendarna już kooperacja Public Enemy i Anthraksu z 1991 roku przy kawałku „Bring The Noise" do dziś rozpiernicza swoją mocą. Nie można zapomnieć o kultowym już soundtracku do filmu Judgement Night, gdzie m.in. House Of Pain napinał z Helmetem, a dzikusy z Onyx z twardzielami z Biohazard. Tych „połączeń" było dużo więcej, w ostatnim czasie najwięcej emocji – choć nie był to hit – wywołał Swizz Beatz współpracujący z Larsem Ulrichem z Metalliki, teraz zaś przyszła pora na dwa multiplatynowe brandy, od kilku lat regularnie podbijające bębenki sprzedaży oraz emocji za Oceanem i nie tylko.

Jaya-Z przedstawiać specjalnie chyba nikomu nie trzeba. Kiedyś wielkie wytwórnie odrzuciły jego demo – składające się w większości z materiału zawartego na debiutanckim, rewelacyjnym albumie Reasonable Doubt - jako zbyt słabe i bez szans na lepszą niż przeciętna sprzedaż. Facet się zaparł i płytę wydał, tym samym rozpoczynając nie tylko jedną z najbardziej błyskotliwych karier w historii rapu i szołbizu w ogóle, ale też dając początek muzycznemu gigantowi, jakim w ciągu ostatnich lat stała się wytwórnia Roc-A-Fella Records, mająca w swoich szeregach takich artystów, jak choćby Kanye West, Memphis Bleek czy M.O.P. Dla wytwórni album swój nagrał również niedawno zmarły Ol' Dirty Bastard. Kilka dni temu muzyczne konsorcjum Island Def Jam wykupiło za 10 milionów dolarów kolejne 50 procent akcji wytwórni (poprzednie 50 sprawiło sobie za półtora miliona w 1997), a Jay został prezesem IDJ. Wiele osób podśmiechuje się po cichu z tego „awansu", ale Jay już w Roc-A-Fella dał się poznać jako rzutki menedżer, a jego ubraniowe imperium, Roca Wear, przynosi mu rok w rok olbrzymie dochody.

Choć większość „nowej" MTV to żenujące piardy w stylu randki w ciemno bądź nużącego po 30. odsłonie znanego rapera zmieniającego z pomocą warsztatu rozklekotane gruchoty w wehikuły z filmów science-fiction, pomysł na wspólne nagrywanie artystów z różnych klimatów wydaje się całkiem spoko

Jakiś czas temu Jay-Z zapowiedział, że kończy muzyczną karierę, a wydany niedawno Black Album miał być albumem pożegnalnym. Artysta zapowiedział, że teraz bardziej skupi się na produkowaniu i poszukiwaniu młodych artystów, taka zresztą ma być jego główna rola w Island Def Jam. Jakiś czas temu pojawiły się jednak plotki, że być może faktycznie Jay-Z nie będzie już więcej nagrywał płyt, ale może robić to... Shawn Carter (prawdziwe nazwisko rapera). I od razu pojawiły się spekulacje o megawspółpracy z Dr. Dre'em i wydaniu płyty w jego Aftermath Entertainment. Jay i Dre co prawda zdementowali te informacje, ale...

MC i producent Mike Shinoda, perkusista Rob Bourdon i gitarzysta Brad Delson poznali się w liceum. Coś tam sobie brzdąkali po kalifornijskich klubach i piwnicach, a gdy dołączyli do nich basista „Phoenix" Farrell i DJ Joseph Hahn, wspólnie wymyślili nazwę – Xero. Nazwa najciekawsza nie była, choć kolesie kserowali różne brzmienia, starając się wymyślić coś swojego – mieszanka rocka, elektroniki i hip-hopu to połączenie co prawda od wielu lat dość popularne, ale zespół potrafił zrobić z tego coś w miarę oryginalnego. Na spójność, ostateczne brzmienie oraz nową nazwę zespołu wpływ miał wokalista Chester Bennigton, który dołączył do grupy w 1999 roku. Linkin Park grywał regularnie w klubach w Los Angeles i szukał chętnych do wydania swojego solowego materiału. Tutaj historia była podobna jak w przypadku Jaya-Z – prezentowane demo nie przypadało do gustu kolejnym A&R-om i dopiero czwarte podejście zaowocowało podpisaniem kontraktu. No, ale w tym przypadku LP nie mogli narzekać – udało im się związać z koncernem Warner Bros., a to gwarantowało całkiem przyjemny początek profesjonalnej kariery. Chyba jednak nikt nie spodziewał się, że wydana jesienią 2000 roku płyta Hybrid Theory będzie aż takim sukcesem. Posypały się różne nominacje, a single „Crawling" i „One Step Closer" nie schodziły z list przebojów. Pewnym wyznacznikiem powinno być to, że w roku 2001 Linkinsi zagrali... ponad 320 koncertów, podczas jednej z tras występując wspólnie z Cypress Hill. No a płyta oczywiście sprzedawała się znakomicie.

W marcu 2003 pojawił się drugi studyjny album LP (przedtem na rynek trafił jeszcze longplay z remiksami utworów z Hybrid Theory), Meteora. Tak jak oczekiwano, płyta momentalnie stała się bestsellerem. Trzeba przyznać, że albumik był całkiem zgrabny, a LP udowodnili, że świetnie radzą sobie z muzycznym crossoverem, o który oparty jest ich charakterystyczny styl. Kilka miesięcy temu do muzycznych marketów trafił zapis z koncertów nagranych w Teksasie podczas trasy promującej Meteorę, niezbyt wymyślnie zatytułowany – Live In Texas, ale za to znakomicie brzmiący. No a teraz wspólne nagranie z Jayem-Z.

Pomysł wyszedł od muzycznej stacji telewizyjnej MTV. Amerykański kolos medialny od lat wymyśla coraz to nowe programy, by utrzymać dominującą pozycję na rynku telewizji muzycznych. Choć większość „nowej" MTV to żenujące piardy w stylu randki w ciemno bądź nużącego po 30. odsłonie znanego rapera zmieniającego z pomocą warsztatu rozklekotane gruchoty w wehikuły z filmów science-fiction, pomysł na wspólne nagrywanie artystów z różnych klimatów wydaje się całkiem spoko. Trzeba jednak uczciwie napisać, że na współpracę Jaya z Linkin spojrzeć należy z dwóch stron.

Efekt przemieszania kawałków jest w porządku. Na pierwszy rzut ucha trudno się w tym połapać, zwłaszcza jeżeli zna się dobrze kawałki Jaya i LP. Po chwili jednak materiał zaczyna wchodzić, a wymieszanie wybranego na singiel „Numb/Encore" to prawdziwy masterpiece. Ciekawe jest to zwłaszcza w kontekście tego, że słychać, iż artyści wiele od siebie do tych „nowych wersji" nie dodali, tak jakby tylko zamienili się miejscami. Choć do tej pory prezentowane klipy z „mash-upami" polegały właśnie na takim przemieszaniu, w tym wypadku muzycy zdecydowali, że będą wszystkie partie wokalne nagrywać od nowa. „To tylko wydaje się łatwe. Tak naprawdę, to żeby uzyskać odpowiednie zgranie, trzeba się trochę napracować" – mówi Mike Shinoda z LP. Utalentowanym po prostu łatwiej? Z pewnością, ale też dobór właściwych kawałków wydaje się niezwykle ważny. Pełna tracklista Collision Course – bo taka jest oficjalna nazwa albumu – to: „Dirt Off Your Shoulder/Lying From You, „Big Pimpin'/Papercut, „Numb/Encore, „Jigga What/Faint, „Izzo/In the End" i „Points of Authority/99Problems/One Step Closer". Najlepiej brzmi właśnie ta ostatnia kooperacja, z agresywną wczuwką, ale i wyczuciem, ze świetną wymianą wokali i rewelacyjnymi przejściami. I tu niestety ból – jak już człowiek się w to wkręcił, to nagle... kończy się album. Niestety, krótko i mało.

Będzie więcej, niż spojrzenie z dwóch stron, choć ten akapit możecie potraktować jako zdania wtrącone. Choć to zapewne wbrew regułom wprowadzonym przez MTV, aż prosiłoby się, żeby specjalnie z okazji tego „Mash-Upu" artyści przygotowali jakieś premierowe cudeńko. Bo słychać, że wykonawcy pasują do siebie temperamentami, a zderzenie charakterystycznego rapu Jaya i wibrujących wokali Chestera daje naprawdę ciekawy efekt. Może coś w przyszłości? Jeżeli oczywiście zapracowany prezes Island Det Jam będzie miał czas i ochotę.

No i właśnie, teraz to drugie spojrzenie, trochę nawiązujące do czasu i ochoty. Materiał dvd daje nam możliwość obejrzenia nie tylko zagranego 18 lipca w Roxy Theater w Los Angeles koncertu, ale też przyglądamy się reportażowi z sesji nagraniowej w studiu. Realizatorzy postawili na szczerość. Widzimy więc zajaranych i stremowanych chłopaków z Linkin Park i lekko zblazowanego, wyglądającego, jakby ktoś go tu przyprowadził na siłę, Jaya. Niby się uśmiecha i poklepuje wszystkich po plecach, ale trochę to wymuszone. Podczas koncertu również nie sprawia wrażenia wulkanu energii, choć dość energicznie się... poci. Oczywiście nie ma co się przypieprzać, może facet ma po prostu taki styl bycia, ale to też daje do myślenia – na ile ta współpraca była zabawą, a na ile regulowaniem zobowiązań wobec medialnego giganta, bez którego dobrej rotacji klipów nie ma co marzyć o sprzedawaniu milionów płyt. Może właśnie stąd brak ekskluzywnego, w pełni premierowego kawałka?

To są jednak tylko i wyłącznie uwagi powstałe z mojej interpretacji obejrzanych obrazków. Nie ma co być idealistą – biznes to biznes. Ale jeżeli przy okazji biznesu powstał materiał muzyczny o niezłym ciężarze gatunkowym, kolejne okienko modnej od lat tendencji do mieszania dźwiękowych klimatów, które zapewne już niebawem otworzy kolejne okienka, to należy się tylko cieszyć. Cieszyć, słuchać i oglądać.

nowe klipy

tekst Red Ant

Alleluja!!!

Tak, tak, moi mili i niemili, to już grudzień! Kolejny grudzień w życiu Czerwonej Mrówki... He, he, a mówią, że mrówki długo nie żyją – głupcy:).

Zaczyna się zima, do tego całe to zamieszanie ze świętami i prezentami – oszaleć można. No i typowy dylemat, co znowu kupić pod choinkę swoim bliskim?!? A co tam, załóżmy, że już wiem, co dostanie wujek Henryk i babcia Danula. To podliczając całą najbliższą rodzinę z jednego kopca, Czerwona Mrówka jest już potencjalnym bankrutem, a przecież nie zaczęła robić jeszcze zakupów!!! Owojuhc...

Do tego w rodzimym kopcu Mrówki szerzy się donosicielstwo! „Jak to, we własnym gnieździe?" ktoś spyta... Ano tak. Okazało się, że jakiś „życzliwy" doniósł (od donoszenia, a nie od Donia – przypis red.) Matce Królowej, że w sieci ruszyła liga ekauQ (kullowa dla Czerwonej Mrówki i nie tylko, gra wykraczająca mocno poza mrowisko i mająca wielu zwolenników wśród innych gatunków) i zamiast pracować, to niektóre mrówki grają. No i jak tu się nie wkurzyć?!? Skoro w pół dnia można wykonać pracę, którą ślamazary wykonują w cały, to chyba można sobie później „popykać"!

Fermenl się taki zrobił, że krzyki było słychać przy wyjściu z mrowiska, gdzie na straży stoją wynajęte „Irulnie". W ogóle atmosfera się zepsuła i wszyscy się rozeszli...

Rozpisalam się trochę, ale leżało mi to na sercu i już mi lepiej!

Pamiętajcie jednak, że donosicielstwo obróci się przeciw wam – kapusie!

W tym miejscu chcę zacząć to, co powinno się zacząć 1000 znaków temu, czyli NOWOŚCI teledyskowe.

Na początek raper, którego klipy nigdy nie były cenione i sławione przez Czerwoną Mrówkę ze względu na jakość. Teraz wyszła jego nowa płyta i klip promujący i ...

PIH feat. SILOE „Nigdy już nie wróci"

...widać poprawę jakości wykonania. Nie jest to klip z „górnej półki", ale warto go obejrzeć. Obrazy spokojne, budowane pod spokojny numer. Ujęcia zróżnicowane kolorami świateł budują klimat, ale nie zawsze trafny, np. w ujęciach na ulicy w żółtym świetle PIH nie wygląda „zdrowo", a cały obrazek jest brązowy, jakby był nakręcony przy latarniach na podbiciu (elektroniczne „doświetlenie" obrazka w kamerze – przyp. red.), przez co wybija z rytmu Mrówkę. To samo z ujęciami w wannie. Dużo ruchu kamery zdecydowanie urozmaica obrazek, zwłaszcza dojazdy i odjazdy. Dużo powtórzeń ujęć sprawia, że ma się wrażenie, jakby w pewnym momencie skończyły się pomysły na zdjęciach, a przez to i na montażu. Pamiętajcie, drodzy Ślizgomaniacy, lepiej zostać na zdjęciach 5 minut dłużej i mieć spokój oraz większy wybór ujęć.

Mrówce wpadło w oko jedno ujęcie, które bardzo trafnie oddaje rzeczywistość i jest bardzo naładowane emocjami. To moment, kiedy dziewczyna siedzi w samochodzie patrząc na podłogę, po czym odwraca wzrok na faceta zaglądającego do niej przez boczną szybę. To prosta scenka, ale działa – może Mrówka taką miała w życiu, stąd ten zachwyt;).

No a teraz prawdziwy rarytas dla Klipoholików:

HEMP GRU „To jest to"

„Wilk na mikrofonie, w głowie się nie mieści..."

Ha! I do tego na Waszych ekranach, a gdzie Wilku Iam i Bilon i... i masa ZIP-ów, począwszy od kajtków, poprzez dużą cześć warszawskiej sceny hiphopowej, kończąc na panu z kotem. A swoją drogą zwróćcie uwagę na to, co on robi z tym kotem. Tak naprawdę, to radość z powodu tak długo oczekiwanych produkcji Hemp Gru pozbawiła mnie chyba obiektywizmu, ale co tam. Klip podoba się mimo ubogiej (a raczej żadnej) scenografii, ujęcia mają dużą dynamikę, choć nie są krótkie, a kamera nie wykonuje zbyt skomplikowanych ruchów, tak że spokojnie można zaliczyć go do grona klipów nie jednorazowego użytku (naprawdę polecam).

Kolejna rzecz to wrzuty fabularne, lub jak ktoś woli, dokumentalne. Dobrze zagrane, odpowiednio zniekształcone, tzn. obrobione przez efekty tak, aby wyróżniały się od pozostałej części klipu, a jednocześnie sprawiały wrażenie, a może i były materiałami z kamery 8 mm. Klip zrobiony troszkę własnym sumptem, oparty na pomyśle Wilka, a wyreżyserowany przez Bilona.

Tym razem kończąc Czerwona Mrówka chce życzyć wszystkim Wesołych Świąt, zajebistego sylwestra, małego kaca po oraz wszystkim producentom teledysków, pomysłów i worków kasy na ich realizację. PZDR.

radiostacja
muzanowejgeneracji

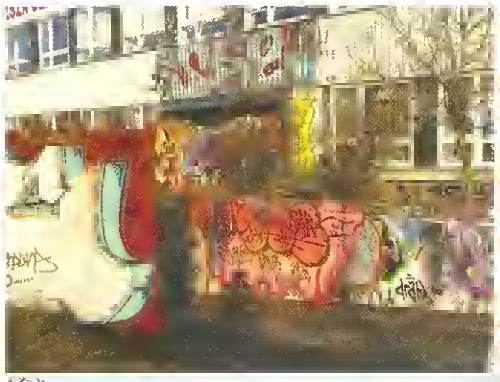

moja dzielnica

mor w.a.

imielin

„Imielin to część warszawskiego Ursynowa. Nasz rejon znajduje się w kwadracie zawartym przez Dereniową, Indiry Gandhi, KEN i Płaskowickiej" informuje Łyskacz. Biuro podróży Ślizg zaprasza was na wycieczkę po Imielinie. Pilotować będą nas „Morwuacy", cztery osoby wciąż zauroczone regionem i od lat toczące walkę o to, by jego atmosferę uchwycić w swoich wersach. Możecie też liczyć na towarzystwo ich przyjaciół. Zatem w drogę, póki pogoda jest dla nas choć odrobinę życzliwa

tekst Flintstone (CS)
foto Wiedźma Cess (CS)

Wierzba Drzewo

Stajemy pod wierzbą płaczącą. Posplatany pień, delikatnie bujane przez wiatr gałęzie, odrobina swojskości wewnątrz osiedla. „Tak naprawdę wszystko zaczęło się u nas na podwórku, ale to tutaj znajduje się miejsce, w którym ten hip-hop zaczął funkcjonować, tu graliśmy w zośkę, piliśmy browary po taniości z promocji w okolicznym sklepie... Nie ma w nim nic szczególnego, po prostu jest w centrum rewiru i ma ważne dla nas otoczenie. Kaplica... Kiedy miałem pięć lat, pomagałem nosić puslaki pod jej fundamenty. Kościół... Buduje się ponad dwadzieścia lat, ale o tym później. Kiedyś była tu też piaskownica, na której przesiadywaliśmy, kiedy nie mieliśmy jeszcze w planach wydawania płyt" – mówi Łyskacz. Piaskownic było zresztą więcej, ale zostały „spacyfikowane". „Żeby młodzi ludzie nie mieli już zupełnie gdzie spędzać wolnego czasu" – komentuje Peper. „A wierzba jest symbolem, bo zawsze gdy zakwitała na wiosnę, była dla nas kamuflażem". Oprócz tego służyła za miejsce ustawek. „Wszystko było stąd widać, kiedy policja przyjeżdżała nas kontrolować, wcześniej wiedzieliśmy, że się zbliżają" dorzuca Wigor. Kiedyś, gdy jeszcze byliśmy małolatami, tuż obok znajdował się osiedlowy klub Alex. Bilard, flipery. Dzieciaki z okolicznych podwórek miały tutaj wiele atrakcji, a dzisiaj już tego nie ma. Nie da się ukryć, że wierzba pamięta wiele planów, tekstów, freestyle'i. Teraz nie ma specjalnie czasu, by się tutaj spotykać, ale sentyment pozostał silny.

Brązowe kafelki, teren przy szkole i studio tatuażu

Idziemy ku Dereniowej. Błoto, bloki, bezlistne drzewka, poorany ogrodzeniami, niecekawy teren. Mijamy nowe ujęcie wody oligoceńskiej, prowizoryczną budę z pieczonymi kurczakami, przy której stoi groteskowy żul w utytłanej czapce-mikołajce. Mijamy tutejszy hydrofor. Felipe opowiada związaną z nią historię młodego człowieka, który w tym miejscu umarł. Sprzedano mu heroinę, prawdopodobnie przemieszaną z trutką na szczury, lub zawierającą strychninę. Towarzyszący mu kolega był tak przerażony, że uciekł, pozostawiając ciało. Ku pamięci jeden z kolegów postawił w tym miejscu krzyż. Wynikła z tego konkluzja - okoliczni ludzie zaczęli się bać, ograniczając ćpanie i tego typu rzeczy.

Przekraczamy ulicę trafiając „na schody pod meblami, na brązowe kafelki". „To miejsce, gdzie był ruch. Wewnątrz osiedla wszystko toczyło się swoim rytmem, tutaj można było popatrzeć na coś więcej". Na skrzyżowaniu Dereniowej i Gandhi, czy, jak mówią chłopaki „Dereniowej i gandzi", rzeczywiście nie można narzekać na niedobór zdarzeń. Panowie nie kryją swych opinii przechodząc obok straży „wiejskiej" przy przesmyku pomiędzy blokami. „Nieroby" to jedno z łagodniejszych określeń. Peper opowiada o tym, jak to niezbyt kumaci delikwenci z prowincji pół roku później czują się warszawiakami i wyrabiają 130% normy w wypisywaniu mandatów, tak naprawdę nie rozumiejąc miejskich mechanizmów i mieszkających tutaj ludzi. Naszym oczom powoli ukazuje się wielki betonowy plac z pozostałościami po koszach. Położone niedaleko Centrum Onkologii dopełnia ponury widok. „Obręcze zostały bez tablic, szkoda im kilku złotych. Chcieliśmy tu zrobić imprezę, streetball z muzyką, ale nikt nie chce iść na rękę ludziom, chcącym czegoś więcej niż piwa. Teraz jest tu wspaniała nauka jazdy, gdzie przychodzą najebani instruktorzy". Jest też jakaś pociecha – mały rozkładają tu osiedlowi breakdancerzy, w historię hip-hopu wpisuje się też usytuowana obok „pierwsza ursynowska ściana graffiti".

Wracamy do nieodległej przeszłości: „Jeździliśmy tu na motorach, to była jedna z oficjalnych zajezdni Skuler boys gang, na desce, a przede wszystkim graliśmy w koszykówkę ze wszystkimi możliwymi znajomymi". I nie bez sukcesów – „Zajęliśmy z Wigorem drugie miejsce w lidze ursynowskiej, a ja kosza trenowałem zawodowo" – przyznaje się Łysy, który pierwsze kroki na tym gruncie stawiał w pobliskiej szkole, potem trafił zaś już do sprofilowanego pod tym kątem liceum. Podchodzimy popalrzeć na prace writerów na tyłach szkoły przy ul. Hirszfelda potocznie nazywanej „Hira". Specyliczny to budynek, bo kształcono tu od „klasy czwartej do ósmej". „Załudniano tę szkołę. Trafiały tu albo dzieciaki z Ursynowa, albo na „warszawski Bronx" oddelegowywano najgorszych uczniów". Nie dość, że edukacja na raty, to i budowa na raty: „Najpierw była jedna kostka, potem dorzucili drugą, bo dzieciaki się nie mieściły, potem jeszcze stworzono liceum". W pamięci pozostały czasy, kiedy pobliska arteria była jeszcze klepiskiem, a na osiedle mógł dowieść osamotniony autobus „U". „Uuuuuu, what you gonna do?" śmieje się zespół, choć Peper nie wspomina najlepiej chwil, kiedy musiał przesiadać się na SND, żeby dotrzeć do domu. Labirynt osiedlowych chodników prowadzi do studia tatuażu. „Jest tu od bardzo od dawna". „To świalowe miejsce na naszym osiedlu, przychodzą ciekawe osoby, można pograć sobie w rzutki". „Jakby nie było smutno, tam zawsze jest śmiech. Zresztą sami rozumiecie najlepiej, że taki Łyskacz spędził tu naprawdę dużo czasu. Wystarczy cofnąć się do naszej publikacji o jego tatuażach.

Forteca

Kościół wybija się wyraźnie na tle lokalnego krajobrazu. „Wygląda jak dwie filki" upiera się zespół, przyglądając się wystającemu poza bloki kształtowi. Więcej opowie o nim Wigor: „Zanim zbudował się kościół, zbudowały się zabudowania, w których ksiądz wynajmował lokale dla różnych firm. Po 25 latach wciąż nie jest skończony, warto zwrócić uwagę na płot, którego do tej pory nikt nie może rozebrać. Na teledysku „Ziping" mieliście okazję zobaczyć ujęcia Jażwy albo Felipera w jego wnętrzach na tle czerwonej cegły. To były wła-

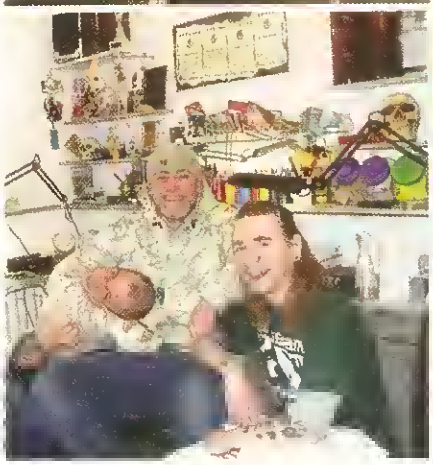

śnie zdjęcia z „naszej osiedlowej fortecy", bowiem tak ochrzciliśmy ów obiekt. W trakcie budowy bez problemu dało się wejść na teren. Robiliśmy sobie wieczorne eskapady po schodkach na górę, żeby usiąść na dachu, spalić gibonka i popatrzeć, jak osiedle idzie spać. Siedzieliśmy na kondygnacji, którą najlepiej będzie widać na zdjęciu". Felipe namawia nas, żebyśmy zerknęli na przykościelną szopkę. Rzeczywiście, zaskakuje w niej liczny żywy inwentarz. Na wypas wypuszczono kucyka i trzeba przyznać, że na osiedlowym trawniku wyglądał cokolwiek egzotycznie. Lokalna społeczność ochrzciła go mianem „Saurona". Na rejonach gościł również słoń (na Ursynów przyjeżdżało wiele nienajlepiej strzeżonych i prowizorycznych cyrków). Biedne zwierzę skosztowało nawet polskiej Irawy, szybko zwracając ją na zewnątrz. Może dlatego, że postanowiło ją przeżuć, podczas gdy panowie kilka minut wcześniej byli zajęci raczej jej paleniem i nie mogli nadziwić się temu, co widzieli na ulicy. „Brakowało tylko wielbłądów i tygrysów" śmieją się.

„Papa Lumpa Dolina" i podwórko

Stajemy wśród promieniście rozchodzących się dróżek. Wigor: „Wybudowali je również dopiero po dwudziestu kilku latach. Wyłożyli je szarymi cegłówkami, ale wydeptali je wcześniej sami ludzie. To mnie natchnęło do wersów „Kiedy tak rejonem się przechadzam / myślami wracam / przyglądam się chodnikowi / tu stawiałem pierwsze kroki / to przelarte szlaki przez nasze nogi". Patrzymy na kartowale drzewko. Łyskacz: „To było dla nas wszystkich tak wielkie drzewo, że coś niesamowitego. Skakało się z jednej gałęzi, łapało drugiej". Zresztą wersy z płyty mówią same: „Tam rzucaliśmy się głogiem, wspinaliśmy wśród pnączy", „między klombami z betonu podpalaliśmy saletrę". Oprócz robienia bączków z saletry, grano w piłkę, a nawet znajdowało się trochę przestrzeni na rodzinne pikniki. Kiedyś był tutaj plac zabaw i wszystkie dzieciaki bawiły się w wojnę. Potem ganiali nas dorośli, że niby głośno się zachowywaliśmy. Miejsce zyskało nazwę „Papa lumpa dolina" z tego względu, że w późniejszych latach ten teren zaczęły okupywać okoliczne lumpy. Nie wszyscy jednak wspominają lata młodości tak ciepło. Znajomy wybił tu sobie wszystkie zęby. Okazję do samookaleczeń łatwiej znaleźć z drugiej strony bloków, na poręczach i schodach przy klatkach (panowie mieszkali i właściwie mieszkają tuż obok siebie), które zasłużyły na nazwę „pierwszy skatepark". „Tu graliśmy w kwadraty, w warszawiaka, w pobile gary, teraz wszystko to inaczej wygląda" mówi Łysy. Wątek podejmuje Wigor: „Do pierwszej, drugiej w nocy było słychać biegające dzieciaki, teraz tego nie ma, mają kompulery, albo rodzice boją się i trzymają je w domu". „Stawało dziesięć dzieciaków i zaczęły wołać „Maaaamaaa". „Maaaama. Przemek Cię woła". Każda matka musiała wiedzieć o kogo chodzi. Wychodziła na balkon i odwrzaskiwała „Przemeeek". Spośród chmary dochodził wrzask „Któóóóry?". „Do domuuuu". „Ale muszęęęę?". Kolejną ciekawą, charakterystyczną dla dzielnicy rzeczą, jest zasiedlanie budynków przez określone zawody czy grupy społeczne. „Nasze bloki zaliczały się do tzw. artystycznych. W 80% zamieszkiwali je aktorzy, malarze ild. Oraz rodziny wielodzietne. Naprzeciwko mieszkali zaś robotnicy, którzy osiedle to budowali. Tak to przydzielono". Stąd rymy Wigora: „Blok artystyczny vis a vis Pekin, rodzice w pracy, pociechy zostawione bez opieki".

Blaszak

Spacer kończymy przy wielkiej blaszanej konstrukcji. Na pobliskich niedokończonych schodach szczęśliwi posiadacze nart ćwiczyli skoki. W uliczce za nią kwitł niegdyś handel, teraz jedyne pozostałe stoisko robi raczej smutne wrażenie. A w czasach świetności zdarzało się tu handlować nawet Wigorowi. Trzymał też matce kolejkę, kiedy wewnątrz obiektu otwierał się Iglopol, a trzeba powiedzieć, że był to kilkunastometrowy ogonek, który uformował się wczesnym świtem. Była to wówczas jedyna szansa na nowe dresy czy włoskie buty. Z drugiej strony na parterze większa część zespołu spędziła wiele, wiele godzin na grze w Counter Strike'a, dopóki kafejka internetowa nie padła. Wchodzimy po schodach na górę, żeby przyjrzeć się panoramie Imielina oświetlonej przez ostatnie promienie słońca, oraz rzucić się miejscowemu domowi kultury, gdzie panowie odbywali próby w „przedhiphopowych" czasach. Zespół grał wówczas muzykę na żywych instrumentach. Na piętrze jest dość wysoko, tym bardziej nie dziwi to, że kolega chłopaków skacząc na dół złamał sobie nogę. Założył się o butelkę wódki. Gdyby chciał ją wypić w umiejscowionej obok greckiej restauracji, wabiącej od strony ulicy wielkim szyldem i tandetnymi replikami kolumn, naraziłby znajomych na duże koszta. Co innego w pubie „Przebiśnieg", który był jeszcze niedawno w jej miejscu.

Zaczynamy się rozchodzić. Ostatnie spojrzenie na powiewającą z dachu sąsiedniego wieżowca flagę Polski Walczącej. „Powiesił ją człowiek, który prawdopodobnie należał kiedyś do prężnie działającego w dawnych czasach ruchu narodowego, była to oznaka patriotyzmu. Ma też stację radiową, w której dużo czasu poświęca tej tematyce. Dla nas flaga to bardzo ważny element". Jeden z wielu ważnych elementów, składających się na bardzo ważne miejsce. Dobre miejsce.

joss stone
dusza w kamieniu

Joss Stone jest młoda, ładna, utalentowana i coraz popularniejsza. Uważacie, że to niesprawiedliwe i nie można mieć wszystkiego na raz? To tylko taka rodzicielska propaganda, którą czas odrzucić. Gdyby sama Joss wierzyła w te wszystkie powiedzonka typu „albo-albo", nie czytalibyście tego artykułu, mogąc równocześnie słuchać jej albumów...

tekst Wiedźma Cess (CS)

Urodziła się w 1987, w Dover w Wielkiej Brytanii. Nikt z jej rodziny nie śpiewał. Wśród wujków, ciotek, babć czy stryjów nie ma ani jednej osoby, która byłaby choćby niespełnionym pianistą, trębaczem, albo organistą w wiejskim kościele. Nie ma więc komu dziękować za rozbudzenie pasji do śpiewania, no, może poza anonimowym sprzedawcą z jakiegoś sklepu muzycznego w Devon, który sprzedał jej kompilację z największymi przebojami Arethy Franklin. I nagle magia królowej soulu postawiła na głowie całą, poukładaną, nudną przyszłość młodziutkiej Brytyjki. Miłość od pierwszego wysłuchania. Zaczęły się pierwsze śpiewy do tubki z pastą do zębów przed łazienkowym lustrem – tak dla zabawy. Potem były śmielsze próby w całym domu, bezwiedne nucenie w autobusie, tak dla przyjemności, w końcu występ w brytyjskim programie typu „droga do gwiazd" – tak dla jaj.

Kiedy wychodziła przed kamery BBC, chcąc się po prostu zabawić w piosenkarkę, wielu pomyślało - no tak... Kolejna Britney, Anastacia albo inna Aguilera. Pewnie zaśpiewa drżącym głosikiem jakiegoś „Dżina w butelce", powije się po scenie w spazmach imitujących erotyzm i będzie pośmiewiskiem gimnazjum przez następny rok. Takie reakcje przed występami towarzyszyły Joss jeszcze przez kilka następnych miesięcy, a potem zaczęły odchodzić w zapomnienie. Aha, bo program oczywiście wygrała – tak po prostu, w końcu kto miałby konkurować z urokiem przebojów Arethy i ciepłym, odrobinę szorstkim, mocnym głosem Jocelyn? Po wygranej w telewizyjnym show dziewczynka razem z matką zadecydowały, iż od tego momentu czas wziąć się do roboty i łapać szansę, póki się nie wymyka. Koniec już z Jocelyn, czas na coś mocniejszego, lepiej zapadającego w pamięć, czas raz na zawsze stać się Joss Stone...

Nie jest wyzywająca i pretensjonalna, raczej pogodna i stonowana. Nie ucieka w popową papkę brzmieniową wybierając tak a nie inaczej zaaranżowane podkłady. Nie sięga po banalne teksty królujące obecnie w r'n'b

Polem po prostu wsiadły w samolot do Nowego Jorku i skontaktowały się z przedstawicielem wytwórni S-Curve. Facet podobno posłuchał Joss, potem „głosu serca", zadzwonił do kilku ludzi, którzy zorganizowali grupę świetnych muzyków sesyjnych i od tej chwili kariera Brytyjki zaczęła rozwijać się w szalonym tempie.

W cztery dni Joss z zespołem nagrała kilka coverów klasycznych utworów soulowych, niekoniecznie tych najpopularniejszych. Powstało też nagranie „Fell in love with a boy" będące (dokonaną przy współudziale ?uestlove'a z the Roots) hiphopową przeróbką piosenki „Fell in love with a girl" the White Stripes. Efekt? Pod koniec 2003 roku ukazuje się płyta „The Soul Sessions".

Jedni kupili ją właśnie dla singla z ?uestlove'em, inni, gdy spodobały się im emitowane w stacjach muzycznych relacje z koncertów Joss, które wypadały coraz bardziej żywiołowo, jeszcze innych zafrapowała jej twórczość, bo usłyszeli kilka piosenek na ścieżkach dźwiękowych do popularnych seriali takich jak „Ostry dyżur", czy „Prezydencki poker". Tak czy inaczej soul na nowo zinterpretowany przez Joss musiał się spodobać wielu, bo debiutancki album osiągnął szybko status złotej płyty. Wokalistka przyznaje, że choć nie napisała tekstu do żadnej z piosenek, z każdą czuje się związana. „To jest soul, muszę to czuć, by później móc włożyć serce w wykonanie".

Brytyjce nie odbiła woda sodowa, nie zmanierowały jej występy w legendarnych, zadymionych amerykańskich „norach", które gościły wiele lat wcześniej wszystkie sławy bluesa, jazzu, soulu i gospel, jakie jesteście tylko w stanie wymienić. Zachowała naturalność, poczucie humoru i skromność nie podszytą fałszem. W końcu sama przyznaje, że „The Soul Sessions" „była pomyślana jedynie jako mały, dodatkowy projekt, który nieoczekiwanie zmienił się w coś ogromnego (...). Wszyscy tę płytę kupowali, a przecież ja wcale tego nie chciałam". Stąd często powtarza, że dopiero drugi album – mający niedawno swoją premierę w Polsce „Mind, Body and Soul" – uważa za swój prawdziwy debiut.

Ta opinia nie powinna nikogo dziwić – dopiero podczas pracy nad nim powstawały utwory skomponowane specjalnie dla JS. Po raz pierwszy współtworzyła teksty, a robiła to wraz z mistrzami fachu: Lamontem Dozierem (autorem tekstów m.in. dla Marvina Gaye'a) oraz Desmondem Childem (mającym dotąd na koncie słowa do przebojów Roxette, Aerosmith, Cher, Ricky'ego Martina czy Kiss).

Mało kto był w stanie uwierzyć, że dziewczyna jest tak młoda. Nie świadczyły o tym ani image (co prawda nosi młodzieżowe ciuchy, ale czyż Madonna i Kylie tego nie robią mimo swych lat), ani charakter, gdyż każdy, kto miał okazję z nią pracować, cenił ją za profesjonalne podejście, bystrość i szerokie horyzonty.

Nie jest wyzywająca i pretensjonalna, raczej pogodna i stonowana. Nie ucieka w popową papkę brzmieniową wybierając tak a nie inaczej zaaranżowane podkłady. Nie sięga po banalne teksty królujące obecnie w r'n'b. Krzywi się, kiedy ktoś porównuje ją do Shakiry – „Hej, to, że obie mamy długie blond włosy, jesteśmy białe i śpiewamy, jeszcze o niczym nie świadczy!" mówi i wybucha śmiechem.

Otwierający drugą płytę utwór „Right to be Wrong" tekstowo i muzycznie utrzymany w klimacie klasycznego soulu, pełen dynamiki zaaranżowany w rockowym stylu singiel „You had me", czy nagrane na reggae'ującym podkładzie wyznanie „Less is More" świetnie oddają eksperymentatorskiego ducha drzemiącego w Joss. Mimo, że przed podpisaniem kontraktu z S-Curve nie grała koncertów i nie miała pojęcia, jaka jest atmosfera jam sessions, szybko odnalazła się na scenie stwierdzając, iż jest to jej żywioł. Przyznaje, że jej marzeniem było nagrać całą „Mind, Body and Soul" na żywo, niestety udało się tego dokonać tylko w dwóch utworach – obok wspomnianego „Right to be Wrong", także „Jet lag" jest nagraniem „live". Przeszkodą okazał się czas – sesja nagraniowa przerywana była kolejnymi występami w całych Stanach.

Wielu dziwi jej sukces - nie macha własną bielizną w teledyskach, nie ma łatwego repertuaru, nie kreuje nowego stylu, ani nie podąża drogą lansowanych gwiazdek. „Odsmaża kotlety" marudzą kontestatorzy. „Wraca do esencji" odpierają ataki fani. „Biała dziewczyna robi czarną muzę!" krzyczą forumowicze na serwisach muzycznych. A ona się uśmiecha i z wdziękiem wyjaśnia: „nie gram ani białej, ani czarnej muzyki – gram soul". Obie sygnowane przez nią płyty świetnie nadają się na tło muzyczne do zimowego wypoczynku w chłodne, grudniowe popołudnie, albo romantycznej kolacji o każdej porze roku.

Organiczne brzmienia w połączeniu z głosem panny Stone są jak kuracja odtruwająca po dniu pełnym zgiełku. Pojawia się tylko poczucie niedosytu i żal, że Joss nie występuje gościnnie na albumach innych wykonawców. Być może pierwszym krokiem okaże się jej udział w tegorocznej wersji charytatywnego nagrania „Do they know it's Christmas", gdzie zaśpiewała razem z Dizzie Rascalem, Dido, Bono, zespołem the Darkness, Robbie Williamsem i legendami brytyjskiej sceny muzycznej, takimi jak Bob Geldof czy Paul McCartney. Póki co wszystkich miłośników dobrego brzmienia zachęcam do sięgnięcia po dotychczasowe dokonania młodziutkiej mieszkanki wysp.

dj spox
scratching 09

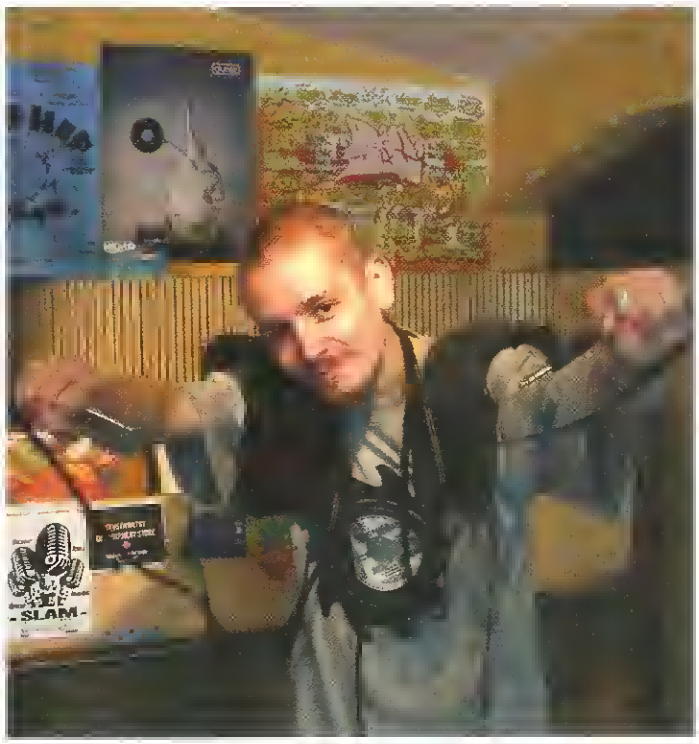

Witam wszystkich. Niby numer styczniowy, ale jako że ukazuje się przed świętami, pozostawiłem sobie czas na wszelkie podsumowania i oceny właśnie na to wydanie

tekst DJ Spox

Cóż można powiedzieć o roku 2004 patrząc na niego przez pryzmat zawodu Dj'a hiphopowego? Na pewno w ciągu tego roku powiększyło się klubowe znaczenie czarnej muzyki. Cała masa miejsc, w których jeszcze kilka lat temu na słowo hip-hop właściciele reagowali niechęcią albo wręcz obrzydzeniem, teraz szuka możliwości organizowania cotygodniowych imprez HH, wydzwania do Dj'i, szuka nowych dróg dotarcia do imprezowiczów. Dobrze. Wręcz bardzo dobrze. Uważam, że między innymi przez to właśnie kultura się rozwija i nie daje o sobie zapomnieć, ani nie daje się wypchnąć z klubów muzyce house, techno, etc. Myślę, że jest coraz więcej możliwości organizowania nowych imprez i coraz częściej będą się pojawiać kluby, które chcąc zorganizować coś innego, niż zwykłą dyskotekę, będą miały na to coraz większy budżet, coraz lepszą reklamę, co obfitować będzie np. w zagraniczne gości, koncerty czy chociażby w lepsze nagłośnienie, światła, wystrój klubu. Może pojawią się też imprezy bardziej klimatyczne typu: noc z wytwórnią Def Jux lub z hip-hopem instrumentalnym. Zostało jeszcze naprawdę dużo pomysłów do realizacji, jak i rodzajów imprez do zrobienia, a o ile rok temu powiedziałbym, że nie mają szansy zaistnieć, tak teraz mam świadomość, że spokojnie są w zasięgu organizacji. Oczywiście nie ma samych pozytywnych stron takiego rozkwitu popularności hip-hopu. Często mieszają się do niego osoby nie mające zielonego pojęcia o zasadach funkcjonowania w tym środowisku, coraz większa liczba ludzi niezbyt nadających się zaczyna współtworzyć hip-hop i uczestniczyć w tej kulturze czynnie. No cóż, można się tym denerwować, ale można też przyjąć, że taka jest cena popularności, a czasem obrócić to na pozytyw. Przykłady? Proszę bardzo. To, że na imprezach bawi się znacznie więcej osób „nie ze środowiska" (patrz styl ubioru, zachowania) – jak dla mnie – spoko do momentu, kiedy się bawią. Do tego najczęściej to właśnie oni przynoszą hip-hopowi finanse, bo to oni są na stanowiskach w bankach, firmach etc. i mają pensje miesięczne wynoszące roczne zarobki przeciętnego hiphopowca. To jest fakt.

Kolejny przykład: prasa, telewizja, ogólnie media. Coraz więcej jest „mądrych głów" (mających niekiedy pół roku praktyki) i wypowiadających się na łamach przeróżnych mediów na temat hip-hopu. Najczęściej z wiadomym skutkiem. Szukając jednak dobrych stron tego układu można stwierdzić, że co by nie mówili, ważne, że mówią. Zanim zaczniecie nudzić, że to naciągane stwierdzenie, to powiem tylko, że każda bzdura napisana w prasie, powiedziana w radiu czy pokazana w telewizji wywołuje najczęściej masę dyskusji, komentarzy, sprostowań, etc. A właśnie to mam na myśli, ponieważ to przy takich konfrontacjach wychodzą na wierzch prawdziwe kwestie dotyczące danej sprawy, ponieważ najczęściej wypowiada się sam zainteresowany. Może osłabi to również potęgę internetowych bzdur, które często wypływają z nie wiadomo jakiego źródła i są znacznie trudniejsze do sprostowania. Nie będę już podawał następnych przykładów, acz jeszcze kilka by się znalazło na pewno. Powrócę natomiast do tego, co moim zdaniem wniósł jeszcze rok 2004. Było o ilości imprez, o zwiększeniu się popytu na hip-hop. O czym nie było? O samej muzyce. I turntablismie.

W muzyce zanotowałem postęp pod względem brzmienia i nareszcie słyszalne zróżnicowanie pod względem aranżacyjno – producenckim. W większości oficjalnych produkcji słychać zaangażowanie producentów w naprawdę mocne brzmienie poszczególnych utworów, selekcję w doborze sampli, zróżnicowanie stylistyczne przy produkcji podkładów na płyty. Z raperami bądź z MC sprawa ma się troszkę słabiej, owszem kombatanci nie zawiedli w większości, ale jakichś nowoodkrytych talentów ze świecą szukać. Większość osób, które „wypłynęły w tym roku to jednak ludzie znani już w jakiś sposób w środowisku i tworzący pewien czas, więc średnio jest tu mówić o jakichś młodych, gniewnych twarzach. Wielu z was się na pewno nie zgodzi i posypią się przypomnienia o „tym zespole" lub o „tamtym MC", ale cóż, jest to mój pogląd na sprawę. Fakt jest faktem: MC „zmądrzeli", w sensie oczywiście tematyki na płytach, jak i wcześniej już wymienionej muzyki. Dają radę wybrać sobie bity a nie zabrać pierwsze wolne z brzegu, podpasować je do swojego flow, swoich tekstów, tematyki. Niektórzy są w stanie zrobić sobie bity sami lub ewentualnie usiąść z producentem i ustalić kwestie jak ma wyglądać płyta, numer, etc. Co jeszcze ciekawego związanego z polskim hip-hopem to, że bardzo podskoczyła ilość teledysków. Cieszy mnie to bardzo i czekam, aż wreszcie któraś telewizja odważy się zrobić albo własny kanał tylko z muzyką HH (np. taki polski oddział MTV Base lub BET), albo dorzucić naprawdę szeroko czasowe pasmo przeznaczone na teledyski HH, gdzie będzie można zobaczyć coś więcej, niż tylko wybrane przez publiczność 10 klipów w kółko.

I wreszcie Dj'ing. Tutaj też sporo zmian. Najważniejszym znakiem, że z Dj'ami hiphopowymi jest coraz lepiej jest to, że w tej chwili ciężko znaleźć polską płytę, na której nie pojawia się jakiś Dj. Pomijam z litości kwestie umiejętności niektórych owych, co postawili sobie DJ przed ksywką, bo MC było już zajęte, a WC głupio brzmiało. Jest dobrze, będzie lepiej. Cieszy mnie też to, że coraz więcej zespołów i to nie tylko z najwyższych półek gra koncerty z Dj'ami, gdzie są oni czymś więcej niż tylko kolesiami od wpuszczenia „fresh" i „ahhh" raz na jakiś czas. I nieważne, czy jest z wytwórni, w której jeden zespół sprzedaje po 20 tys. egzemplarzy czy jest z wytwórni, w której wszystkie zespoły w sumie od początku sprzedały 10 tys. Dj'e zrobili się po prostu potrzebni, ważne jeszcze, aby stali się doceniani i rozpoznawani. Ale nad tym popracujemy w 2005. Pozdrawiam i życzę Wesołych Świąt i Szczęśliwego Nowego Roku.

Maile piszcie na adres: dj.spox@op.pl

nielegalna
akcja eselgie

tekst Flintstone (CS)

W przepastnych zbiorach rednacza zaginęło **„Nagrywając tę płytę" Dwóch Warszawiaków**. W końcu dotarłem do albumu (www.membrana.prv.pl) i warto go sprawdzić. Mc's nie pouczają, nie przechwalają się, nie męczą socjologią. Ich wersy są jak codzienne życie młodego warszawiaka, wszystko dzieje się szybko, a pomiędzy szkołą, spotkaniami z dziewczyną, Van Purem „po taniości", wbitką na imprezę, wejściem do studia kątem oka zauważa się różne sytuacje nie poświęcając im zbyt wiele uwagi. Dynamicznie, prosto, ale bez agresji i patologii. Normalny rap rzucony na beaty z mocnymi perkusjami, huczącym basem, nieskomplikowanymi acz nie wywołującymi obiekcji, czasem zaś naprawdę efektownymi samplami. Nie ma hitu na miarę „Chodźmy się przejść". Jest równy, sympatyczny materiał. Moi faworyci: „Co u Ciebie" i „Na pamiątkę".

Rebus z żarskiej Dobrej Marki wypuścił **„Mixtape vol. 4"**. Wciąż ma flow, którego mogłoby zawstydzić wielu polskich mc od których „pożycza" beaty, ale punchlines coś mniej niż na trójce, i rzadko kiedy odwraca się głowę do głośnika będąc pod wrażeniem bezczelności. Materiał jest zbyt mocno lokalny, żeby być czytelnym, a i formułę przydałoby się wybrać nieco inną.

Niedawno ukazał się nielegal czarnego konia undergroundu **Tetrisa**. Mc wykazuje się we wszystkich dziedzinach: „Magnum" to pasjonująca opowieść z drugim, alegorycznym dnem. Tytułowe **„Naturalnie"** jest nauką przekazaną w mocno lirycznym opakowaniu, „Pamięć" tętni emocjami stanowiąc sentymentalną, ekshibicjonistyczną podróż do przeszłości – Żywe Srebro zrobiło na tym samplu fajny numer, ale żywy handclap, skrecz, wokalna próbka złożyły się na małe dzieło. „Pandemonium" z kolei weryfikuje resentymenty, będąc ostrym, socjologicznym trochę spojrzeniem na rzeczywistość, a „Rum" jest podróżą, ale raczej w głębię samego siebie, w poszukiwaniu „ja". „Psycho?" daje nam dawkę błyskotliwej abstrakcji. „Solo" to rap esencja i hołd dla korzeni. Gdzie Tet sprawdza się najlepiej? I tu jest kruczek – wszędzie. Może iść w dowolną stronę, a trzyma ten sam wysoki poziom, pewne, uporządkowane flow, mające własną unikalną dynamikę, w kwestii intonowania nie zawsze wolne jeszcze od naleciałości. Gospodarz świetnie produkuje – beat do „Psycho?" i „Solo" brzmi jak polska odpowiedź na RJD2. Po podkładach Demena (czyli Dominika Łebka, zwycięzcy konkursu Noona), Kixnare'a i Esdwa słychać dużą muzyczną wiedzę, kulturę dźwięku i wyczucie. Na dodatek rzeczy ich autorstwa świetnie ze sobą korespondują tworząc zgrabną całość, scementowaną dobrymi skreczami Torta. „Z jednej strony Camp Babilon, z drugiej Hip-hop Kemp", a po środku siemiatycki Tetris. I „tylko kotom płoną oczy". Bo jak rymuje Pe z Flexxipami: „żaden z tych kotów nie jest gotów" na taki skok. Sprawdźcie na www.wieszcochodzi.net.

To teraźniejszość. Co z przyszłością? Tę mają szansę wyznaczyć nagrania takie jak **„!Comoc!"** Co z wydawnictwa Mik. Nie wiadomo, czy traktować to jak legal czy nielegal, bo podział się przeżył, a w kraju gdzie niemal nie ma mainstreamu, każdy nasz label to właściwie tzw. indie. Co ma więc być niby kryterium podziału? Okładka? Dostępność w Empiku? Jakkolwiek. „Sample mocno przetwarzane, wulkaniczna aktywność basu, marsjańska przejrzystość detali, apokaliptyczny hi-hat, stopa jak u kick-boxera" napisane jest w info. Ja słyszę zaś muzykę opartą nie na syntezie lecz na analizie, totalnie nieklasyfikowalną gatunkowo. Coś w stylu rzeczy z wydawnictwa Warp ze szczyptą starego Def Jux. Jest piękno w odnajdywaniu rytmu i melodii wyłaniających się z tony brudu, zgrzytów, przytłaczającej ulewy masakrowanego dźwięku. Ciekawy jest też niezmiernie oszczędnie dawkowany rap (odrealnione emo). Ten album hipnotyzuje. Obowiązkowo dla poszukujących, otwartych i chcących być na czasie.

Równolegle z ukazaniem się numeru na www.slizg.com.pl podsumowanie roku 2004 w undergroundzie.

**DOBRZE WIEMY CO JEST ZŁE, A CO DOBRE.
NIE ZALECAMY NICZEGO I NIE NAMAWIAMY
DO JAKICHKOLWIEK ZACHOWAŃ.
KAŻDY WIE JAKI MA CEL I JAKIMI ŚRODKAMI
ZMIERZA DO JEGO REALIZACJI.**

RÓB CO CHCESZ, ALE TYLKO WTEDY GDY WIESZ PO CO TO ROBISZ.

tymi i żółty
wielka wiadoma

Tymi kilkadziesiąt godzin nagrywał wokale na DPS'ie. Dla niewtajemniczonych: nie możesz tam przesunąć wokalu, dwukrotne podbicia muszą być idealnie dopasowane. „Rafał jest strasznie dokładny" mówi Żółty, który pracując nad materiałem dochodził ze zmęczenia do stanów, w których wydawało mu się, że dławi się paskiem wokalu gwałtownie opuszczającego monitor. Dwa różne miasta. Kilkadziesiąt miesięcy oczekiwań. Wiele różnych gatunków muzycznych połączonych w całość. Po prostu „Znamię Doskonałości". O przełamywaniu barier, desperackim poszukiwaniu wolnego czasu i walce o wytrwanie we własnym perfekcjonizmie podczas nagrywania albumu przeczytacie poniżej

tekst Flintstone (CS)

Wasza współpraca nieco mnie zdziwiła. Czyżby w Białymstoku nie było dobrych producentów, a w Toruniu dobrych raperów?

Żółty: Jest w Toruniu kilka składów, jednak na szerszą skalę jeszcze niestety nic się nie ukazało. Jestem dobrej myśli. Jak na razie Toruń zaśpiewał bardziej z producentów. Mam tu na myśli Ike'a, Jotera, Roberta D. Ja też miałem w planach nagrywanie z kumplem płyty producenckiej z zaproszonymi miejscowymi mc's.

Tymi: Kiedy ich usłyszałem, pomyślałem, że to profesjonalna płyta.

Żółty: (śmiech) To w założeniach miała być profesjonalna płyta! Kiedy miało się coraz lepsze osoby, łatwiej było zaprosić kogoś innego. Postanowiłem wykorzystać numer do Rafała. Był niepewny....

Tymi: Mieliśmy wtedy bardzo dużo pracy. Nagrywaliśmy wszystkie te kawałki z Paktofoniką, ze Wzgórzem. Były takie momenty, w których myślałem, że przesłanę to robić, bo jak słyszałem „Dobra, napisz mi na środę na 13 kawałek", to zamykałem się kompletnie. I wtedy zadzwonił Żółty. Odpowiedziałem normalnie „Dobra, wyślij mi beaty, zobaczymy". Kiedy już je usłyszałem, odpowiedź była bardzo szybka.

Żółty: Miałem robić po części jego płytę. Wysłałem więc kolejną porcję podkładów.

Tymi: Był tam pierwszy beat do „Gniewu", o który walczyła hiphopowa Polska.

Żółty: Dzwonili do mnie ludzie z całej Polski. „Słuchaj, słyszałem taki beat, on jest wolny, czy nie?". Były też rzeczy typu „to tamtemu powiedz, że nie, a mi go daj".

Tymi: W końcu został u nas, jednak w międzyczasie zmieniliśmy koncepcję płyty na taką bardzo nowoczesną i ostatecznie przepadł. A teraz byś go pewno nie chciał pokazywać (śmiech). Wokal wykorzystaliśmy, zrobiliśmy tylko remix. Ale to od tego zaczęła się współpraca, kiedy wyjechaliśmy na wakacje ze swoimi dziewczynami nieco się zrelaksować, dogadaliśmy szczegóły.

17 miało klasyczne beaty, tymczasem u Żółtego słychać duży wpływ muzyki elektronicznej i drum'n'bassu. Trudno było Ci się przestawić, Tymi?

Tymi: Zaczęliśmy od standardowych podkładów. Ale remix „Gniewu" zabrzmiał naprawdę dobrze, powstał do niego teledysk. Potem powstało kilka takich beatów, a ja pisałem kawałki już pod nie. Nie odczułem wielkiej różnicy, co prawda niektórzy uważają, że mój wokal lepiej brzmi na produkcjach stonowanych. Ale nie chciałem robić płyty, którą już zrobiłem. Kolejną zrobimy jeszcze inaczej, chciałbym teraz nagrywać z szanowanymi osobami spoza światka hiphopowego.

Próbowałem jakoś określić styl twoich beatów, Żółty. Ale moje określenia go nie oddają, jak ty byś go zdefiniował?

Żółty: Robiąc muzykę wychodzę z prostego założenia. Żeby dało się pod to dobrze zarymować, nagrać tekst, żeby było dobre tempo, ale żeby jak najbardziej odbiegało od hip-hopu. Jak zaczynaliśmy robić płytę, nikt czegoś takiego jeszcze nie robił.

Tymi: Ludzie ciekawie reagowali, kiedy puszczałem im wtedy kawałki.

Żółty: To był okres, który był monotonny. Jakiej byś płyty nie włożył, trafiałeś na sampelek, pocięty w dwóch miejscach, z dodanymi klasycznymi bębenkami. Ja lubię połamańce, to wynika z mojego zamiłowania do drum'n'bassu. To jego słuchałem najdłużej. Ale jeżeli chodzi o mc w tym gatunku, to mi się nie podobają. Wolę czystą muzykę. Zwłaszcza, że mamy w Polsce takie, a nie inne nagłośnienie.

Tym bardziej nie mogę się nadziwić. Reprezentant hip-hopu z tanem drum'n'bassu zapraszają rockową Kobranockę...

Żółty: Kobranocka jest zespołem z mojego miasta. Kobra ma studio tatuaży, i mój kolega robił sobie u niego tatuaż, a że były to całe plecy w dziesięciu kolorach, spędzał tam sporo czasu. Kiedyś z nim poszedłem i się dogadaliśmy. Ja lubię udziwnienie i zapytałem, czy by coś dograł, on się zgodził. Spotkaliśmy się miesiąc później w studio i nagraliśmy.

Tymi: Na początku byłem strasznie niepewny. Kobranockę znałem z jednego utworu, pewno tego samego co wszyscy. Ale kiedy wiedziałem już jaki tekst nagram, kiedy Żółty przyniósł pierwsze próbki, im dłużej pracowaliśmy nad kawałkiem, tym byłem bardziej przekonany, że chcę jeszcze zrobić kawałek hiphopowy z „Kocham Cię jak Irlandię". Każda kolejna kapela hiphopowa przyjmuje schematy od wcześniejszych, kiedy my zaczynaliśmy z Pihem rymować, był tylko Liroy, albo nawet i nie... Teraz możesz złożyć sobie swój styl z piętnastu różnych. To osoby z zewnątrz wnoszą świeżość i autentyczność.

Porównując starego Tymiego z nowym Tymim łatwo wyłapać jedną rzecz. Znacznie urosła Ci pewność siebie.

Tymi: Każdy, kto robi coś długo i stara się robić to dobrze, jest pewny siebie. Pracowałem nad tą płytą dwa lata, każdą wolną chwilę poświęcałem na teksty, nie żałuję żadnego wersu. „Gniew" napisałem dwa i pół roku temu, a kiedy wyszedł teledysk, ludzie mówili, że są w nim mistrzowskie wersy. Nie jestem osobą, która pisze pięćnaście kawałków, z czego wybiera sobie dziewięć, a sześć odrzuca, bo tamte są fajniejsze. Nigdy nie wyrzucam wersów. Jeżeli coś napisałem, to po to, żeby ktoś to usłyszał. Beatów było za to więcej, wybieraliśmy ten, który oddaje najlepiej specyfikę utworu.

Huczy od plotek, że wasze stosunki z Pihem nie wyglądają najlepiej, ale ostatnimi czasy się uspokoiły.

Tymi: Z mojej strony to zawsze wyglądało tak samo, nie chcę robić skandalu i promować płyty na konflikcie z ex-ziomem. 17 ma swoje miejsce w historii hip-hopu, zbudowaliśmy coś i nie chcę tego burzyć. Jeszcze się z Pihem nie dogadaliśmy, nie wyjaśniliśmy wszystkiego. Mieliśmy robić płytę, powstało kilka kawałków, ja pisałem swój projekt i wycofanie się z niego było dla mnie niemożliwe. Za daleko zabrnąłem, a nie byłem w stanie ciągnąć dwóch rzeczy naraz, czemuś trzeba się poświęcić, by robić to dobrze. Konflikty wyniknęły naturalnie, mieliśmy co robić, ja nie mogłem, więc jest w tym po części moja wina. Temat uważam za zakończony, 17 w tej chwili nie ma.

Słyszałem, że mieszkacie w jednym bloku?

Tymi: Mieszkamy nad sobą i pomimo tego ostatni raz widziałem Adama trzy miesiące temu. Nie wiem, jak to jest. Ja pracuję, Adam z tego co wiem również. Wracam o 18 do domu, posłucham sobie muzyki, poskładam jakieś wersy i kładę się spać. Pihu promuje swój album, więc na pewno jest w rozjazdach, ja kiedy mogę również... Może potem będziemy mieli czas wszystko to sobie poukładać.

Pozdrawiając PWRD we wkładce płyty pisałeś o silnej białostockiej scenie. Tymczasem wydaje się ona dimeteralnie zróżnicowana i skłócona.

Tymi: Początek sceny białostockiej to są imprezy Volla w Hucie. Tam zaczynały się przyjaźnie, rodziły konflikty. Ludzie się godzili, bili, różne były opcje. Byliśmy dzieciakami, wiadomo, inaczej patrzę na to wszystko w wieku 25 lat, reaguję dużo spokojniej. Ale wszystkie relacje to pozostałości po tamtym okresie. Teraz staram się od tego odciąć, robić swoje, podobnie Projekt, który ze wszystkimi żyje dobrze. Na mapie hiphopowej Polski nie było ich przez chwilę, ale mają gotową płytę, i możliwe, że wyda ją Krzysiek Kozak. Scena jest o tyle mocna, że mamy kilka dobrych młodych składów, takich jak Fabuła.

Macie tam na wschodzie szczególnie gorące temperamenty. A czy ty łatwo unosisz się gniewem?

Tymi: Mnie gniew motywuje, ale w takim dobrym znaczeniu. Jestem osobą, która zapala się do czegoś i szybko z tego rezygnuje. Kiedy ktoś mówi, że czegoś nie zrobię, to zapamiętuję to na bardzo długo. Pod wpływem gniewu jestem bardziej wydajny, łatwiej mi wszystko wychodzi. Ale nie jest to przejaw agresji.

Pełna wersja wywiadu za 2 miesiące na www.slizg.com.pl

ol'dirty bastard

genialny wariat

Był jedną z najbarwniejszych postaci hiphopowego świata. Kontrowersyjny do bólu, niezaprzeczalnie oryginalny, z przebogatym życiorysem. Wobec twórczości ODB nie można być obojętnym. Albo się jest jej fanem, albo nie można jej wręcz strawić. Jego życie miało dwutorowy bieg. Z jednej strony była kariera muzyczna, z drugiej – konflikty z prawem. Przedstawiamy Wam Ol' Dirty Bastarda właśnie z tych dwóch perspektyw

Grabiszczy

DDB urodził się w 1968 roku w Brooklynie jako Russell Jones. Jako nastolatek dużo czasu spędzał ze swymi kuzynami, Robertem Diggsem i Garym Grice'em, z którymi założył Wu-Tang Clan. Ci kuzyni to oczywiście RZA i GZA, zaś nasz bohater wybrał sobie ksywkę wskazującą, że jego styl „nie ma żadnego ojca" – Ol' Dirty Bastard, „Stary Brudny Bękart".

Wu-Tang na szerokie wody wypłynął w 1993 roku albumem „Enter The Wu-Tang (36 Chambers)". Jest to płyta słusznie uważana za jedną z najlepszych w historii hip-hopu. Dziewięciu emcees tworzyło wybuchową mieszankę styli, innowacyjne były produkcje, które tworzył RZA. Do tego grupa miała swą specyficzną jazdę ideologiczną. Wszystko to złożyło się na legendę Clanu, która – choć nieco zatarta – trwa do dziś. DDB od początku wyróżniał się z ekipy wyjątkowym stylem. Oprócz specyficznej barwy głosu, jego cechy charakterystyczne to przeróżne podśpiewywania, wrzaski, mruczenie, pohukiwania, do tego dźwięki, które trudno zaliczyć do jakiejkolwiek kategorii. Jego wejścia na „Shame On A Nigga" czy „Da Mystery Of Chessboxin" są tak wyraziste, jak chyba tylko mogą być. Kto słyszał, ten wie, a słyszeli chyba wszyscy.

Po „Enter..." przyszła dla DDB pora na rozpoczęcie kariery solowej. W 1995 roku, jako drugi po Method Manie członek Wu-Tangu, wydał solówkę. Zatytułowana była „Return To The 36 Chambers: The Dirty Version" i dzięki hitom takim, jak „Shimmy Shimmy Ya" czy „Brooklyn Zoo" osiągnęła status złotej płyty. DDB, który używał też wielu innych ksywek (wówczas najczęściej Unique Ason i Osirus), był wtedy u szczytu kariery. Popularność zdobył w tym roku ponadto remix do „Fantasy" Mariah Carey z gościnnym udziałem Dirty'ego.

W roku 1997 Wu-Tang wydał drugi album. Dwupłytowe wydawnictwo „Wu-Tang Forever" osiągnęło niesamowity sukces, sprzedając się w samym tylko pierwszym tygodniu w ilości 600 tysięcy egzemplarzy. Udział DDB w tym przedsięwzięciu to przede wszystkim zwrotka na singlowym „Reunited" oraz wykonany w całości przez niego numer „Dog Shit" – kwintesencja jego stylu.

Warto przywołać dwa wydarzenia, które miały miejsce w lutym 1998 i sprawiły, że o DDB było głośno również w niemuzycznych mediach. Najpierw jako świadek wypadku samochodowego uratował czteroletnią dziewczynkę, skrzykując ludzi do podniesienia auta, które ją przygniatało. Następnego wieczoru wywołał skandal na rozdaniu nagród Grammy, kiedy wpadł na scenę, przejął mikrofon i wyraził swój protest przeciwko nieprzyznaniu wyróżnienia za najlepszy album roku jego zespołowi, podczas gdy on nawet zakupił nowy garnitur na okoliczność odbioru nagrody.

W kwietniu wydał oświadczenie, że oficjalnie zmienia ksywkę na Big Baby Jesus. Nie potrafił jednak w spójnych słowach wytłumaczyć ani powodów, ani znaczenia tej zmiany, a w rok później wydał drugi swój album „Nigga Please" – znów jako Ol' Dirty Bastard. Płyta została wydana w okresie, kiedy DDB miał na karku liczne sprawy sądowe oraz problemy narkotykowe. Sam się zresztą do tego przyznał w jednym z tekstów: „I take a cocaine, it cleans up my sinuses" („Biorę kokainę, ona oczyszcza moje skronie"). Album był bardzo nierówny, ale zebrał przyzwoite recenzje i zawierał hit „Got Your Money" we współpracy z Kelis. Można powiedzieć, że płytą tą zamknął się okres świetności rapera. Oprócz wspomnianych albumów, pamiętamy go jeszcze choćby z remiksu do „Woo-Hah!! Got You All In Check" Busty Rhymesa czy numeru „Ghetto Superstar" z Prasem i Myą. O równoczesnych perypetiach Ol' Dirty Bastarda poza sceną przeczytacie dalej.

W 2000 roku pojawił się w kawałku „Conditioner" na trzecim albumie Wu-Tang Clanu „The W", który był mu zresztą dedykowany. W 2001 roku, kiedy ODB odbywał wyrok w więzieniu, wydano płytę z jego największymi hitami (mimo nagrania przez niego tylko dwóch płyt), a w 2002 trzeci album „Trials & Tribulations Of Russell Jones". Nie była to trafiona decyzja, gdyż z powodu braku wystarczającej ilości materiału samego Bastarda, trzeba było zaprosić mnóstwo gości, sam raper niewiele wiedział o samym wydawnictwie, a bity robił w większości nieznani producenci. Recenzje były fatalne – i słusznie.

W maju 2003 roku wyszedł z więzienia i z miejsca podpisał kontrakt z Roc-A-Fella Records jako Dirt McGirt. Pojawił się w kilku kolaboracjach (m.in. w numerze „Keep The Receipt" na wersji advance „College Dropout" Kanyego Westa) i pracował nad nowym albumem. Niestety, premiera materiału odbędzie się już bez jego udziału. ODB zmarł niespodziewanie w studio 36 Records w Nowym Jorku 13 października 2004 roku. Jego pośmiertna płyta ma ukazać się na początku przyszłego roku. Czy będzie nawiązywać poziomem do najlepszych utworów rapera? Miejmy nadzieję. Bez względu bowiem na ocenę jego życia, należy mu się należne miejsce w pamięci każdego fana hip-hopu.

***

Kryminalne dossier Ol' Dirty'ego przedstawia się równie imponująco, jak dokonania muzyczne, obfitując przy tym w wydarzenia wręcz niewiarygodne. Ale po kolei.

Zaczęło się w roku 1993, tuż przed wydaniem „Enter..." Raper został wówczas oskarżony o napaść i rabunek. Rok później postrzelono go podczas ulicznej sprzeczki w Brooklynie. To jednak nic w porównaniu z serią wypadków rozpoczętą w listopadzie 1997. ODB został wtedy aresztowany za... niepłacenie alimentów byłej żonie. Zaległości sięgnęły 35 tysięcy dolarów. W kwietniu 1998 został oskarżony o atak na tę samą kobietę, a w maju nie stawił się na rozprawy dotyczące alimentów, za co wydano nakaz jego aresztowania. Dostatecznie jednak raper spłacił wszystkie należności. W czerwcu został postrzelony w czasie napadu na dom jego ówczesnej partnerki, napastnicy zabrali mu ponadto biżuterię i pieniądze. Rany okazały się na szczęście niegroźne. Zaledwie tydzień później Big Baby Jesus wyszedł ze sklepu ubrany w buty, za które nie zapłacił. Wykroczenie tym dziwniejsze, gdy dodać, że... miał przy sobie wtedy 500 dolarów. Nie minęło kilka tygodni, a z parkingu przed studiem zniknął samochód rapera... Pech trwał. ODB opuścił kilka rozpraw dotyczących oskarżenia o kradzież i znów wydano nakaz aresztowania.

We wrześniu został wyrzucony z koncertu Destree w Los Angeles, ochrona miała bowiem dość jego zachowania wywołanego zbyt dużą dawką alkoholu. ODB obiecał ochroniarzom, że ich powystrzela, za którą to groźbę w Kalifornii można iść na 3 lata do więzienia. Oczywiście został oskarżony. Kolejnych kilka tygodni i następna wpadka. Tym razem rapera wyrzucono z hotelu w Berlinie, gdzie chodził nago po balkonie swego pokoju. W listopadzie znowu aresztowano go w LA, tym razem za grożenie zabójstwem byłej dziewczynie. W obydwu sprawach dotyczących gróźb karalnych DDB został uniewinniony.

Kolejny rok rozpoczął się od wydarzenia, którego kulisy są bardzo niejasne. Osirus został oskarżony o posiadanie broni oraz próbę morderstwa policjantów, którzy zatrzymali go do kontroli drogowej. Podobno wysiadł z samochodu i zaczął do nich strzelać. Jednak nigdy nie przedstawiono broni, której DDB rzekomo używał, a zeznania policjantów były na tyle niespójne, że oskarżenie oddalono. Następne kuriozalne wydarzenie miało miejsce w lutym. Podczas kolejnej kontroli drogowej wydało się, że raper nosi kuloodporną kamizelkę. Sytuacja zaowocowała oskarżeniem, gdyż prawo w Kalifornii zabrania noszenia tegoż wdzianka przestępcom skazanym za użycie przemocy, a ODB miał przecież za sobą taki epizod... W marcu zatrzymano go z kolei za jazdę bez blach rejestracyjnych i znaleziono w aucie niewielką ilość kokainy. Wynik – rzecz jasna, kolejne oskarżenie. Pięć dni później ODB znowu jechał bez tablic, a na dodatek z zawieszonym prawem jazdy.

Pod koniec lipca trafił do więzienia w Kalifornii za to, iż nie zapłacił części kaucji wyznaczonej w sprawie z koncertu Destree. Pieniądze wpłynęły jednak szybko i rapera wypuszczono. Co z tego, skoro kilka dni później w Nowym Jorku zatrzymano go za jazdę na czerwonym świetle. Oprócz tego, że jego prawko wciąż było zawieszone, w samochodzie znaleziono marihuanę i kokainę. Choć wpłacił tu kaucję, to następnie nie stawił się na rozprawie dotyczącej oskarżenia o noszenie kuloodpornej kamizelki w LA. Wydano nakaz aresztowania.

Kara za dwa oskarżenia z LA sprowadziła się ostatecznie do roku w ośrodku dla osób uzależnionych i trzech lat więzienia w zawieszeniu. Orzeczono ją w listopadzie 1999 roku. Gdy wydawało się, że wszystko zmierza do szczęśliwego końca, na początku roku 2000, podczas jednej z rozpraw dotyczących posiadania narkotyków w NY, DDB dorzucił do pieca, ignorował sędziego, zwyzywał jedną z oskarżycielek, a następnie usnął na sali sądowej. Potem złapano go na upiciu się, co naruszało warunki programu rehabilitacyjnego i zaowocowało kolejnymi sześcioma miesiącami w ośrodku. Gdy do końca pobytu w nim pozostały dwa miesiące, w październiku 2000 roku nastąpiła słynna już ucieczka rapera. Był poszukiwany przez miesiąc, uczestnicząc w tym czasie m.in. w imprezie zorganizowanej przez Wu-Tang po wydaniu „The W". Złapano go, gdy rozdawał autografy pod jednym z filadelfijskich McDonaldów...

Decydujący proces odbył się w Nowym Jorku. ODB skazano ostatecznie na 2 do 4 lat, zaliczając mu przy tym 8 miesięcy, które zdążył już w sumie odsiedzieć w aresztach. Kara nie była zatem zbyt surowa, ale sama perspektywa dłuższej odsiadki była dla emce zbyt przerażająca – usiłował popełnić samobójstwo. Z więzienia wyszedł w maju 2003.

planet asia
jestem najlepszy

Planet Asia – jeden z ciekawszych i bardziej charyzmatycznych przedstawicieli tak zwanego „niezależnego zachodu". Zanim zdecydował się wyjść na scenę, pilnie śledził rozwój gatunku niemal od samych jego początków (dumnie datując rozpoczęcie przygody z hip-hopem na rok 1985). Przed nagraniem swojego pierwszego utworu jeździł po Stanach jako hypeman Rascoe – rapera, z którym stworzył jeden z popularniejszych duetów trueschoolowych – Cali Agents. To typ, który ma „styl, zajawkę, fason, szyk", a dodatkowo olbrzymi respekt dla starej szkoły i odrobinę bezczelności. Zresztą, sami się przekonajcie czytając poniższy wywiad...

rozmawiała Wiedźma Cessya (CS)

Na początek opowiedz o tym, jak został podbity zachód („How The West Was Won" zapisywane też jako „How The West Was One" – raper używa tej pierwszej pisowni, na okładce widnieje druga, www.allmusic.com stosuje obie – tak czy inaczej chodzi o wykorzystanie homonimii celem nadania wieloznaczności tytułowi płyty Cali Agents – przyp. red.)?

Został podbity za pomocą rymów. Nikt nie reprezentował godnie zachodniego wybrzeża, zwłaszcza, jeśli mówimy o niezależnej, czy podziemnej scenie, więc stwierdziliśmy, że wyjdziemy z takim tytułem. To nasza oficjalna odpowiedź.

Rozumiem, że braggadocio jest częścią hip-hopu, ale mówienie w wywiadzie, że jesteś „najlepszym raperem na całym zachodnim wybrzeżu" i „czarnuchy wiedzą, że nie mogą zadzierać z tobą na scenie, bo żaden nie robi takiego show" – to raczej olbrzymia pewność siebie, nie sądzisz?

Niezupełnie. Widziałaś mój koncert? Rozpieprzam imprezę, gdziekolwiek jestem. Mam szaloną energię. Mogę się pojedynkować, freestyle'ować, opowiadać historie i przekazywać wiedzę. Widzisz, odbiorcy w Stanach mogą nie doceniać prawdziwego hip-hopu, ale jestem teraz tutaj, za wielką wodą, i oddźwięk jest niesamowity. W końcu skoro ja nie czuję, że jestem najlepszy, to kto niby ma nim być? A zresztą moje flow mówi samo za siebie.

Taka pewność siebie nie bierze się znikąd. Musisz mieć silny charakter – przecież zdecydowałeś się odejść z Interscope – sporej wytwórni płytowej i podpisać kontrakt ze znacznie mniejszym Avatarem. Co cię do tego skłoniło?

Człowieku, Interscope się strasznie zmienił. Nastąpiła wymiana na stanowisku prezesa, a wraz z tym zmieniły się priorytety. Ja przestałem być dla nich priorytetem, więc musiałem odejść tam, gdzie będę tak ważny, jak inni. To jest branża - musisz sobie radzić z polityką wydawcy i tym podobnymi gównami. Wracając do sprawy – odszedłem do bardziej niezależnej wytwórni. Nie musiałem czekać, aż mnie wydadzą, tylko mogłem utrzymywać wszystko w ciągłym ruchu. Zawsze trzeba patrzeć przede wszystkim na siebie, bo wydawca i tak najlepiej zatroszczy się o własny interes. Zgadzam się, że to było mocne posunięcie, ale taki już jestem. MOCNY. Zupełnie jak moje rymy...

Wspominasz w wywiadach, że wychowywałeś się na bardziej ulicznym rapie, jak NWA, natomiast twoje utwory są klasycznym przykładem trueschoolu, łączonego często z mądrałowatymi koleżkami słuchającymi pozytywnego i lekkiego rapu i niemającymi nic do czynienia z klasycznym gettem...

Tak naprawdę dorastając słuchałem czego popadło. Szanuję cały oldschool. To był prawdziwy hip-hop. Slick Rick the Ruler szczególnie przypadł mi do gustu. Dopracowywałem własny styl ucząc się od starych kotów. Jestem z Frenso, więc miałem wszystkiego po trochu – gówna z Bay Area, rapu w klimatach LA, ale ja zawsze byłem najbardziej zajarany starą szkołą, także ze wschodniego wybrzeża. Można to wszystko usłyszeć w moich utworach. Wielu myśli, że jestem ze wschodniego wybrzeża, ale moje teksty opowiadają o tym, co znam najlepiej - Kalifornii.

Wystąpiłeś gościnnie na albumie Linkin Park. Jak ci się pracowało z niehiphopowym zespołem?

To było super. Ci kolesie naprawdę doceniają hip-hop, więc nie obchodzi mnie skąd są, czy jaką muzykę grają. Współpraca z tymi typami była naprawdę szalona. Przede wszystkim są bardzo kreatywni i myślę, że ja także, więc świetnie się zgraliśmy. Dla mnie jest to coś, z czym mogę wyjść do wszystkich ludzi, większej publiczności, niż ta, z którą mam do czynienia na co dzień. Chciałbym w przyszłości brać udział w kolejnych kooperacjach tego typu.

W 2002 roku zostałeś nominowany do nagrody Grammy. Jaka była twoja pierwsza myśl?

Coooooooooo?!!!! Naprawdę, pierwsze, co pomyślałem to „Coooooooooooo?!!!". To było niewiarygodne, bo kiedy nagrywaliśmy muzykę, nie myśleliśmy o żadnych nagrodach, po prostu koncentrowaliśmy się na dobrych brzmieniach. Strasznie się ucieszyłem, że ludzie to docenili.

Co byś zrobił, gdyby okazało się, że jesteś zwycięzcą, poszedłbyś odebrać nagrodę?

No pewnie, że zaakceptowałbym tę nagrodę! Gdybym teraz miał odebrać nagrodę, byłoby super, coś jak uznanie, za to, co robiłem przez wszystkie lata do tej pory. Oczywiście nie czekam na pochwały, po prostu robię swoje. Jeśli wygram - spoko, jeśli nie – też spoko. Najważniejsze, żebyście słuchali mojej muzyki.

Obecnie promujesz nową solówkę, możesz coś o niej powiedzieć? Jakbyś ją zarekomendował komuś, kto nigdy nie miał do czynienia z Planet Asią?

Nagrywałem tę płytę, kiedy w moim życiu działy się ważne rzeczy. Właśnie porzuciłem Interscope i starałem się zrobić coś, co będzie miało odrobinę ze wszystkiego. Myślę, że każdy znajdzie coś dla siebie. Niektórzy fani mogą myśleć, że nie jest to najlepsza rzecz, jaką zrobiłem, bo nie brzmię tak, jak ich do tego przyzwyczaiłem, ale starałem się zaprezentować wszelkie swoje atuty, całego siebie. To nie kolejny jednowymiarowy album, bo ja nie jestem jeszcze jednym płaskim kolesiem. Teraz to jest już zamknięty rozdział, a ja skupiam się na następnym przedsięwzięciu - wytwórni Gold Chain Music.

Jest też nowa EP Cali Agents – czy to oznacza, że możemy się spodziewać wkrótce całego albumu? Co zajęło wam tyle czasu, od premiery debiutu minęły już ponad 4 lata...

Tak. Można spodziewać się całego albumu, ale nie jestem teraz w stanie powiedzieć kiedy dokładnie. Rascoe ma swój solowy projekt i inne rzeczy, którymi się zajmuje, ja mam podobną sytuację. Teraz jestem w trasie, później będę pracował nad następnym solowym krążkiem. Mam różne mixtape'y, które wypuszczam, mam rodzinę... Dzieje się naprawdę dużo. Ale płyta wyjdzie i będzie gorąca. Czekajcie na nią.

mały esz esz
laidback po polsku

Z barwnego, warszawskiego kolektywu Szybki Szmal wyłoniło się wiele indywidualnych styli. Emazetowi blisko do solidnego, dynamicznego i niegłupiego hardcore'u. Offbeatowy, kąśliwy Ciech może kojarzyć się z Big L'em, Polej robi mu zresztą beaty w klimacie D.I.T.C., Preemo, Pete Rocka. Kali to hedonistyczna, bounce'owo-dancehallowa warlacka jazda. Mały Esz Esz natomiast zwalnia tempo. Jeżeli nie wiecie, co znaczy słowo „laidback", sprawdźcie debiutancki album „Bez Zabezpieczeń", który dzięki leniwemu, dopracowanemu flow, skali obserwacji i korzennym, a zarazem eksperymentalnym beatom (duża ewolucja Szoguna) w miły dla ucha sposób okazał się niespodziewanie jednym z mocniejszych strzałów tego roku. Najpierw zapraszam jednak do lektury wywiadu

rozmawiał Flintstone (CS)

Warszawa jest miastem, w którym żyje się szybko. Tymczasem tobie, jak wnioskuję po płycie, udaje się żyć zdecydowanie wolniej. Nagrałeś album, który pod względem tempa jest spokojniejszy od większości materiałów.

Płyta jest czasem leniwa, bo jest identyczna jak ja. Wiesz, zmieniam się z minuty na minutę, osoby przy mnie widzą, że w pewnym momencie jest ekstra: zabawa, robię z siebie durnia, wszyscy się śmieją, jestem duszą towarzystwa. A zaraz potem nie odzywam się, siedzę, jestem przymulony, mam miliard przemyśleń na sekundę, wszystko mnie męczy. Mama pyta, co się stało, z kumplami nie chce mi się iść na piwo... Tak samo jest na płycie, mamy kawałek o rzeczach ciekawszych dla ludzi, bo bardziej strawnych, i są rzeczy złożone. Utwory odzwierciedlają momenty, często zdarzają się w nich sprzeczności.

Rozmawiając o twojej płycie z tudzmt spotykałem się z jednym epitetetem – „pharcyde'owa"...

Muzyka ze Stanów ukształtowała mnie od samego początku. Byłem siedmioletnim gościem w lekko szerokich spodniach, bo na skejtowskie buty byłem jeszcze za mały. Ale już lecial House of Pain, Mc Hammer, Onyx. Jeszcze w ciężkiej podstawówce. Pharcyde też jest od początku, od kiedy tylko usłyszałem, wiedziałem, że to niesamowita kapela. Takie rzeczy mi się podobają – Pharcyde, Tribe'y, Rawkusy. The Roots – ogromna inspiracja. Nie będę pisał tekstów takich, jak oni, wiadomo, ale styl muzyczny jest w jakiś sposób podobny. To raczej hipokryzja, jeśli jakiś raper mówi, że nie ukształtowała go muzyka zza oceanu, bo przecież tam to wszystko powstało, a my jesteśmy od tego, żeby przenieść to na swój własny język i realia. I nie wkurzam się za takie opinie.

Nieco żyjesz przeszłością. Wymienione zespoły jasno to obrazują, pamiętam twój wers o tym, że oprócz „Skandalu" Molesty w Polsce niewiele nowości. Czasem tematycznie colasz się naprawdę głęboko, np. do ludzi, którzy przelali swoją krew za Warszawę.

Najlepszy hip-hop to rok od 1993 do 1996. Słucham tych produkcji non stop, bawię się przy nich, robię przy nich tak naprawdę wszystko. Jeżeli sięgam po nowe, to i tak po nowe płyty starych wykonawców. Muzyka, która mnie jara, rzadko powstaje, a jeśli nawet, to nie ma jej na MTV czy innych pierdołach. A czy lubię wracać do przeszłości? Pewnie. Wolę nie iść nurtem głównym, jak wszyscy, tylko w tył. Chętnie odwołuję się do tego, co było, aczkolwiek mam też kawałki takie jak „Na odwrót", opisujący różne rzeczy dziejące się akurat w tym momencie.

„Na odwrót" to rzecz mocno zaangażowana politycznie...

Manifestuję swoją antypatię do polityki i to akurat łączy mnie z większością. W Polsce jest to największe bagno i jeżeli chce się coś wyśmiać, nazwać złym, najłatwiej nawiązać właśnie do polityki albo do piłki nożnej. Kraj się sypie, po 1989 mieliśmy szansę, ale politycy są z dawnej epoki i kiedy dostali szansę wybicia się w jakikolwiek sposób, wiadomo, że nie obchodziło ich, czy jest to zgodne z prawem, bo i wcześniej nie było. Biorą co się da, a ludzie nie obchodzą ich w ogóle. Trudno oczekiwać altruizmu, ale nie powinni myśleć tylko o sobie. Kiedy czytam stenogramy z rozmowy Dochnala z Pęczakiem, to jakby gadało dwóch największych bandytów! Ich gadka... Tik taki, tak taki, taki nie taki... Komedia.

Odbiegamy od polityki. Z osoby, która zdecydowanie nie grała pierwszych skrzypiec w Szybkim Szmalu, stałeś się kimś, kto wydał przemyślaną, dojrzałą płytę solową. Skąd ta metamorfoza w niedługim w sumie czasie?

Były w Szybkim Szmalu osoby, które grały pierwszy plan, ja oczywiście do nich nie należałem. Cechy charakteru czynią mnie człowiekiem spokojnym i zamkniętym w sobie. Na płycie „Enziskenzis" jest mnie mało, bo stylistyka mi nie pasowała, nie chciałem być we wszystkich kawałkach, nie miałem tylu podchwyconych przez innych pomysłów. Po niej zmieniło się wszystko. Niektórzy przestali rymować, w tej chwili tylko osoby takie jak ja, Emazet z Szogunem, Ciech z Polejem, Kali nagrywają projekty, które będą wychodzić bądź już wychodzą. Chciałem stworzyć duet albo trio, żeby materiał był bardziej mój. Bywały różne projekty, które się poucinały, same w sobie rozeszły. A ja nadal miałem kupę pomysłów, chciałem stworzyć coś fajnego, coś mi chodziło po głowie, takie „Bez zabezpieczeń". Potrzebuję nagrywać, żeby się kształtować, nagrywałem więc solowe kawałki już dwa lata temu. Aż okazało się, że można je wydać na moich warunkach. Wyciąłem pierwszych pięć numerów i powstał album.

Co było ci trudniej napisać – kawałek o twojej wielkiej miłości bez happy endu, czy o rozpadzie Szybkiego Szmalu, z którym byłeś przecież mocno związany?

Pierwszy z tych kawałków, hidden track, trwa sześć minut i opisuje całą historię. Powstał w bardzo krótkim czasie, pod wpływem tak silnej emocji, że usiadłem i napisałem go na raz. Chodziłem i cieszyłem się jak dziecko, że coś takiego jest, chociaż kawałek nie jest wesoły raczej. Akurat oba te kawałki napisały się praktycznie same, powstały momentalnie. To tematy są trudne. Trudniej mi ich słuchać, niż je tworzyć. Nie słucham ich w ogóle, mimo że uważam za najlepsze na płycie.

Końcówka albumu jest rzeczywiście emocjonalna, łatwo wyłapać, że jesteś wytrącony z równowagi. Uszy zdumiewa jeszcze jedna rzecz – na zbasowanej, niesplesznej płycie pojawiają się nagle breakbeaty, eksperymenty rytmiczne.

Robię muzykę, jaką czuję i jaka mi się podoba. Breakbeaty... Chodzi o DeeJay'a Deltę, którego pozdrawiam. Znaliśmy się już wcześniej, zrobił remix utworu z płyty Szybkiego Szmalu. Tym razem dostał wokal Karoliny z beatem – „Masz, zrób z tym coś na skita". Kiedy w przeciągu paru godzin nam to przysłał, serce zaczęło mi walić tak, że od razu dałem następny kawałek, żeby miał na płycie chociaż jeden cały numer. I tak powstał „Magnes", w wersji, która niesamowicie mi się podoba. Mamy w planach cały projekt, bo jest to tak oryginalne... Nikt czegoś takiego w Polsce nie robi. Boją się, albo tego nie czują. Szoguna również męczę, nienawidzę loopowania kilku powtarzających się przez cały kawałek sekund. To jest tak surowe... A ja lubię muzykę, w której dużo się dzieje, są instrumenty, zmiany rytmów. Kiedy stworzy się z tego jedną całość, brzmi to fantastycznie.

Walls of jericho
pozytywne oblicze agresji

Według słów zapisanych w Biblii, warowne mury Jerycha upadły zniszczone dźwiękami trąb. Dziś sztukę kruszenia ścian za pomocą muzyki kultywuje formacja Walls Of Jericho. Renomę burzycieli murów członkowie Walls Of Jericho podtrzymują na koncertach, na których uwijają się z zapałem godnym hiper-pracowitych mrówek, podczas gdy za wokalistką Candace Kucsulain, małą dziewczynką o potężnym głosie, nie sposób nadążyć nawet wzrokiem.

rozmawiał Sebastian Rerak

Po kilkuletniej przerwie, radykalni hardcore'owcy z Detroit przypuścili atak na uszy odbiorców nowym, znakomitym albumem. „All Hail the Dead" to druga pełnowymiarowa produkcja tego, istniejącego od 1998 roku zespołu.

Wywiad, który możecie przeczytać poniżej, przeprowadziłem przed koncertem Walls Of Jericho w ramach trasy Resistance Tour. Moją rozmówczynią była oczywiście charyzmatyczna Candace, która mówi z jednakową szybkością, z jaką porusza się na scenie.

Zanim nagraliście nowy album, „All Hail the Dead", zespół przeszedł dwuletni okres zawieszenia. Co było jego przyczyną?

Nasz ówczesny perkusista przeprowadził się do Seattle, które leży ok. 36 godzin drogi od miejsca, skąd pochodzimy. Przesłuchiwaliśmy pięciu czy sześciu różnych kandydatów do zajęcia jego miejsca, ale nie znaleźliśmy nikogo, z kim zgralibyśmy się tak muzycznie, jak i personalnie. Niewiele mogliśmy zdziałać, więc przestaliśmy grać na blisko dwa lata.

Aż w końcu nowy człowiek wskoczył za bębny. Czy możesz go przedstawić?

Alexei był wcześniej członkiem zespołu Catharsis. Kiedy przestaliśmy grać, mieszkał w Europie. Wkrótce potem przeniósł się do USA i zadzwonił do nas. Zaczęliśmy z nim pracować, ponieważ bardzo dobrze go już znaliśmy i wiedzieliśmy, że jest właściwym człowiekiem.

Wasz poprzedni album, „The Bound Feed the Gaggad" został wydany pięć lat temu. Wygląda na to, że ta przerwa nie poszła na marne – nowa płyta jest bardziej dojrzała i po prostu lepsza.

Tak, zgadzam się. Czerpaliśmy z większej liczby inspiracji, na nowe kompozycje wpływ miało wielu ludzi. Sądzę, że przez te kilka lat przerwy dojrzeliśmy zarówno jako ludzie, jak i jako muzycy. Byliśmy bardzo podekscytowani i staraliśmy się włożyć w nową płytę jak najwięcej z nas samych.

Nie da się ukryć, że muzyka Walls Of Jericho przepełniona jest gniewem. Czy jego źródłem są codzienne doświadczenia?

Myślę, że hard core generalnie jest dosyć gniewny. Oczywiście nie w całości, istnieje przecież posi-core. Nasza muzyka jest dosyć agresywna i pełna gniewu, ale najistotniejsze, że nie jest to negatywna agresja. Za wszystkim tym stoją pozytywne wartości. Mogę krzyczeć o czymś, co mnie wścieka, ale jednocześnie w tekstach zawieram pozytywny przekaz – jak przetrwać to wszystko itp. Nie jestem typem osoby, która łatwo się poddaje, więc i tego nie znajdziesz w moich tekstach. Znajdziesz w nich mnóstwo bólu i utrapienia, ale także równie wiele troski i czułości.

Im więcej ludzi pozna przekaz i postara się wcielić go w życie, tym lepiej. Moglibyśmy uczynić świat lepszym, niż robią to inni, ponieważ postrzegamy sprawy inaczej, zdajemy sobie sprawę z całego gówna, jakie jest dookoła

W jednym z wywiadów powiedziałaś jednak, że nie potrafisz pisać tekstów, kiedy wszystko w twoim życiu układa się tak jak powinno...

No co ty? Mogę też pisać, kiedy jestem szczęśliwa (śmiech). Nigdy nie mówiłam, że nie mogę, ale podczas pracy nad ostatnią płytą, generalnie nie potrafiłam. Ilekroć działo się coś złego, mówiłam o tym. Mamy też kilka utworów, które nie dotyczą trudnych sytuacji, a raczej sposobu myślenia o pewnych sprawach. Zdecydowanie mogę pisać takie teksty, nie będąc zła. Hard core to nie tylko gniew. To istotne przesłanie, które staramy się przekazać ludziom, ponieważ jest to jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić na pytanie: „Czy jesteś tylko zagniewana?". Istnieje pewien punkt, który przestępujesz. Możesz być czasem wściekły, ale zawsze są ludzie gotowi ci pomóc. Pozytywna strona hard core'a zawarta jest w przekazie. Trzeba tylko wsłuchać się dokładnie w to, co wykrzykuję. Nie jesteśmy gniewnymi ludźmi (śmiech).

Mieliście już okazję grać w Polsce. Jak postrzegasz tutejszą publikę w porównaniu z tą z Zachodniej Europy i USA?

Nie ma wielkich różnic. Jedyną różnicą jest co najwyżej język. Każdy dobrze się bawi, ludzie uprawiają mosh. W USA z pewnych powodów nie ma circle pits (śmiech), ale w Europie nic pod tym względem się nie zmieniło. To zapewne jedyna różnica, jaką dostrzegam. Poza tym wszędzie ludzie mają mnóstwo energii.

Nie odnosisz jednak wrażenia, że dzieciaki w Polsce wyglądają tak samo jak te w Ameryce, noszą takie same ubrania etc.? Przyznasz chyba, że USA dyktuje pewne trendy nawet w hard core?

Zawsze będą istniały trendy w hard core. Ty też należysz do trendu, jazda na deskorolce czy snowboardzie też jest częścią trendu. I to jest w porządku! To po prostu sposób życia, sposób, w jaki wyglądasz i co robisz. Hard core zdecydowanie ma pewne wzorce, które niektórzy powielają, a inni nie. Faktycznie możesz pojechać w dowolne miejsce na świecie i bez trudu wskazać hard core kids. Ubierają się podobnie, jest to pewien rodzaj uniformu. To nic złego, tak po prostu jest. Ludzie robią, co chcą. Ale istotnie wszyscy wyglądają podobnie.

Zaangażowałaś się w scenę hard core jako piętnastolatka. Co wówczas znajdowałaś w niej takiego pociągającego?

Wcześniej słuchałam bardzo dużo punk rocka i ska, więc byłam już zaangażowana w scenę. Ważnym zdarzeniem był dla mnie koncert lokalnego zespołu z Michigan, Earth Mover. Wokalista Lenny miał niesamowitą energię, można było poczuć jego emocje, nieważne czy był wściekły czy smutny. To było niesamowite przeżycie. Bardzo spodobała mi się agresja tej muzyki, ponieważ jako nastolatka byłam zagniewanym dzieciakiem. Ale podobał mi się też pozytywny przekaz. (Candace łapie atak kaszlu).

Chyba jesteś przeziębiona...

Tak, ale nie przejmuj się. Choruję od jakichś dwóch tygodni.

No cóż, słyniesz z tego, że jesteś twardą dziewczyną. Mam nadzieję, że wszystko w porządku z twoim nosem (kilka miesięcy wcześniej Candace złamała nos podczas koncertu).

Tak, był złamany już dwa razy, ale teraz wszystko jest w porządku (śmiech).

Wasi przyjaciele z zespołu Most Precious Blood są bardzo zaangażowani w propagowanie praw zwierząt. Jaka jest Wasza opinia na tę kwestię?

Uważam, że ludzie, którzy są weganami, stają w obronie praw zwierząt, są niesamowici. To bardzo pozytywna i ważna sprawa, taki mam do tego stosunek.

Grywaliście na różnych wielkich festiwalach, jak np. Woodstock, gdzie publikę stanowiła masa rednecków...

Ja nigdy nie czuję się niekomfortowo z powodu publiki. Szczerze mówiąc, czuję się niekomfortowo tylko w sytuacji, kiedy grywamy na metalowych koncertach, na których jacyś pijani kretyni krzyczą: „Pokaż cycki!". To nie jest miłe, ale zawsze mogą kazać im spierdalać. Nie dbam o to, dla kogo gramy, czy będą to małe dzieciaki czy rednecki. Jeżeli ludzie rozumieją, o co nam chodzi, szanują się nawzajem i dobrze się bawią, to wszystko jest w porządku. To wszystko, na czym mi zależy.

Czy nie sądzisz zatem, że hard core powinien pozostać w undergroundzie?

Wiedziałam już, że zadasz to pytanie, zanim je nawet wypowiedziałeś (śmiech). Osobiście nie uważam, by hard core powinien pozostać w podziemiu. Jeżeli masz swój zespół, który ma określone przesłanie, starasz się poczynić pewną deklarację, zmienić coś na świecie, to nie możesz ograniczać się do określonego typu ludzi jako swoich odbiorców. Nie dokonasz żadnej zmiany, nie zrobisz niczego pozytywnego. Moim zdaniem, im więcej ludzi pozna przekaz i postara się wcielić go w życie, tym lepiej. Moglibyśmy uczynić świat lepszym, niż robią to inni, ponieważ postrzegamy sprawy inaczej, zdajemy sobie sprawę z całego gówna, jakie jest dookoła. Dlaczego, do diabła, inni nie mieliby też go dostrzec? Trzeba dotrzeć do ludzi, zmieniać ich poglądy. Nie chcę pieprzonego świata pełnego idiotów, którzy próbują złapać mnie za tyłek, kiedy przechodzę obok. Chcę, by ludzie szanowali kobiety, starali się być weganami itp. Starajmy się promować nasze wartości. Hard core underground? Nie, dziękuję.

Oprócz agresywnej, muzyka Walls Of Jericho ma też swoją łagodną stronę. Myślę o takich utworach jak piękna kompozycja „Angel" czy „To Be Continued" z ostatniej płyty. Czemu tak rzadko ujawniacie to oblicze?

No cóż, jesteśmy przywiązani do swojego stylu. Włączamy do naszej muzyki elementy różnych gatunków. Nigdy nie wiesz, czego się spodziewać przy takim rodzaju muzyki. Ja ujawniam swoją inną stronę przez cały czas (śmiech). Ludzie niestety tego nie widzą. Nie chce im się ze mną porozmawiać, a przecież nie jesteśmy agresywni. Jesteśmy bardzo spokojni i zadowoleni (śmiech).

Ostatnie pytanie. Nurtuje mnie Twoje nazwisko. Nie brzmi zbyt amerykańsko...

No tak, to węgierskie nazwisko, ale ja nie jestem Węgierką (śmiech).

radiostacja
muzamłodejgeneracji
warszawa 101.5fm łódź 104.5fm olsztyn 91.9fm gdynia 101.1fm gdańsk 92.0fm
poznań 101.6fm zielona góra 92.9fm wrocław 106.9fm kraków 93.7fm rzeszów 96.4fm

stan sakai
usagi yojimbo

Stan Sakai w Polsce jest znany właściwie tylko z serii o Usagim Yojimbo – króliku samuraju. Nic dziwnego. Mimo wielu innych dokonań autora, największą, zasłużoną sławę zdobyła właśnie wielotomowa samurajska saga. Komiks nieprzeciętny, wielokrotnie uhonorowany, w tym jednym z najważniejszych wyróżnień komiksowych, nagrodą Eisnera. Przeczytajcie, co powiedział nam rysownik w rozmowie, przeprowadzonej podczas jego niedawnej wizyty w Polsce

rozmawiali Kuba Demiańczuk, Łukasz Kowalski, Sebastian Rerak
ilustracje Stan Sakai

Urodził się Pan w Japonii, by później przenieść się na Hawaje...
Urodziłem się w Kioto. Mój ojciec stacjonował w amerykańskiej bazie wojskowej, poznał moją matkę w Tokio. Pobrali się, mimo że ojciec matki sprzeciwiał się temu ślubowi. Nie dlatego, że wybranek córki był Amerykaninem, ale dlatego że jego rodzice byli rolnikami, podczas gdy rodzina mojej matki należy do rodu samurajów. A więc nie traktował zięcia jak wroga, chodziło mu o różnicę klasową (śmiech). Urodziłem się w Kioto, a potem moja rodzina przeprowadziła się na Hawaje, skąd pochodzi mój ojciec. Jestem amerykańskim Japończykiem w trzecim pokoleniu. Od czasu narodzin tylko raz byłem w Japonii.

Poruszyłem kwestię Pana pochodzenia, ponieważ pomyślałem, że być może tworzenie Usagiego było dla Pana odkrywaniem na nowo japońskiej tożsamości.
Masz rację. To, co robię pozostaje w silnym związku z faktem, że moi przodkowie to Japończycy. Chciałem zrobić coś związanego z miejscem, w którym tkwią moje korzenie. Na Hawajach, gdzie się wychowywałem, żyje liczna japońska populacja. Na jednej z ulic stało japońskie kino, w którym uwielbiałem oglądać stare filmy samurajskie, np. te w reżyserii Akiry Kurosawy. Dorastałem czytając komiksy, aż w końcu postanowiłem stworzyć własną historię opartą na życiorysie Miyamoto Musashi, siedemnastowiecznego samuraja.

A więc na Hawajach wciąż pozostawał Pan w kontakcie z japońską kulturą?
Tak. Myślę, że członkowie japońskiej społeczności na Hawajach kultywują swoją kulturę z większym pietyzmem niż ich rodacy w Japonii. Właśnie dlatego, że tęsknią za domem, który opuścili. Japończycy w kraju bardzo starają się modernizować, podczas gdy ci z Hawajów, będąc z dala od domów, przechowują tradycję, starają się zachować rdzenną kulturę. Celebrują wszystkie stare święta, urządzają wielkie pikniki – uwielbiam na nie chodzić.

Usagi zaczyna żyć swoim własnym życiem, dorasta, przeobraża się, fizycznie i duchowo, mimo że ja nie staram się go zmieniać

Od dwudziestu lat rysuje Pan przygody Usagiego. Nie czuje się Pan już trochę zmęczony tą historią?
Nie, skądże. Tak naprawdę, gdy tworzę kolejny odcinek, to myślę już o dwóch następnych. A pomysłów wystarczy mi przynajmniej na kolejne dziesięć lat. Już w tej chwili pojawiają się zapowiedzi czegoś, co wydarzy się być może dopiero za pięć lat.

Usagi tymczasem wciąż wędruje po Japonii. Czy jego podróż kiedykolwiek się zakończy?
Kiedy stworzyłem Usagiego, miałem jasno sprecyzowany początek, rozwinięcie i zakończenie jego historii. Na samym jej końcu Usagi miał zginąć piękną śmiercią (śmiech). Ale po jakimś czasie naprawdę polubiłem tę postać i postanowiłem, by poświęcić jej niekończącą się sagę. A więc póki co, Usagi nadal będzie wędrował.

A czy kiedykolwiek opuści Japonię?
Nie, raczej nie. Narysowałem jedynie odcinek, w którym Usagi spotyka chińskiego szermierza, ale trzeba pamiętać, że wtedy Japonia była krajem zamkniętym, stosowała politykę izolacjonizmu. Istniały oficjalne zakazy kontaktów pomiędzy obywatelami Japonii i obcokrajowcami.

Proszę powiedzieć: dlaczego królik? Nie kot, lew czy jakiekolwiek inne zwierzę, które pojawia się w komiksach...
Ha ha, to z reguły pierwsze pytanie, które mi zadawano. A wzięło się to z tego, że robiłem sobie różne szkice i narysowałem królika z uszami związanymi w chonmage (samurajski kok). Ten rysunek mi się spodobał, bo choć bardzo prosty, to jednak był niezwykły, nikt wcześniej tego nie wymyślił. I został królik, chociaż wcześniej myślałem o realistycznej serii opartej na życiu samuraja Miyamoto Musashi. W taki właśnie sposób Miyamoto Musahi stał się Miyamoto Usagi – „usagi" znaczy „królik" po japońsku. Na początku Usagi miał być królikiem w ludzkim świecie, ale gdy zacząłem rysować, stwierdziłem, że wygląda to dziwacznie i inne postaci też stały się zwierzętami.

Czy zwierzęta łatwiej rysować?
Przed „Usagim" robiłem komiksy o superbohaterach i tego typu rzeczy, więc rysowanie zwierząt było dla mnie czymś nowym. Teraz jednak przychodzi mi to łatwiej, choć zdarza mi się rysować komiksy z ludzkimi postaciami – zrobiłem na przykład jeden odcinek „Gwiezdnych wojen".

Także w pierwszych epizodach „Usagiego" pojawiają się ludzie.
Zaledwie kilku i to z pierwszego okresu, gdy założenia serii były jeszcze inne i potrzebowałem wprowadzić parę postaci ludzkich, które później miały wpłynąć na dzieje Usagiego. To wszystko.

Ale na stronie internetowej Usagiego przeczytałem, że Pan lego żałuje.
Lord Hikiji jest główną złą postacią w świecie Usagiego. Pokazałem go jako człowieka zaledwie na jednej planszy i od tamtej pory tego żałuję. Ale nie aż tak bardzo, żebym miał kiedykolwiek narysować ten odcinek jeszcze raz.

Podobno przy tworzeniu postaci Hikijiego inspirował się Pan Tolkienowskim Sauronem.
Tak, miała to być taka postać jak Sauron we „Władcy Pierścieni". Cały czas wyczuwamy jego obecność, ale nigdy tak naprawdę go nie widzimy. Ma wpływ na większość wydarzeń w komiksie, nawet wtedy, gdy nie jest to powiedziane wprost. Tym bardziej szkoda, że go narysowałem (śmiech).

Którego ze stworzonych przez siebie bohaterów nazwałby Pan swoim alter ego?
Oczywiście Usagiego (śmiech). Ale zauważam też, że niezwykle często Usagi zaczyna żyć swoim własnym życiem, zmienia się i dorasta, mimo że ja nie staram się go zmieniać i nie każę mu dorastać. Mimo to przeobraża się, tak fizycznie, jak i duchowo. Ludzie często mówią: „O, Usagi wygląda teraz inaczej!". Ja zawsze odpowiadam: „Naprawdę?". Jeśli porównać wczesne historie z tymi, które rysuję teraz, faktycznie widać, że Usagi jest nieco inny, chociaż wcześniej tego nie zauważałem (śmiech).

Wygląda na to, że mężnieje.
Tak, jest coraz wyższy, ma teraz małego guza na nosie (śmiech). To drobne szczegóły, ale nie byłem świadomy, że tak się dzieje. Myślę, że wszystko to ma związek z moim rozwojem jako artysty. Lubię myśleć, że doskonalę się jako plastyk i scenarzysta i mam nadzieję, że to właśnie są rezultaty mojego rozwoju.

A którą z postaci – oprócz Usagiego – lubi Pan najbardziej?
Pewnie Gennosuke, bo to chyba najbardziej rozbudowana postać. Z pozoru nieokrzesany, gburowaty i samolubny, ale gdy przyjrzy się mu bliżej, to okazuje się zupełnie innym bohaterem.

Czy doczeka się więc własnej serii?
Serii pewnie nie, ale robię teraz kilka odcinków, w których nie występuje Usagi. Jeden z nich opowiada o spotkaniu Stray Doga z Genem. Takie historie się czasami pojawiają.

Czy kiedykolwiek spotkał się Pan z zarzutem, że Pana komiksy są zbyt japońskie dla amerykańskiego czytelnika?
Nie, tak naprawdę im bardziej nadaję im japoński charakter, im więcej zawieram w nich historii i kultury, tym bardziej podobają się one czytelnikom. Kiedy piszę np. o konstruowaniu latawców czy wykuwaniu mieczy, otrzymuję potem wiele listów z prośbą o więcej podobnych opowieści i więcej informacji o japońskiej historii. Myślę, że właśnie to bardzo podoba się czytelnikom.

W opowieściach o Usagim jest mnóstwo odwołań historycznych. Czy trudno było Panu zbierać odpowiednią dokumentację?
Dorastałem oglądając stare filmy o samurajach i początkowo „Usagi" miał być raczej komiksem przygodowym, gdzie historia i kultura przewijają się tylko w tle. Ale im więc-

cej pojawiało się w „Usagim" Japonii, tym bardziej ja sam interesowałem się i postacią i dalszym tworzeniem serii. To była epoka pełna przemocy. Okres zmian politycznych i historycznych. Szogun przejął władzę po latach wojen i nagle tysiące wojowników zostało bez pracy. Nie mieli co robić, a jedyną rzeczą, którą potrafili, było władanie mieczem. Wielu zostało kupcami, ale jeszcze więcej bandytami. Ten temat ludziom się bardzo podobał. A zbieranie dokumentacji sprawiało mi prawdziwą radość, czytanie o historii Japonii, o kulturze i jej rozmaitych aspektach. To jest ta część mojej pracy, która sprawia mi naprawdę dużo frajdy. No i pewnie jestem jedynym twórcą zachodnim, który napisał historyjkę o uprawie wodorostów.

Siedemnastowieczny samuraj Miyamoto Musashi był inspiracją dla stworzenia postaci Usagiego. Czy jacyś inni bohaterowie też mają swoje historyczne pierwowzory?

Niektóre tak. Lord Hikiji, o którym już wcześniej rozmawialiśmy, ma pewne cechy Date Masamune, który był władcą prowincji Sendai, mniej więcej w czasach, w których rozgrywa się akcja komiksu. Był jednym z najbardziej wpływowych władców tamtych czasów, on pierwszy wysłał delegację samurajów na spotkanie z papieżem. Dążył do zdobycia szogunatu, miał szerokie horyzonty, zwłaszcza, że szogunowie dążyli wówczas do izolacji. On przeciwnie – chciał ekspansji Japonii na świat. Tomoe Ame, kobieta samuraj, jest moją wersją postaci Tomoe Gozen, która żyła w okresie wojny domowej w Japonii. Słynęła zarówno z urody, jak i niezwykłej biegłości we władaniu mieczem i włócznią. Legenda głosi, że była ona żoną słynnego generała, Kiso Yoshinaki. Gdy wpadł on w pułapkę zastawioną przez wrogów i miał popełnić seppuku, ale towarzyszyła mu żona, a samuraj nie mógł umrzeć z kobietą u boku. Rozkazał jej więc odjechać, dopiero wtedy mógł popełnić rytualne samobójstwo. Sama Tomoe wstąpiła później do klasztoru.

Początkowo „Usagi" miał być raczej komiksem przygodowym, gdzie historia i kultura przewijają się tylko w tle. Ale im więcej pojawiało się tu Japonii, tym bardziej ja sam interesowałem się i postacią i dalszym tworzeniem serii

Inne postaci i epizody wzorowałem na bohaterach i ikonach popkultury, takich jak Lone Wolf and Cub (kultowa manga autorstwa Kazuo Koike i Goseki Kojimy, również cykl filmów z lat 70., a nad nową adaptacją komiksu pracuje w tej chwili Darren Aronolsky – red.). Zato Ino to postać wzorowana na niewidomym samuraju Zatoichim (postać z filmowego cyklu z lat 70. i powieści Kana Shimozawy – red.). Jednak większość z moich postaci to bohaterowie wymyśleni od początku do końca przeze mnie.

Żółwie Ninja na początku były komiksem undergroundowym, pomyślanym jako parodia historii o superbohaterach, by później stać się ikonami pop. To pewna ironia losu, że doszło do ich spotkania z Usagim.

(Śmiech) Żółwie Ninja i Usagi powstały w tym samym roku, niemal tego samego miesiąca. Obecnie wspólnie świętują dwudzieste urodziny. W tamtych czasach ukazywało się niewiele komiksów czarno-białych, więc staraliśmy się wspierać nawzajem. A kiedy Żółwie Ninja zaczęły pojawiać się w telewizji, ukazały się zabawki je przedstawiające itd.; poproszono mnie, bym dołączył do nich z Usagim. W taki sposób Usagi Yojimbo trafił do serialu telewizyjnego o Żółwiach. Potem zaczęto produkować zabawki Usagi, a nawet piżamki z Usagim dla dzieci (śmiech). Co ciekawe, ukazują się dwie serie Żółwi Ninja – wychodzi komiks dla dzieci, ale istnieje także komiks, który twórcy Żółwi – Kevin Eastman i Peter Laird – produkują sami, a który jest przeznaczony dla dorosłych, więcej w nim przemocy, jest mroczniejszy itd. A więc istnieją dwie różne linie Żółwi.

A zatem Żółwie Ninja miały duży wpływ na popularność Usagiego.

Tak! Wielu ludzi, z którymi rozmawiam, mówi: „O tak! Pamiętam Usagiego, widziałem go w serialu o Żółwiach Ninja, a potem zobaczyłem komiks i zacząłem go kupować". Usagi wygląda zupełnie inaczej w kreskówce, ale spodobał się wielu ludziom, którzy kupili komiksy o nim.

Bardzo podobała mi się zabawna historyjka, opowiadająca o spotkaniu Usagiego z gadem, który w przyszłości miał zapewne stać się Godzillą. Jestem ciekaw Pana opinii na temat rosnącej popularności japońskiej popkultury, zwłaszcza ekspansji mangi.

Tak, to niemal ogólnoświatowa eksplozja! Moja córka nie czyta Usagiego, ale bardzo lubi mangę (śmiech). Ja też czytuję mangę, nie w jakichś wielkich ilościach, ale doceniam zróżnicowanie stylu mangowego, podobnie jak cenię styl komiksu zachodniego – czy to z Ameryki, czy Europy. W USA wielu czytelników mangi nie czyta komiksów, więc jeśli uda się nakłonić ich do zapoznania z komiksem, to będzie coś bardzo dobrego. Tak samo może być i w Europie. Nie wiem jak to wygląda w Polsce, ale większość miłośników mangi nie śledzi komiksów, więc chciałbym, by manga stała się dla nich punktem wyjścia do dalszego poznawania komiksu.

To, co zawsze przykuwało moją uwagę w komiksie o Usagim, to fakt, że wiele historii utrzymanych jest w nastroju refleksji i zadumy. Czy jest to coś właściwego charakterowi Japończyków?

Myślę, że tak. Wielu japońskich bohaterów nie wyjawia tego, co czuje wewnątrz. Zazwyczaj jest tak, ponieważ są oni bardzo harmonijni lub bardzo rozdarci wewnętrznie. Wiele dzieje się wewnątrz ich osobowości, a to z kolei prowadzi do zadumy. Starałem się wprowadzić to do opowieści o Usagim. On częstokroć medytuje lub cieszy się ciszą, chwilą spokoju przed wielką walką. Dla mnie to ważne także ze względu na zmianę tempa historii. Nie możesz przecież kazać bohaterowi walczyć bez przerwy. Musisz też tworzyć przyjemne, spokojne sceny.

Opowieści o Usagim są utrzymane w bardzo różnych konwencjach – kryminału, horroru, czy – tak jak wspomniałem – bardzo refleksyjnych historii. Czy jest taki styl, w którym odnajduje się Pan najlepiej?

Zazwyczaj tworzę takie historie, które sam chciałbym przeczytać. A zatem są zarówno bardzo humorystyczne historie o Usagim, jak i tajemnicze, które piszę, ponieważ uwielbiam powieści grozy. Stworzyłem bohatera i staram się umieszczać go w przygodach, o których sam chciałbym czytać. Wspomniałeś o horrorach. Słowo wstępne do jednego ze zbiorczych wydań Usagiego napisał pisarz horrorów. Uznałem, że to bardzo odpowiednie.

Stworzył Pan również serię „Space Usagi" i chciałbym się dowiedzieć, co Pana skłoniło do jej narysowania. Przeczytałem, że lubi Pan rysować dinozaury, których nie można było umieścić w komiksie o Japonii, ale nie do końca chce mi się wierzyć, że to jedyny powód, dla którego powstała ta seria.

No, to była dobra wymówka (śmiech). W „Usagim" rysuję sporo jaszczurek tokage, ale to nie są prawdziwe dinozaury, a takie chciałem narysować. Były dwie możliwości: albo narysować Usagiego prehistorycznego, z prawdziwymi gadami, albo wymyślić historię st, toczącą się na planecie dinozaurów. I to wydało mi się ciekawsze. Potem pomyślałem, że można narysować całą historię połomków Usagiego. I mam w głowie kilka pomysłów, połączonych oryginalnymi mieczami Usagiego. Space Usagi również ma te miecze, ale w historiach, których nigdy nie narysowałem, pojawiłby się np. współczesny prywatny detektyw. Myślałem też o historii osadzonej w latach 30., gdzie właścicielem mieczy byłby ówczesny superbohater, ktoś taki jak The Shadow.

Czy Usagi jest popularny w Japonii?

Nie, wcale. Właściwie żaden amerykański komiks nie zrobił nigdy prawdziwej kariery w Japonii. Manga jest popularna na całym świecie, ale to nie działa w drugą stronę (śmiech). Pojawiają się na tamtejszym rynku tacy bohaterowie jak Spider-Man, ale z reguły są to historie tworzone przez lokalnych artystów, specjalnie dla japońskich odbiorców.

A narysowałby Pan Usagiego w mangowym stylu?

Ha ha, raczej nie.

To znaczy, że manga Pana nie inspirowała...

W dzieciństwie czytałem dużo japońskich komiksów, ale to były starsze rzeczy, takie jak Astro Boy. Jego autor, Osamu Tezuka, był dla mnie wielką inspiracją. Ale czytałem wtedy przede wszystkim komiksy Marvela: Spider-Mana, Fantastic Four.

A teraz?

Czasami coś wpadnie mi w ręce, coś podeślą wydawcy, ale raczej interesuję się komiksem europejskim, zwłaszcza od czasu, gdy przeczytałem pierwsze numery „Heavy Metal". To naprawdę otworzyło mi oczy. Manara, Azpiri, Hermann – uwielbiam ich prace.

Na koniec pytanie – pewnie często zadawane – dlaczego zabił pan jaszczurkę Spota (w polskim wydaniu nazwany Kropą)?

Planowałem odcinek, w którym zginąć miał Zato Ino, któremu towarzyszył Spot po tym, gdy opuścił Usagiego. W końcu oszczędziłem niewidomego samuraja, więc w pewnym sensie Spot zginął zamiast niego. Dostałem zresztą całe mnóstwo listów od fanów, którzy byli wręcz oburzeni śmiercią tego jaszczura. Chyba go lubili...

WITAM! W KORESPONDENCJI, KTÓRĄ OTRZYMUJĘ WIELE MIEJSCA POŚWIĘCONE JEST PYTANIOM DOTYCZĄCYM MOJEJ TOŻSAMOŚCI I STOSUNKÓW Z INNYMI BOHATERAMI...
WEŹMY NP. TEN LIST:
„Elo ziom! Może byśmy coś razem skręcili? Skit P.S. Serio jesteś jeżem, czy tylko udajesz i tak naprawdę jesteś cutomieliem i kumplujesz się ze Stefanem i Zenkiem?"
ELO, SKIT! PORUSZYŁEŚ WAŻNĄ KWESTIĘ... MUSISZ WIEDZIEĆ, ŻE ODKĄD SIĘGAM PAMIĘCIĄ...
...BYŁEM JEŻEM...
EJ! CHŁOPAKI- -PATRCIE! JEŻ NA DESCE!
ŻE JEŻ TO ZAUWAŻYLI, A JAKI WYPASIONY TRIK DUSZĘ, TO JUŻ NIE...
TO CO, DZIEWCZYNY? ZAGRAMY W BUTELKĘ?
HI! HI! TAK! HI! HI! BĘDZIE OSTRO!
...CHOĆ MUSZĘ PRZYZNAĆ, ŻE NIE ZAWSZE ODDAWAŁEM SIĘ ROZRYWKOM APROBOWANYM PRZEZ WSZYSTKIE JEŻE...
...CO PROWADZIŁO CZASEM DO SYTUACJI KONFLIKTOWYCH...
STARY -SKĄD MIAŁEM WIEDZIEĆ, ŻE TO TWOJA DZIEWCZYNA?
Pimp my bride
JEZU JEBANY -JUŻ JA CIĘ NAUCZĘ!
MISIU -ZOSTAW! TO NIE JEGO WINA!

... A CZASEM DO BARDZO KONFLIKTOWYCH ...
P-PANOWIE! N-NO CO WY? ŻEBY TAK ZA PARĘ GRAMÓW ZARAZ Z MOSTU ZRZUCAĆ?
MAŁCI, SOBAKA... EEE... JEŻ...!
... JEŚLI CHODZI O STEFANA I ZENKA...
UŚMIECH, CHŁOPAKI!
CZY TO MOSSAD?
PSTRYK
O W MORDĘ JEŻA!
... TO NASZE „REWELACYJNE" STOSUNKI POPSUŁY SIĘ KOMPLETNIE W WYNIKU PEWNEGO BŁAHEGO ZDARZENIA...
... JAK WIĘC SAM WIDZISZ, O PRZYJAŹNI MIĘDZY NAMI NIE MOŻE BYĆ MOWY!
A CO DO TWOJEGO GŁÓWNEGO PYTANIA, DROGI SKICIE, TO...
... ZE WZGLĘDU NATO SKĄD PISZESZ, POZWOLĘ SOBIE POWTÓRZYĆ ZA PEWNYM LWEM: „ODMAWIAM ODPOWIEDZI NA TO PYTANIE"!
Komenda Główna Policji Warszawa

ALYSSA
ALWAYS REAL
DEN.WINTERTHUR.ANTWERPEN.GOMEL.LYON.NEW YORK.WIE

LYON
PARIS
MARS-
-EILLE
RAW
FLAWLESS
VICTORY
NEW YORK.WIESBADEN.WINTERTHUR.ANTWERPEN.GOMBL.LYON.NEW YORK.WI

EL.LYON.NEW YORK.WIESBADEN.WINTERTHUR.ANTWERPEN.GOMEL.LYON.NEW YORK.WIESBAD

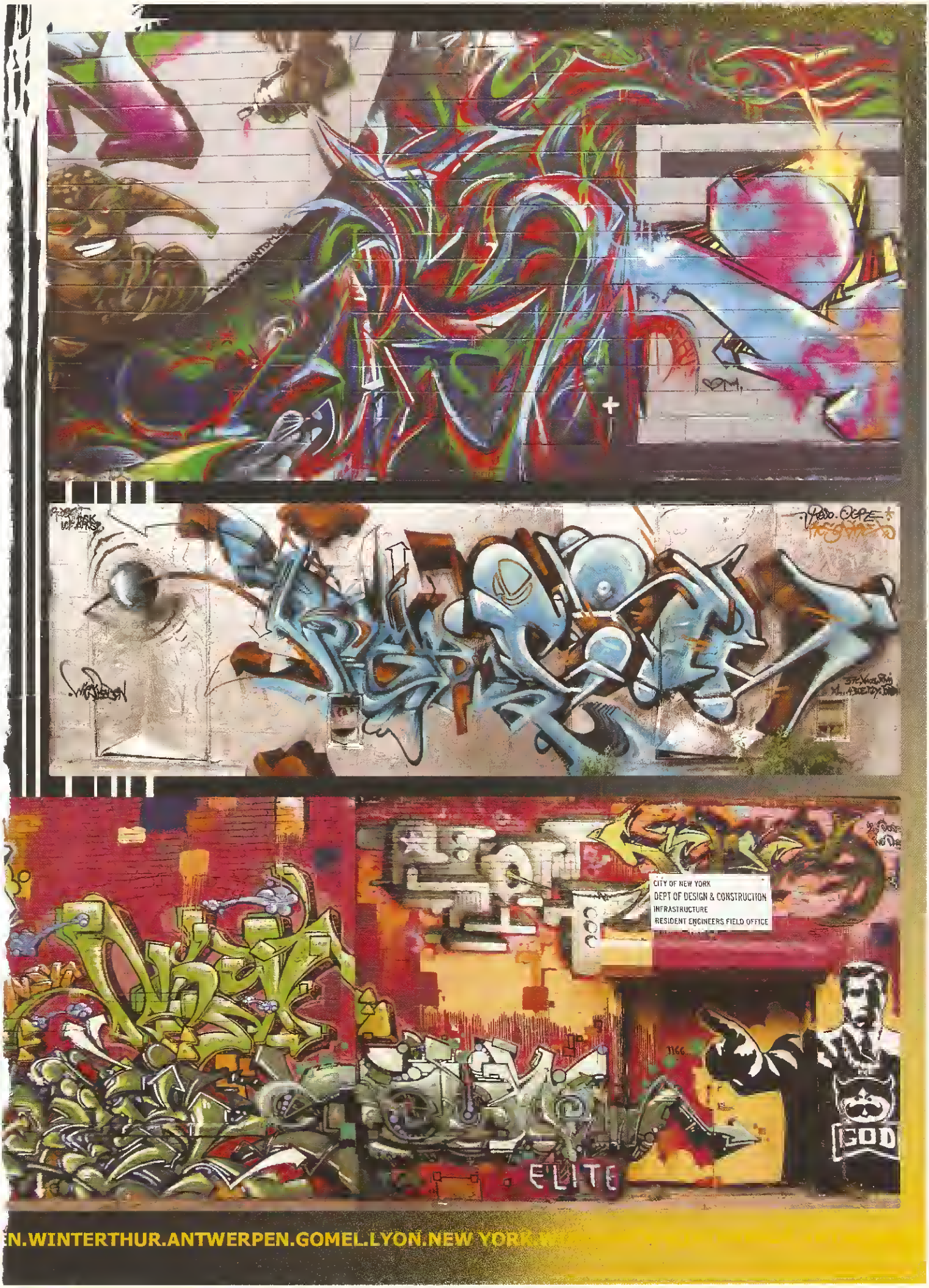
CITY OF NEW YORK
DEPT OF DESIGN & CONSTRUCTION
INFRASTRUCTURE
RESIDENT ENGINEERS FIELD OFFICE
ELITE
GOD

"FUCK HIPHOP!"
ELIOT
BRUSK
SENEZ
ATER
ERPEN.GOMEL.LYON.NEW YORK.WIESBADEN.WINTERTHUR.ANTWERPEN.GOMEL.LYON.NEW YO

K.WIESBADEN.WINTERTHUR.ANTWERPEN.GOMEL.LYON.NEW YORK.WIESBADEN.WINTERTHUR

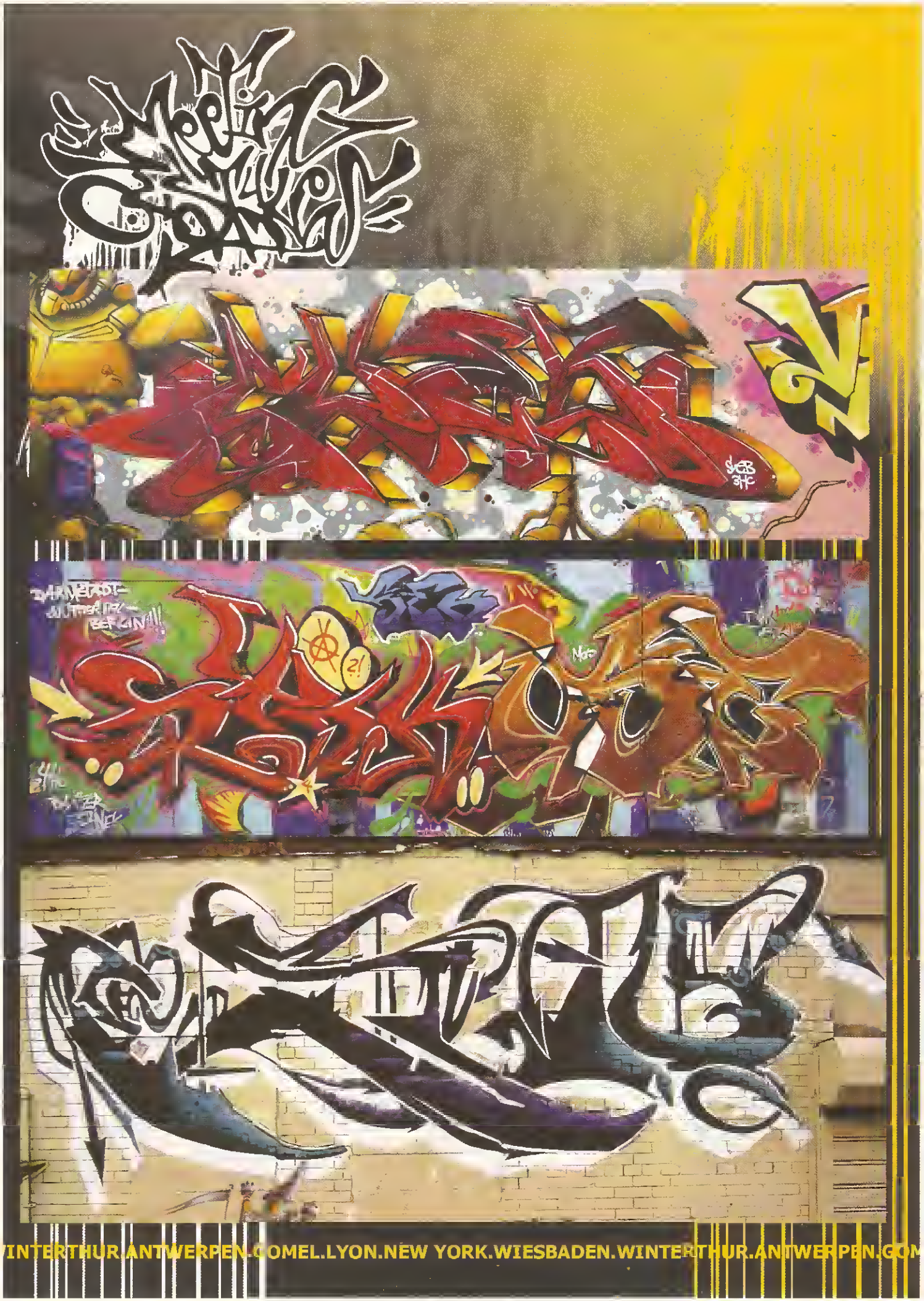
WINTERTHUR.ANTWERPEN.COMEL.LYON.NEW YORK.WIESBADEN.WINTERTHUR.ANTWERPEN.COM

C175
GDANSK ul.wajdeloty10 ul.rajska12
GDYNIA ul.swietojanska112
ELBLAG ul. Hetmanska 11/14
WARSZAWA metro ratusz box4 i box12
rondo jazdy polskiej box19
KATOWICE ul.stawowa3 i 7 KRAKOWul.slawkowska20
CHRZANOW ul.29 listopada 8
sprzedaz hurtowa 032 111 66 73
C175
CHROM SPORT
www.chrom.com.pl

breakdance
ibe 2004

International Break Dance Event to, moim zdaniem, jedno z największych wydarzeń promujących b-boying w Europie. Naprawdę trudno uwierzyć, że tak na dobrą sprawę organizacją tej imprezy, co roku zajmują się tylko trzy osoby, wspomagane przez zaprzyjaźnione grono współpracowników

tekst Bartazz

Bez żadnej dyskusji trzeba przyznać, że osobom odpowiedzialnym za sprawny przebieg International Break Dance Event należy się duże uznanie. Impreza ta odbywala się w specjalnie przystosowanym na tę okoliczność budynku, gdzie na trzech salach, prawie bez przerwy, działo się coś interesującego. W NightTown, bo tak nazywa się miejsce, w którym, jak co roku, rozegrało się IBE, przez dwa dni trwania imprezy panowała rewelacyjna atmosfera i wszędzie można było wyczuć całą masę pozytywnej energii. Ciężko opisać, co dzialo się w tym miejscu 20 i 21 listopada, a dzialo się naprawdę dużo. Każdy, kto tam był, chyba się ze mną zgodzi: na brak wrażeń nie można było narzekać.

Główna atrakcja to oczywiście All Battle All, czyli pojedynki składów z USA, Francji i Niemiec. Tancerze do udziału w tej „konkurencji" są na ogół typowani przez organizatorów i zapraszani przez nich na International Break Dance Event. Walki te są pojedynkami typowo pokazowymi, nikt oficjalnie ich nie ocenia i nie ma też żadnego limitu czasowego. To b-boying w najczystszej postaci. Naprawdę warto było jechać specjalnie aż do Holandii, żeby zobaczyć tę masakrę na żywo. Na pewno materiał filmowy z tej imprezy nie będzie w stanie oddać w stu procentach klimatu tych bitew. W tym roku w All Battle All Stany Zjednoczone reprezentowali: Omar (Jive Turkeys), Crisis (Masters of Mayhem), Machine (Flexible Flave), Evol (Brickheadz), Waka (Brickheadz), Shorty (Brickheadz), Chino (Breaks Kru), Naytron (Head Hunters) i Adam Bomb (United B-Boys). Z kolei w skład reprezentacji Francji wchodzili: Lamine, Nono, Mattias (Fantastik Armada), Lil Worm (Fantastik Armada), Lilou (Pokemon), Rudolph (Pokemon), Brahim (Pokemon), Flamby (Legitime Obstruxion), Lil Kev (Phaze T) i Junior (Wanted). Skład Niemców przedstawiał się następująco: Lil Amok (Battle Bunch), Toni (Battle Bunch), Raul (Battle Bunch), Kemp (Battle Bunch), Salajin (Terrorrythm), Twik (Terrorrythm), Blanca (Natural Effect) i Sonic (Natural Effect). Jak widać, w ekipach tych nie brakowało znanych postaci. Amerykanie po raz kolejny udowodnili, że cały czas pozostawiają w tyle konkurencję i jest to chyba nie tylko moje prywatne odczucie.

Największym rzeźnikiem, który najbardziej wyróżniał się we wszystkich bitwach i nie tylko, bo było go wszędzie pełno, również poza All Battle All, był bez wątpienia Machine. Najwięcej się udzielał ze wszystkich reprezentantów USA i robił to w niepowtarzalny i bardzo „skuteczny" sposób. Pseudonim tego zawodnika w pełni oddaje jego predyspozycje. Kolejnym, zasługującym na uznanie zawodnikiem był Waka, który, oprócz ciekawych numerów, charakteryzował się paraliżującym spojrzeniem psychopaty, kierowanym ciągle w stronę przeciwników, niezły świr. Omar i Shorty też wypadli w tych pojedynkach elegancko. Naprawdę konkretnym zawodnikiem jest też Crisis, który ma w swoim repertuarze sporo bardzo dobrych trików. Z francuskiego składu najbardziej wyróżniał się Brahim, no i oczywiście Junior, który pojawiał się na parkiecie zawsze wtedy, kiedy Francuzi byli w tarapatach i w ten sposób ratował sytuację. W niemieckiej reprezentacji najlepiej, moim zdaniem, radzili sobie, żeby było śmiesznie, tancerze z Danii, czyli Sonic i Blanka z Natural Effect, no i małolat Lil Amok. Pozostali Niemcy też pokazali kilka dobrych pojedynczych numerów. Podsumowując tegoroczne All Batlle All, była to konkretna rzeźnia i mówię to z całym przekonaniem.

Kolejną atrakcją na International Break Dance Event była konkurencja Seven2Smoke. Polega ona na tym, że są to bitwy jeden na jeden. Każdy z przeciwników robi po jednym secie i sędziowie decydują, kto wygrał. Zwycięzca pozostaje na parkiecie i musi walczyć z następnym zawodnikiem w kolejce, dopóki sam nie zostanie wyeliminowany. Za każdy wygrany pojedynek dostaje się punkt. Kto pierwszy zbierze tych punktów sie-

dem, zostaje zwycięzcą. W tej konkurencji też biorą udział zaproszeni przez organizatorów tancerze. O miano najlepszego do rywalizacji stanęli: Check-it (Chicago Tribe, USA), Mouse (Children of the Monkey Basket, Wielka Brytania), Karimbo (Legitime Obstruxion, Belgia), Tommy (Come Correct, Holandia), Lilou (Pokemon, Francja), Loic (Akluel Force, Francja) i Yamson (Wanted, Francja). Tej konkurencji też towarzyszyło sporo emocji. W końcu Seven2Smoke wygrał Loic z Francji.

Oprócz tego, co już wyżej opisałem, odbyły się jeszcze konkurencje: jeden na jeden, niestety ten konkurs nie został zakończony z powodu braku czasu i dużej ilości uczestników. Następnie Footwork battle, które wygrał Junior Rock z USA. Cet z Azizi był w tej konkurencji w pierwszej szóstce finalistów, Stand up Dance battle, słyszałem, że w tym konkursie wzięło udział wielu bardzo dobrych tancerzy, niestety nie widziałem ich w akcji, było jeszcze B-girl battle, w którym wzięły udział: Daria i Kasia z Nontoperów, Veńka oraz Gosia z ekipy Enklawa Rytmu. Była też konkurencja Open Crew battle, czyli bitwy bez sędziów, pomiędzy losowo wybranymi ekipami. Nontoperzy pojedynkowali się tutaj z Hiszpanami ze Special-K, a Azizi, z którymi miałem okazję załańczyć, walczyli z ekipą z Anglii, której nazwy niestety nie zapamiętałem. Były to bitwy na niezłym ciśnieniu i myślę, że obydwie ekipy z Polski wypadły w nich dobrze.

Dobra organizacja, bardzo wysoki poziom i niepowtarzalna atmosfera to podstawowe cechy International Break Dance Event. Do tego cała masa konkurencji, w których można wziąć udział, to wszystko mówi samo za siebie i dodatkowy komentarz nie jest potrzebny. Na tak dobrej imprezie jeszcze nigdy wcześniej naprawdę nie byłem. I na pewno tam będę w przyszłym roku i wy też postarajcie się tam być, bo naprawdę warto. Pozdrawiam.

bartaz

W listopadowym numerze Ślizgu ukazał się duży artykuł Bartazza. Niestety z przyczyn technicznych wydrukowaliśmy go przed autoryzacją. Teraz możecie przeczytać pełną, poprawioną wersję tekstu na naszej stronie internetowej. Zapraszamy więc na www.slizg.com.pl, do działu Breakdance. Miłej lektury!

trick miesiąca

Staszek Karpiel / rodeo 720
foto Yarrek.com

total chaos

toy story
czyli o świętach słów kilka...

total chaos

Jako że zbliża się długo oczekiwany przez wszystkich „przeddzień" urodzin pewnego znanego człowieka, czyli popularna Wigilia, pragnąłbym poniższy tekst poświęcić temu właśnie wydarzeniu. Jest to dzień, na który każdy ziomek czeka z utęsknieniem, jak wiadomo wtedy dostaje się wymarzone prezenciki, a psy (hwdp tor life!!!) mówią ludzkim głosem. Jednak, kiedy te upragnione dni nadchodzą, okazuje się, że wszystkie prezenty nie są warte tego, co dzieje się w czasie Świąt i każdy oddałby to, co dostał z nawiązką, byleby Wigilii i tej całej reszty wcale nie było.

Święta Bożego Narodzenia to bardzo dziwna instytucja, wtedy to, oprócz wcześniej wspomnianych podarków, nagle okazuje się, że wszyscy w rodzinie nawzajem wlażą sobie w dupsko i udają, że bardzo się lubią. Z rodziną, jak wiadomo, najlepiej wychodzi się na zdjęciu, dlatego proponuję, abyście dzień ten spędzili z dala od tego typu imprez.

Właśnie, myśląc o Wigilii, zaślepieni widmem super prezentów, często zapominamy o drugiej stronie medalu, czyli różnego rodzaju przyjęciach świątecznych. Jak wiadomo, jest to zmora jakich mało, wszystko, co jest z tym związane, jest z gruntu przesrane. Najpierw trzeba się ze wszystkimi przywitać (i co gorsza ucałować każdego członka rodziny, włącznie z ciotkami, którym najczęściej wali z buzi padliną), później trzeba odbyć długie (o wiele za długie) posiedzenie przy stole, w trakcie którego trzeba grzecznie odpowiadać wyżej wspomnianym ciotkom na przygłupie pytania w stylu „Co tam słychać", albo „Czy masz dziewczynę". Wszystko to jest małym pikusiem, najgorsze jest łamanie się opłatkiem. Sam w sobie ten placek nie jest może najgorszy - smakuje nijak, gorzej tylko z tym, że oprócz jego palaszowania trzeba się nim wymieniać z całą rodziną. Czynności tej zazwyczaj towarzyszą składanie życzeń i rozdawanie pocałunków całej rodzinie. Najgorsze jest to, że pamiętamy dokładnie jak śmierdzi z japy członkom familii (bo czuliśmy to przy powitaniu), ale obowiązek jest obowiązkiem i niestety na nic się zdadzą tłumaczenia – trzeba to wykonać, mimo że wszystko, co wcześniej się zjadło podchodzi do gardła. Można się wtedy wyrzygać, unikniemy wtedy już na zawsze tego przykrego obowiązku, jednak nie polecam tej metody.

Święta deskorolkowca do niedawna tak właśnie wyglądały, były smutne, bezbarwne i chciało się po prostu wymiotować. W te dni nie ma co robić, ziomusie są w podobnej sytuacji, za oknem śnieg, pozostaje tylko nudne przyjęcie. Po Wigilii okazuje się zwykle, że prezenty nie są takie, jak by się chciało, bo zamiast nowiutkiej deseczki dostało się za małe skarpetki albo dziesiąty już z kolei zestaw kosmetyków Old Spice. Po przyjęciu wigilijnym też pozostaje tylko albo straszne rozwolnienie, albo ból brzucha (bo je się wtedy na potęgę, żeby mieć wytłumaczenie, by nie gadać z rodziną). Przypomnijcie sobie, drodzy czytelnicy, wasze Święta też na pewno tak wyglądały, nie dajcie się zwieść obietnicą prezentów – dostaniecie rękawiczki bądź dziurawe skarpetki.

Jednak jest metoda, żeby temu zaradzić, nie musicie być torturowani na rodzinnych przyjęciach, jesteście panami własnego losu, to nic, że macie po dwanaście bądź dwanaście i pół roku. Poniżej znajdziecie kilka dobrych rad, jak uniknąć przeznaczenia.

Po pierwsze, proponuję wyjazd w góry na snowboard. Zima jest tylko jedna i następna będzie za rok, więc możecie z czystym sumieniem udać się na gigant w tamte rejony. Weźcie tobołek z najpotrzebniejszymi rzeczami i oczywiście na gapę jedźcie pociągiem w góry. Tam rodzina was nie znajdzie, za bardzo będzie pochłonięta łamaniem się opłatkiem.

Drugi sposób to choroba. Proponuję stać kilka godzin przy otwartym oknie w nocy, na pewno wtedy złapiecie jakieś delikatne zapalenie płuc lub inny drobny wirusik, wtedy macie usprawiedliwienie na legalu z podpisem mamy. Jak dobrze pójdzie, to nawet może dostaniecie jeszcze prezenty od całej rodziny, które wam przywiozą rodzice z wigilijnej imprezy.

Gorzej, jeśli kolacja urządzana jest u was w domu, wtedy tylko coś naprawdę zakaźnego uchroni was od łamania się opłatkiem. Pamiętajcie, że najgorsza choroba jest lepsza od całowania się z podstarzałą ciotką.

Trzeci i najbardziej polecany sposób to deskorolka. Ucieknijcie z deską pod pachą. Pogoda podobno w tym roku ma wyjść naprzeciw naszym oczekiwaniom i ma być wyjątkowo ciepło, więc żaden śnieg wam w jeździe nie przeszkodzi. Jeżeli jednak będzie padało, to proponuję przyjechać do Warszawy, gdzie znajduje się kryty skatepark i tam po daniu w łapę ochroniarzowi spokojnie sobie poskejtujecie. Święta Bożego Narodzenia to okres wybaczania, więc na pewno wam ten wybryk ujdzie płazem, bo przecież rodzice nie będą się pastwić nad swoją pociechą, że ta ma swoje zainteresowania. Jakby jednak coś takiego próbowali robić, miejcie od razu przygotowaną formułkę – „Cieszcie się, że jestem deskorolkowcem a nie złodziejem", to zawsze działa.

Życzę wam więc wreszcie udanych Świąt, mam nadzieję, że zastosujecie się do moich cennych rad, bo tylko one zapewnią wam szczęście w tak kiepskim okresie, jakim niewątpliwie jest koniec grudnia.

Bad Santa

Garaż 2

Całkiem niedawno pojawił się nowiusieńki film deskorolkowy rodzimej produkcji pt. GARAŻ 2. Czekałem na tę pozycję dość długo, więc nie marnując czasu dorwałem najbliżej stojący magnetowid usiadłem wygodnie w fotelu i zacząłem projekcję. Film utrzymany jest w klimacie wielkomiejskiego chaosu, co powoduje, że każdy zainteresowany szybciutko zidentyfikuje się z tematyką w nim zawartą.

Przedstawione postacie to czołówka polskiej deskorolki, więc nie muszę jej wymieniać. Poza nimi swoje triki prezentują mniej znani szerszej publiczności skejterzy. Film zawiera materiał z wyprawy do Mekki europejskiej deskorolki, czyli Barcelony. Oj, dzieje się, dzieje w tej Barcelonie. Przykładem niech będzie f/s kick Tomiego z wybitki przez wolno stojący płot. Pojedyncze przejazdy to majsterszlyk sam w sobie. Krzysio Poskrobko niszczy 7 schodów pod Witosem, ale jak je niszczy nie zdradzę, to trzeba obejrzeć. Eryk Gaj jak zwykle wykonuje swoje triczki na mega prędkości, popierając je kozackim stylem. Zobaczycie oczywiście masakratorów poręczy Jawora i Błażeja, a na sam koniec Mega rappa stajla Gunis i Benek. To nie wszystko, co zawiera ta produkcja. Znajdziecie też dwa chaosy, gdzie poza pojedynczymi trikami i krótkimi sekwencjami mają miejsce śmieszne sytuacje. Film zawiera też materiały z touru do Kijowa, Berlina i Bazylei. Co do muzyki, każdy znajdzie coś dla siebie, od melodyjnych rockowych riffów do hardcore'owego rapu.

Film jest zajebiście złożony, co cieszy oko, więc nie czekaj na gwiazdkę z nieba, tylko rozwalaj swoją skarbonkę i pędź do najbliższego skate shopu po tę kasetkę. Pamiętajcie SKATEBOARDING IS NOT A CREMÓWKA!!!!! ŁAZ

Cliche „Freedom fries”

dystrybucja: Monument

Nie minęło dużo czasu od ukazania się „Bon apetit”, a tu Cliche uderza z całkiem nowym, pełnowymiarowym materiałem. Jest to w stu procentach streetowa produkcja z europejską zajawką. Mamy tu wszystko, co tygrysy ze Starego Kontynentu lubią najbardziej, czyli technikę na tzw. „weird spots” (czyli po naszemu dziwnych miejscówkach). Team Cliche w stosunku do tego z „Bon apetit” powiększył się, co w dużej mierze uatrakcyjniło widowisko. Piszę „w dużej mierze”, gdyż jeden z nabytków, Franklin Stephens, nie pasuje mi wcale do wizerunku firmy, za to J. B. Gilette i ekipa amatorów świetnie się odnalazła w ekipie francuskiej firmy. Warto by coś napisać o trikach, jak mówiłem, dominują kombinowane triki na niespotykanych spotach, mistrzem nad mistrzami w tym jest Vincent Bressol mieszkający w Barcelonie, w której aż roi się od tego typu rzeczy. Vincent swoimi manualami i grindami rozpierdala – np. varial nose grind pod górę i revert przed końcem murka. J.B. również jest jak zwykle niezły, choć w tym filmie pokazuje się nieco z innej strony niż zwykle, o co chodzi – sprawdźcie sami. Fonseca, mój osobisty taworyt w ekipie, jak zwykle bije rekordy prędkości i pokonuje kozackie gapy, szczególnie ostatni trik jest szokiem – nollie flip przez naprawdę dużą dziurę... Właściwie wszystkie przejazdy są extra, podobnie sekcja amatorska i amigos, w której jeżdżą m.in. Ali Boulala, Lani Laitiala i Apleyard. tOi Oi

Info 11

Wreszcie doczekaliśmy się kolejnego numeru długo oczekiwanego magazynu video. Trochę się przez ten czas w polskiej deskorolce wydarzyło, więc wydanie to ma dużo różnych niespodzianek dla wiernych widzów. Mamy oczywiście na początek „ping pong”, w którym aż roi się od ciekawych trików. Dla lubiących relacje z podróży są jak zwykle reportaże z ciekawych tourów – tym razem są to objazdy Kamuflage po Polsce i Czechach, Fenix na Ukrainie i Adio w Barcelonie. Dla tych, którzy zakupili wersję dvd, mamy ponadto najbardziej się wyróżniający z całego filmu Bomba tour, który, moim skromnym zdaniem, jest najfajniejszą pozycją na Info.

Pamiętacie jeszcze zawody Mentora dwójeczkę? Jeśli nie, Info wam to z przyjemnością przypomni, popatrzcie jeszcze raz jak latał Lee Blackwell i ślizgał się Tomas Vintl. Nie wszyscy wiedzą kim był Wincenty Witos, ale na pewno każdy wie, gdzie stoi jego pomnik. Dlatego nie mogło w tym numerze zabraknąć obszernego materiału o tej miejscówce, jest to popis warszawskiej szkoły jazdy, choć nie tylko. Oprócz lokali występują goście z Polski i spoza jej granic. W dodatkach oprócz Bomba touru znajduje się dodatkowy „ping pong” z prawdziwymi amerykańskimi prosami! Filmik jest, jak to ziomale mówią, „wporzo”, jedyną rzeczą, do której chciałbym się przyczepić jest zbyt częste jak na ogólnopolski magazyn pojawianie się nazwisk Szymański, Kotrych (choć, jak wiadomo, prezentują oni kozackie triki). tOi Oi

Insanity „The end”

Bardzo fajną rzeczą jest to, że w Polsce powstaje coraz więcej filmów skateboardowych, jeszcze bardziej cieszy fen fakt, gdy widać, że produkcje te nie są robione na „odpierdol się”, ale bardzo porządnie. O filmie Insanity nie można jednak napisać, że jest zrobiony porządnie, bo to prawdziwy ewenement na polską skalę. Najpierw napiszę o montażu. Stoi na bardzo wysokim poziomie, fajne jest intro, które wprowadza nas w atmosferę filmu, podobnie przejazdy i przerywniki pełne są różnych efektów, które, choć czasem jest ich zbyt dużo, dodają atrakcyjności filmowi. Widać, że przy montażu ktoś porządnie się napracował i szacunek za to dla niego.

Teraz parę słów o jeździe... Szczerze mówiąc, pod tym względem film nie wyróżnia się niczym szczególnym, powiedziałbym, że stoi na bardzo średnim poziomie. Wyjątkiem jest Tomek Rokicki, którego przejazd oglądałem z dużym zainteresowaniem. Koleś naprawdę umie jeździć, widać to już po pierwszej sekwencji nagranej na praskim Stalinie, dalej jest jeszcze lepiej. Jako jedyny jeździ po różnych miejscówkach i nawet złamana ręka nie jest w stanie odstraszyć go od robienia trudnych numerów. Jego ostatnie sztuczki przez gap to już wypas, sami zobaczcie. Film jest na pewno wart obejrzenia. Na koniec jedna tylko dygresja – nie jest to recenzja filmu Birdhouse pt. „The end”, który ukazał się kilka lat temu... tOi Oi

Nike skateboards „On tap”

Choćbym chciał (a przyznaję, że miałem na to ochotę), ciężko jest napisać coś złego na temat tego filmu. Nike wynajęło sobie takich ludzi, którzy zrobili im bardzo klimatyczne video. Firma ta wyrabia sobie w skateboardingu zupełnie inny wizerunek, niż w innych sportach. Do swojego teamu nie zaprosili najbardziej znanych wymiataczy (może za wyjątkiem Paula Rodrigueza), tylko wyróżniających się stylem jazdy indywidualistów. Każdy z nich ma w sobie coś niepowtarzalnego, nie jest to dream team, tylko „grupa artystów” skateboardingu. Film też nie jest robiony na „najlepszy film w historii”, video to jest przede wszystkim klimatyczne. Zajebisty jest motyw przewodni, gdzie Rodriguez wybiera różne analogi w sklepie z płytami i każdy wybrany przez niego czarny krążek zamienia się w kolejny przejazd filmu. Video podzielone jest na kilka części – skateparki, „artystyczne akcje skateboardowe” z reklam prasowych, Barcelonę oraz mini przejazdy prosów i amatorów.

Wiem, że ten „underground” Nike jest pozorowany i jest to nic innego jak świadomy marketing. Pomimo tego (a raczej dzięki temu) świetnie się to video ogląda. Polecam. tOi Oi

Stereo „Way out east”

Stereo powróciło z całkowicie nowym teamem, ale za to z tym samym tlow co kiedyś. Ze starej ekipy pozostali jedynie Jason Lee i Chris Pastras, którzy jednak niestety asystują tylko młodym zbikom (Benny Fairfax, Keegan Sauder i Clint Peterson). Film, który właśnie się ukazał, jest kontynuacją unikalnej jazdy chłopaków ze Stereo z połowy lat dziewięćdziesiątych. Znaczy to mniej więcej tyle, że na pierwszym miejscu nie stoją triki, tylko artystyczna atmosfera produkcji. Próżno tu szukać zwolnionych „szoków” na kilkunastoschodowych railach, choć nie znaczy to wcale, że triki są słabe, co to, to nie. Chłopaki mają po prostu swoją prywatną jazdę i do trików wybierają dziwne miejscówki. Mamy tu więc do czynienia głównie z ewolucjami na copingach streetowych banków, ulicznych quaterpipe'ach i innych dziwnych architektonicznych wygrzewkach. Film podzielony jest na cztery części: Londyn, Nowy Jork, West Coast i Paryż, gdyż był on nagrany w czasie touru po tych miastach.

Jak wspomniałem wcześniej, w filmie rządzą nowe nabytki firmy. Benny Fairfax jest najbardziej wszechstronnym niszczycielem, Keegan jest prawdziwym rzeźnikiem, a Clint to super stylowiec z bardzo elegancką jazdą. Ci, którzy oczekiwali nowych rzeczy ze strony Jasona Lee, mogą się zawieść. Co prawda pojawia się on, ale nie jest to ten sam pro co przed laty, choć styl pozostał mu ten sam i jego ostatni 360 flip na banku jest kwintesencją tego, co ładne w skateboardingu. Drugi z prosów, Chris Pastras, nie oszczędza się ani trochę, mimo upływu lat nadal się rozwija, co widać na tym filmie. Według mnie film ten jest jednym z lepszych, jakie widziałem, choć mojej opinii na pewno nie podzielą wielbiciele „ścigania się w trikach na znanych spotach”. tOi Oi

Toy Machine „Good and evil”

Długo trzeba było czekać na film T. M. Po absolutnie mistrzowskich ostatnich dwóch pełnowymiarowych produkcjach (z których ostatni ukazał się w 1997 r.) i kilku kiepskich, na szybko montowanych dziełkach z tras, wreszcie nastał czas na coś będącego kontynuacją „Welcome to hell”. Team tej firmy zmienił się przez lata, były złe i dobre jego okresy (dokładnie jak w tytule video) i rezultatem tego

total chaos

jest właśnie recenzowana przeze mnie pozycja. Na pierwszy ogień, jeszcze przed czołówką, idzie weteran Ed Templeton, stary koleś z całkiem nowym materiałem. Edek nie opierdala się ani trochę i pokazuje, że nadal jest bardzo progresywnym skaterem. Zaskakuje trikami, mało jest tam raili, dominuje technika. Johnny Layton, Mike Bennel, Josh Harmony i Austin Stephens to typowi przedstawiciele nowej fali skateboardingu, jeżdżą po wszystkim zajebiście. Ich przejazdy aż roją się od kozackich numerów. Argentyński rzeźnik, czyli Diego Butchierri, skacze z najwyższych schodów, robi największe poręcze i zalicza straszne upadki. Szczerze mówiąc, nie wiem czemu to właśnie on ma ostatnią część w filmie (choć jego przejazd jest bardzo dobry), według mnie zaszczyt ten powinien spotkać Billy Marksa. Chłopaczyna ten ma bezapelacyjnie najlepszy part w tym video, wpierdala się flipem na każdy możliwy trik na poręczy, jeżeli dodamy do tego bardzo czysty styl i super numery ze schodów, będziemy mieli pełen obraz jazdy Billy'ego. Kick flip ls. feeble, kick flip smith, sw. big spin heel board slide to tylko próbka jego możliwości. Pozycja obowiązkowa dla każdego. tOi Oi

World Industries

Dawno temu World Industries było jedną z ważniejszych i z bardziej szanowanych firm w skate biznesie. Po sprzedaniu jej marki zwykłym krawaciarzom cała atmosfera wokół niej zmieniła się diametralnie. Wymieniono team, który teraz jest, delikatnie mówiąc, bardzo przypadkowy. Taki sam jest ten film, nie ma w nim szczególnego, jest totalnie bez klimatu. Nie ratują go nawet triki bardzo dobrych przecież riderów teamu tej firmy (m.in. Chad Bartie, Carlos de Andrade, Enrique Lorenzo, Mike Crum), których nawet się nie dostrzega w tej pozbawionej wyrazu produkcji. Na szczęście męka nie trwa długo, bo video jest krótkie. Tylko dla zajadłych wielbicieli Flame Boya, Wet Willy'ego i im podobnych stworów. lOi Oi

Element TWIGS „Tricks"

Jeżeli chcecie znienawidzieć dzieciaki, albo zdołować się i popełnić samobójstwo, to ten film jest właśnie dla was. Tak moi drodzy, nie ma przecież nic bardziej antymotywującego, niż widok trzykrotnie młodszego kolesia, który jeździ dziesięć razy lepiej od nas samych. A tak właśnie jest na tym video. Najstarszy z tych ziomusiów ma kilkanaście lat, a najmłodszy... lepiej nie mówić. Uwierzcie mi ludzie, że te zmutowane karakany jeżdżą tak, jakby urodziły się z deskorolką pod pachą. Film adresowany jest oczywiście do ich rówieśników, dlatego montaż i grafika wyglądają jak prosto z game boya wyjęte. Najlepszy jest małolat z dreadami, którego stary posiada własny skatepark (byłby to zdecydowanie najlepszy obiekt tego typu w Polsce) i tam z całą rodziną wspólnie jeżdżą na deskorolce. Zakrawa mi to trochę na akcję typu siostry Williams, ale tylko na pierwszy rzut oka, przecież skateboarding to nie zawodowy tenis...

Przed przejazdem każdego małolata wypowiadają się o nim dorośli prosi, tacy jak np. Karl Watson i Jayme Fortune czy Bucky Lasek, którzy nie mają słów, by opisać umiejętności swoich wychowanków. Film tylko dla osób o mocnych nerwach... pc skate

Natural Koncept „Illegitimate Bastard Child"

Natural Koncept jest mało znaną firmą z dość długim dorobkiem. Szczerze mówiąc, dziwię się, że przez tyle lat utrzymała się ona na rynku, który, co tu dużo mówić, jest okrutny dla brandów, które nie mają topowych skaterów w teamie. Taka sytuacja jest właśnie z Natural Koncept, w ich szeregach nikogo takiego nie uświadczysz. Jednak na przekór temu firma istnieje i nawet ostatnio wydała swoje video. Cóż można o nim powiedzieć, chyba tylko tyle, że przypomina ono kaskaderskie popisy. Chłopaki nie mają dla swojego ciała żadnej litości – do or die. Rzucają się na rzeczy olbrzymie i, o dziwo, z większości z nich wychodzą zwycięsko. Naprawdę, nie znają oni strachu. Oprócz tego ciężko powiedzieć coś więcej, bo film jest po prostu nijaki i ogląda się go bardzo ciężko. Wygląda to jak typowa osiedlowa produkcja. Jednak nie można powiedzieć, że chłopakom brakuje umiejętności, co to, to nie. Kiepski jest tylko sposób, w jaki triki te są przedstawione, czyli szwankuje montaż i nagrywki. tOi Oi

SPROSTOWANIE

W poprzednim numerze Ślizgu zamieściliśmy krótką relację z imprezy o nazwie „Hip-hop Basket". Niestety umknęło nam nazwisko autora tekstu. Był nim **Jacek Tołkanowicz**, którego przepraszamy za to niedopatrzenie i pozdrawiamy. Redakcja.

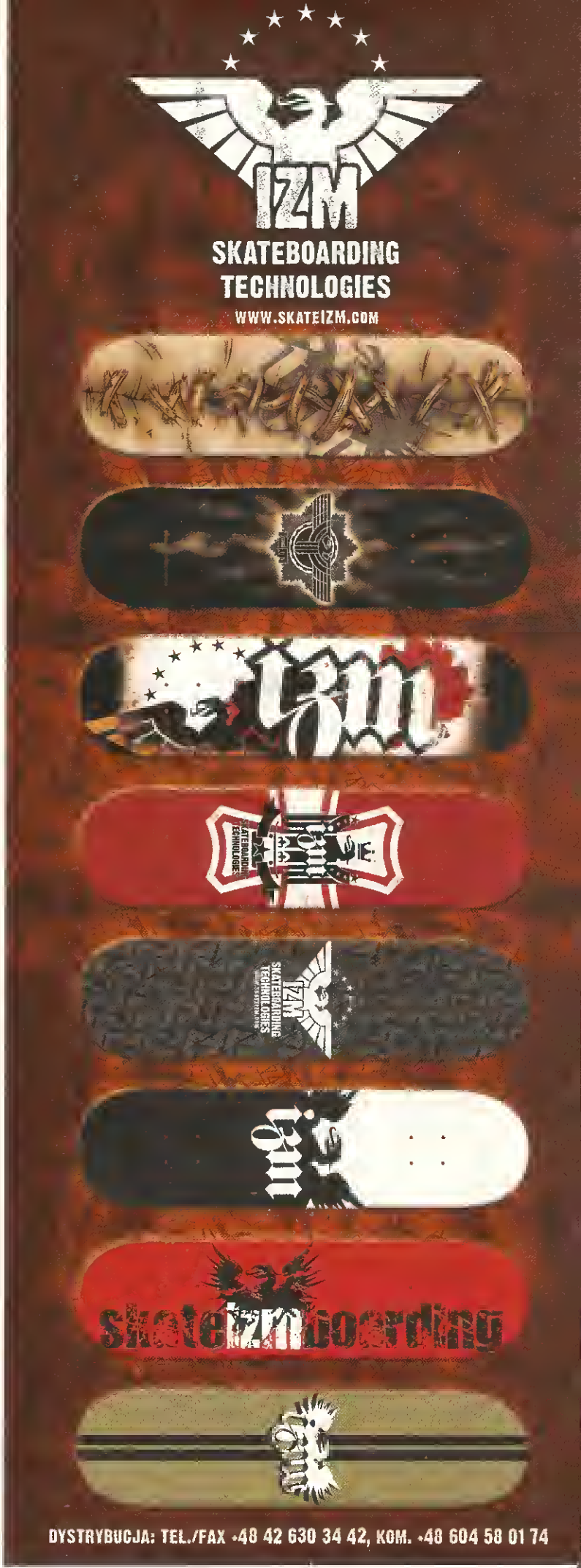

kontuzja
marcin majewski

Wiadomo, że uprawiając sporty typu skateboarding czy snowboarding, często przydarzają się jakieś kontuzje i z takich rzeczy, jak skręcona noga, nie ma co robić afery. Prawdziwa kontuzja, jaka mi się przydarzyła, to ostatnia historia z kręgosłupem. Od dawna czułem, że jest z nim coś nie tak. Uprawiam wiele sportów, oprócz deskorolki i snowboardu często gram w kosza i czasem jeżdżę na crossie, mój kręgosłup cały czas był skutecznie niszczony przez te rzeczy. Wszystko to miało swój finał na zawodach Red Bull Rails w zeszłym roku. Dzień przed imprezą podczas treningów wywaliłem się dosyć mocno. Ale wiadomo, jak to jest, zajawa była straszna i następnego dnia, mimo bólu, jeździłem na maksa. Przy każdym zejściu z poręczy na ziemię coś mnie bolało. Kiedy w pewnym momencie wywaliłem się na poręczy i zawisłem na niej, stało się coś naprawdę niedobrego. Po tym slamie podniosłem się, wszedłem na górę, zjechałem jeszcze raz, zrobiłem trik i nagle okazało się, że coś mnie na maksa boli.

Bolało mnie w okolicach kręgosłupa, więc pojechałem ze znajomym do masażysty, lypa, który specjalizował się w nastawianiu kręgów. Kręgarz nastawił mi wszystko i z gabinetu wyszedłem jak nowo narodzony. Jak tylko dojechałem do domu, cały ból powrócił. Męczyłem się tak z tym jakiś miesiąc, bo chodziłem do różnych lekarzy i każdy z nich miał swoją teorię na ten temat. Nie muszę chyba mówić, że sytuacja ta doprowadzała mnie do wściekłości, bo nie wiedziałem, co mi dolega, a bolało mnie to strasznie. Dlatego chciałbym powiedzieć całej polskiej służbie zdrowia i wszystkim prywatnym naciągaczom, żeby się pierdolili.

Pewnego dnia na maksa już zrezygnowany czekałem na kolejnego lekarza, który spóźniał się jak zły. Przypadek sprawił, że przechodził tamtędy jakiś doktor i zapytał mnie, co mi dolega i dlaczego wyję z bólu. Kiedy mu powiedziałem, o co chodzi, od razu chwycił za telefon i załatwił mi wizytę u prof. Podgórskiego w szpitalu na ul. Szaserów. Profesor Podgórski okazał się wybitnym specjalistą w tej dziedzinie i z miejsca wiedział, o co kaman. Okazało się, że dysk uległ rozerwaniu i zaczął uwierać układ nerwowy znajdujący się przy kręgosłupie. Po kilku dniach miałem operację i dwa dni po niej stanąłem na nogi. Teraz mam zamiar dalej jeździć, a to wszystko dzięki panu Podgórskiemu, któremu bardzo dziękuję i pozdrawiam.

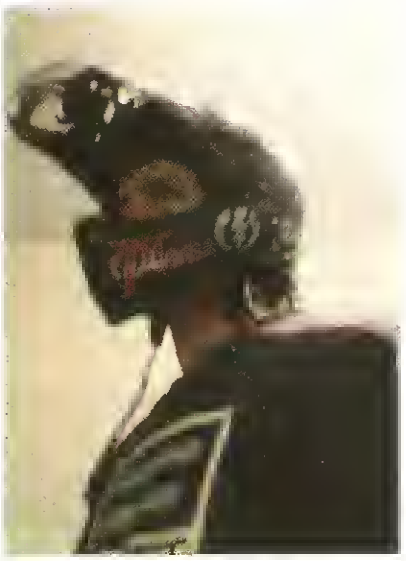

skatepark
ranking

Skatepark: Nowiny
miejsce: Nowiny koło Kielc (teren pływalni Perła)
przeznaczenie: deskorolka, rolki
street course: quater, bank, piramida z murkiem i rurką, spine
zadaszenie: brak
materiał: konstrukcja stalowa obłożona sklejką
łączna ocena: 4

total chaos

newsy

Nowa twarz pojawiła się w szeregach teamu **Syndrom**. Tym szczęśliwcem jest czternastoletni Dominik Jaskółka ze Sławy, który był objawieniem ostatnich zawodów Mentora w Toruniu.

Jacek Pawlowski, po tym jak Dominik Włodarkiewicz zamienił pracę u Majera na Altex (dystrybutora m.in. Osiris, 88, Baker, Birdhouse), sam się skreślił z listy sponsorowanych przez ten sklep i dostał świeżutkie wsparcie od 88. Gratulacje, Jacku.

Gratulacje na pewno należą się również legendzie warszawskiej deskorolki, **Sławkowi Glińskiemu**, który zmienił stan kawalerski na niekawalerski. Sto lat Stevie!!

Z racji na to, że idzie zima, **snowparki** powstają jak grzyby po deszczu. Nowe miejsca będą w Wiśle, Korbielowie, a także poprawiony zostanie obiekt w Białce.

Znacie na pewno team **Los Puperos**. Proste, że tak, przecież w jego skład wchodzą najbardziej szalone snowboardowe małolaty – Pawian, Kordian, Plaster i Brelok. Z jednym z nich jest nawet rubryka „Kto?" w tym numerze. Jeżeli interesuje was cała czwórka, koniecznie zajrzyjcie na nową stronę tej formacji – www.lospuperos.tk

W dniach 9-11 grudnia odbywały się zawody **Air and style**. Oto wyniki, zwróćcie uwagę na nazwisko Frederika Austbo, który z powodzeniem startuje też w contestach skateboardowych (dodajmy, że często zdarza mu się je wygrywać!!!).

Oto wyniki:
1. Shaun White (USA)
2. Nicolas Muller (Szwajcaria)
3. Jussi Oksanen (Finlandia)
4. Mathieu Crepel (Francja)
5. Chris Krotl (Austria)
6. Sani Alibabic (Austria)
7. Hempus Mosesson (Szwajcaria)
8. Stefan Gimpl (Austria)
9. Marko Grilc (Słowenia)
10. Frederik Austbo (Norwegia)
11. Nate Sheehan (USA)
12. Eero Niemela (Finlandia)
13. Joni Malmi (Finlandia)
14. Dimitir Fesenko (Rosja)
15. Friedl Kolar (Austria)

Więcej newsów nie pamiętam, za wszystkie szczerze żałuję i postanawiam poprawę, eloraz!

hi-tech

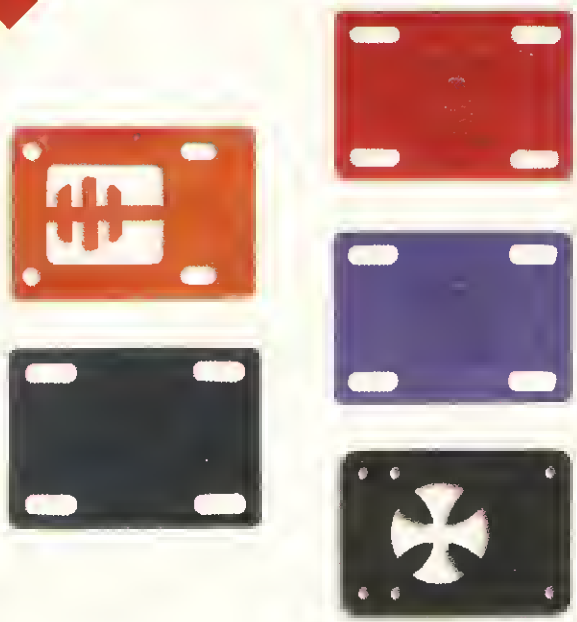

Prezentujemy wam jak zwykle nowinki techniczne ze świata deskorolki. Tym razem są to różne rodzaje podkładek pod trucki, czyli tak zwanej angielska risery. Przydają się one, jeśli chcemy, aby deska wchłaniała nieco wstrząsy przy upadku z większej wysokości, podkładka amortyzuje troszeczkę i nie bolą tak stopy. Poza tym te, które pokazujemy bardzo fajnie wyglądają i są niezłymi gadżetami.

Old school jest w modzie! Idąc naprzeciw oczekiwaniom klienteli, firmy Santa Cruz i Black Label wypuściły reedycję starych desek i kółek. Aż się łza w oku kręci, gdy widzi się te kształty. Młodsze osoby na pewno dziwią się, jak kiedyś można było na tak topornym sprzęcie dusić triki. Można było, a jakże, a ile trzeba było się nastarać, żeby coś takiego w czasach początków demokracji w Polsce kupić. Oto prawdziwa historia deskorolki.

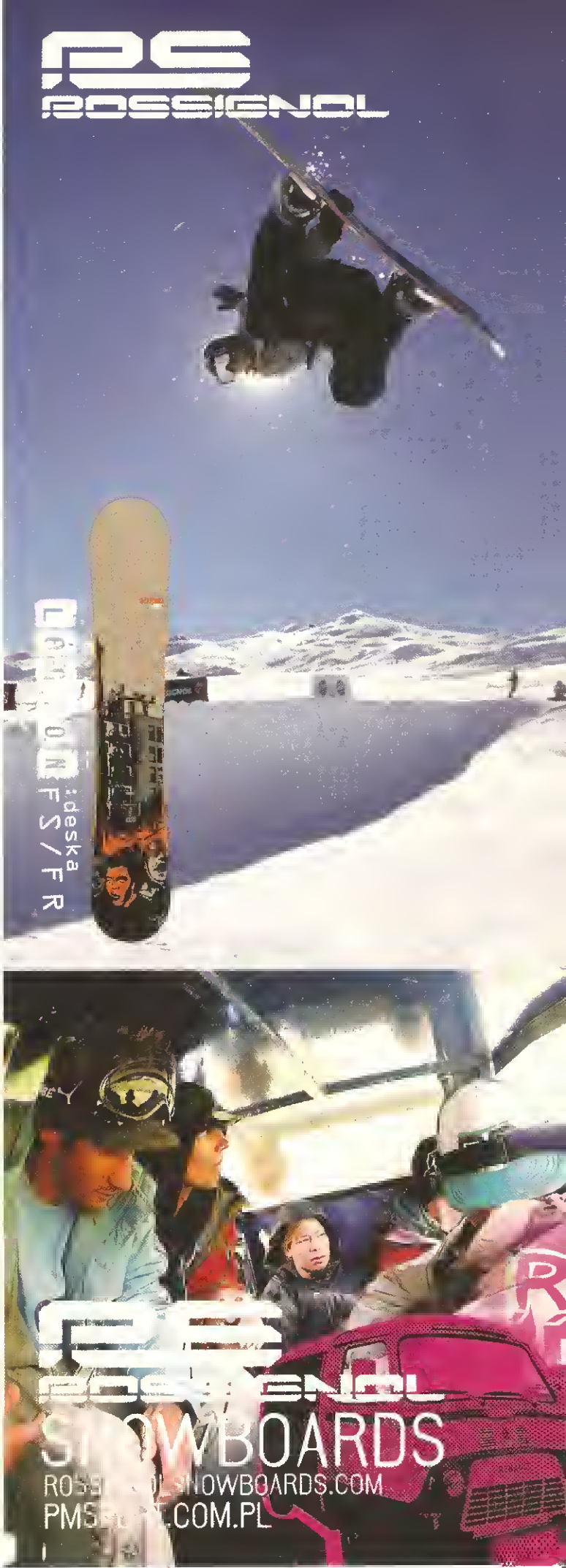

hard core
na deskorolce

Są tacy, którzy dzielą deskorolkę na hardcore'ową i hiphopową. Nie będę wyrażał swojego zdania na ten temat, powiem tylko, że nie powinno się takich rzeczy traktować poważnie. Jeżeli ktoś się bardzo uprze, to można rzeczywiście podzielić (ale tylko umownie) skateboarding, a właściwe konkretne triki, na techniczne i kaskaderskie, czyli potocznie mówiąc hardcore'owe. Nie ma to nic wspólnego z muzyką, a określeniem „hard core" opisuje coś ekstremalnego, przegiętego czy zabójczego

tekst pc skate

Jednak, kiedy obserwujemy współczesne filmy, stwierdzimy, że taki podział dawno się skończył. Dzieciaki, które pojawiają się w tej chwili jak grzyby po deszczu, z powodzeniem łączą te dwie rzeczy i to, co kiedyś było „wyższą techniką" wykonywaną jedynie na małych murkach, dziś jest na luzie robione na ogromnych poręczach. Obecnie młodzi skaterzy z reguły nie ograniczają się do jednego, tylko starają się być wszechstronni i próbują wszystkiego od poolów do streetu. W tej chwili nie ma już żadnych barier i możliwe jest właściwie wszystko, aż boję się pomyśleć, co dziać się będzie z deskorolką w przyszłości, jeżeli zostanie zachowany taki progres jak do tej pory.

Potocznie jednak określeniem „hard core" określamy wszystkie rzeczy wykonywane na dużych railach i skoki ze schodów bądź gapów. Statystyczny skejcik nie wyobraża sobie filmu, w którym nie byłoby materiałów z takich miejscówek, jest to coś tak normalnego, że nikogo nie dziwi fakt, że na filmie ktoś łamie rękę czy nogę. Taka poręcz jak legendarna „El Toro" jest zwykłym railem, a każdy nowy trik nie wzbudza już takiej sensacji. Ludzie się do tego przyzwyczaili.

Kiedy myślimy o hardcore'owej deskorolce od razu kojarzymy ją z takimi firmami jak Toy Machine, Baker czy Zero, jednak przed nimi też byli deskorolkowi kaskaderzy, którzy dla im współczesnych skaterów byli hardcore'owcami. Promocję tego stylu jazdy zawdzięczamy na pewno filmowi „Welcome to hell" Toy Machine...

Kiedy skateboarding raczkował, jazda streetowa nie była tak różnorodna, jak teraz. Większość ewolucji dopiero się kształtowała i właśnie na to skaterzy wtedy kładli nacisk – starali się wymyślać nowe triki na ziemi. Nie liczyła się wtedy tak bardzo elegancja jazdy i styl, a przynajmniej nie mówiło się tyle o tym, co teraz. Można powiedzieć, że cały street skateboarding wyglądał tak samo, a każdy deskorolkowiec, który choć trochę różnił się od reszty, wzbudzał zachwyt. Cóż, zawsze trudniej jest coś wymyślić, niż kontynuować.

Nic więc dziwnego, że o wiele dłużej trzeba było czekać na pierwszy boardslide na poręczy, niż na następujące po nim triki. Pierwszymi śmiałkami, którzy tego dokonali, byli Mark Gonzales i Natas Kaupas i to ich zapamiętała historia, a nie np. Coreya Duffela, który robi obecnie straszne handraile rozmaitymi numerami.

Pomimo tego, że poręcze w końcu zostały zdobyte, nie od razu wszyscy na nie wskoczyli, musiało upłynąć dużo wody w różnych rzekach, żeby stało się to czymś powszechnym. Przez całe lata osiemdziesiąte nawet najsłabsze triki na króciutkich rurkach były wielkim wydarzeniem, zresztą bardziej wtedy liczyły się coraz to nowsze triki. Nie była ważna miejscówka tylko ewolucja.

Pierwszym prawdziwym hardcore'owcem jakiego pamiętam, był na pewno Frankie Hill. Ten jeżdżący dla Powella ówczesny małolat przebojem wdarł się na okładki deskorolkowych czasopism. Jego przejazdy różniły się znacznie od jego kolegów po fachu, dominowały w nich proste sztuczki, ale za to były wykonywane na dużych prędkościach i ogromnych przeszkodach. Był on wtedy synonimem deskorolkowego kaskadera, pamiętam nawet, że w pewnym momencie chodziła plotka, że Frankie zabił się skacząc z dwudziestu schodów (oczywiście była to nieprawda). Młody Hill okazał się niestety gwiazdą jednego sezonu i choć pamiętamy o nim do dziś, to jednak szybko zniknął pierwszych stron gazet.

„Questionable", film Plan B, otworzył horyzonty na wiele spraw w deskorolce. Nie dość, że rozsławił Mekkę technicznej jazdy, czyli Embarcadero, to wylansował skatera, którego doceniono trochę później – Pata Duffy'ego. Wtedy zwracano uwagę bardziej na to ile razy deska obróciła się przy kick flipie niż na hard core. Dutty był wszechstronny i umiał zarówno zrobić potrójnego wirka jak i dobrą poręcz. W roku 1992 zwracano uwagę bardziej na to pierwsze. Jednak po latach stwierdzono, że niektóre jego triki na poręczach są do dziś nie do powtórzenia. W czasach, gdy na railach robiło się ledwie 50/50 grindy, on na luzie robił backside lipslide i to w strugach deszczu. Przejazd Pata na tym filmie był po prostu wielki i ponadczasowy.

Musiało jednak kilka lat upłynąć, żeby skaterzy poważniej zainteresowali się tą bardziej niebezpieczną stroną skateboardingu. Po początkach lat dziewięćdziesiątych, w czasie których dominowały wielkie spodnie, małe kółka i bezstylowa jazda nadeszła nowa era.

Do Kalifornii przybył nikomu nieznany, bardzo ambitny skater, który nazywał się Jamie Thomas. Jak sam mówi,t nie był on tak bardzo utalentowanym deskorolkowcem, jak inni prosi, ale miał cechy, dzięki którym zaistniał: ambicję, upór i totalny brak strachu.

Nie starał się naśladować swoich kolegów po fachu w trudnych trikach na murkach, tylko wolał robić coś łatwiejszego, ale na spotach, o których nikt by nie pomyślał, że się do tego nadają. Pamiętam okładkę TWS, gdzie było jego zdjęcie skaczącego kick flipem z dachu na drugi dach, Io był prawdziwy szok. Może to dziwnie zabrzmieć, bo takie rzeczy teraz robi byle małolat na każdym filmie, ale wtedy otworzyło to deskorolkowcom oczy na wiele możliwości. Kiedy wyszedł film Toy Machine „Welcome to hell", gdzie oprócz Jamiego wystąpiły największe harpagany tamtych lat, nagle okazało się, że długie poręcze mogą z powodzeniem służyć do jazdy. To był pierwszy film, w którym jeżdżono głównie po tych elementach architektury. Można powiedzieć, że właśnie wtedy narodziła się prawdziwa hardcore'owa jazda na deskorolce. Team Toy Machine został zaszufladkowany jako kaskaderzy.

Nie muszę chyba mówić, że od razu zyskali oni całą grupę naśladowców, każdy zobaczył, że grindowanie na poręczy nie jest czymś niezwykłym i leży w możliwościach wszystkich skaterów.

To, co dzieje się w tej chwili z jazdą na railach, to już chyba lekka przesada, coraz więcej jest filmów, w których nie ma innych trików niż te robione na rurkach. To, co było kiedyś tak nowatorskie, teraz stało się rutyną. To, co kiedyś było wielkim wyzwaniem, teraz stało się codziennością, dlatego wolę obejrzeć „Questionable" czy "Welcome to hell", niż najnowszą produkcję, w której dzieciaki pewnie niedługo będą się zabijać przy robieniu hardcore'owych rzeczy. Według mnie w skateboardingu fajne jest to, co nowatorskie i twórcze, a nie jest tym na pewno prześciganie się kto zjedzie po większej poręczy...

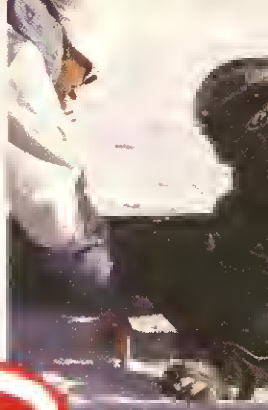

CONTROL

CONTROL SNOWBOARDS wspiera

Dystrybucja ALTEX
ul. S.Batorego 89
62-080 Batorowo
tel. 61 816 34 00
fax 61 816 34 08
wojtek.altex@wp.pl
piotr.altex@wp.pl

klub : UKS Board Shop / prowadzący : Konrad Krasnodębski + 6 innych wykwalifikowanych trenerów / riderzy: 24 osoby w wieku 11-17 lat / ostatnie osiągnięcia : v-ce Mistrzyni Polski PGS; Mistrz Polski SBX; brąz na Mistrzostwach Polski Juniorów HP; złoto w Kombinacji Juniorów Młodszych na Ogólnopolskiej Olimpiadzie Młodzieży; oraz na ostatniej Warszawskiej Olimpiadzie Młodzieży 8 złotych, 1 srebrny i 1 brąz (GS i SBX) / zdjęcia: trening w Maso Corto 5-14 listopada 2004 / fotograf : Krawiec / na zdjęciach: Marcin Woźniak i Agata Buga + Konrad

fingerboard
toruń 2004

tekst i foto ziomek X

Okresem wzmożonego zainteresowania małym przedmiotem o nazwie fingerboard jest dzień Mikolajek. Wtedy to po ten mały kawałek plastiku ustawiają się kolejki i bije on rekordy popularności wśród mam, ciotek i babć. Wydaje się idealnym prezentem na tę okazję dla syna, bratanka bądź też wnusia, któremu nie wiadomo co kupić. Jednak oprócz takich sezonowych okazji zabawka ta ma stałe grono zajawkowiczów, którzy wyrabiają sobie odciski na dwóch paluszkach przez całe lata tylko po to, aby robić jak najlepsze triki. Przyrząd ten został wymyślony zapewne przez jakiegoś niespełnionego bądź kontuzjowanego deskorolkowca, który w domu zapragnął sobie jeździć na tym przyrządzie po fotelach i łóżkach. Z czasem spece od marketingu zwietrzyli w tym interes i tak narodziła się kultura fingerboardowa. Powstały firmy, które specjalizują się w produkcji deseczek i skateparków dla nich. Poniżej macie okazję zobaczyć jak wyglądała jedna z imprez fingerboardowych.

Toruń regularnie raz w roku gości dużych kolesi z bardzo małymi deseczkami. Zawody fingerboardowe, bo o nich tutaj mowa, od jakiegoś czasu pasjonują pewną grupkę ludzi o ponadprzeciętnych umiejętnościach manualnych. Tak też było 20 listopada 2004 roku. Na zawody, pomimo słabej reklamy, zjechali się ludzie z różnych regionów Polski. I tak spotkać można było reprezentantów: Świecia, Leszna, Gniezna, Żyrardowa, Szczecina, Radomia, Bydgoszczy oraz oczywiście miejscowego Torunia. Zwyciężył Przemek Bartkowiak, który jest niepodzielnym władcą szybkich paluszków od trzech lat. Natomiast nagrody za best trick powędrowały do Andergrand team ridera Pawła Trojanowskiego za wykonanie kickflip to b/s overcrook. Dało się zauważyć, że poziom fingerboardingu znacznie się podniósł i w przejazdach sypał się deszcz trików z flipami na grindy i manuale, a samemu zwycięzcy nie było tak łatwo wygrać, jak w latach poprzednich. Widać, że przeciwnicy rzetelnie odrobili pracę domową i nikt nie jest w stanie przewidzieć, co stanie się podczas następnych tego typu zawodów.

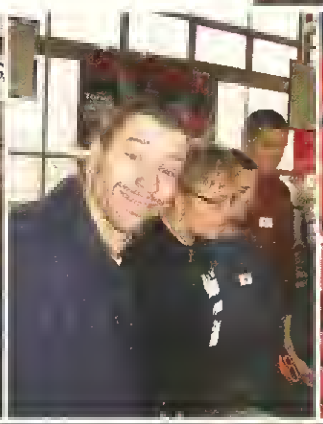

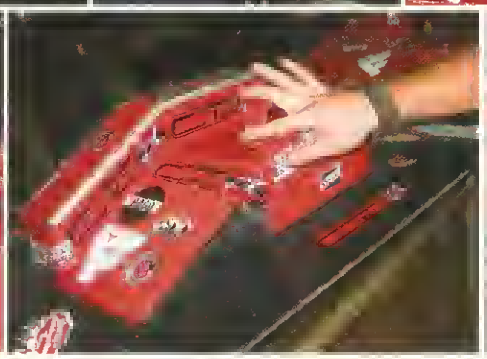

snowpark w wiśle

tekst snowman
foto slopek.com

Ten rok będzie jeszcze lepszy dla polskiego snowboardu. Po zalewie snowparków w zeszłym sezonie nic nie wskazuje na to, żeby coś się miało w tej kwestii zmienić. Świadczą o tym liczne imprezy organizowane pod hasłem „rozpoczęcie sezonu". Widać, że dużo ludzi chce organizować imprezy snowboardowe, a przede wszystkim coraz więcej osób jest zainteresowanych uprawianiem tej szlachetnej dyscypliny. Jednym z takich przedsięwzięć dobrze rokujących jest na pewno powstający snowpark w Wiśle. Choć jeszcze sezon się na dobre nie rozpoczął, to już większość konstrukcji jest gotowa i gdy tylko spadły pierwsze płatki śniegu, od razu rozpoczęło się ich testowanie, czego efekty możecie zobaczyć na zdjęciach.

To, że będzie to coś wartego uwagi zapewnia fakt, że nie biorą się za to osoby przypadkowe, tylko od dawna związane z polskim snowboardem. Mowa jest o ludziach związanych z portalem Flip.pl, którzy od dawna wspomagają rodzimą scenę snow'n'skate.

Każdy, kto zechce przyjechać do Wisły, będzie mógł śmigać w ratrakowanym i naśnieżanym snowparku całkowicie za darmo, a dla preferujących ostrą jazdę ON STOŻEK przygotował nowy wyciąg krzesełkowy i zróżnicowane trudnością trasy dla każdego.

To tylka próbka tego, czego można oczekiwać po tym snowparku, na większą relację czekajcie w następnych numerach Ślizgu...

snowandsurf.pl

snow and surf travel

najbardziej pojechane [illegible]
najlepsze imprezki

wyjazdy 100%

- Sylwester 2004 Mayrhofen (Austria)
  26.12 – [illegible] cena: 175 EURO
- Ferie dla studentów Val di Fiemme (Włochy)
  11.02 – 20.02.2005 cena: 200 EURO
- Obóz młodzieżowy Val di Fiemme (Włochy)
  18.02 – 27.02.2005 cena: 380 EURO
- Wyjazd dla dorosłych Val di Fiemme (Włochy)
  19.02 – 26.02.2005 cena: 260 EURO
- Wyjazd marcowy Stubaital (Austria)
  11.03 – 20.03.2005 cena: 245 EURO
- Zakończenie sezonu Les 2 Alpes (Francja)
  15.04 – 24.04.2005 cena: 190 EURO
- Summer Camp Solden (Austria)
  01.07 – 10.07.2005 cena: 245 EURO
- Whistler (Kanada) heliboarding i heliskiing
  07.01 – 18.01.2005 cena: 3490 $
- Kaukaz (Rosja) Freeride Camp
  26.02 – 06.03.2005 cena: 690 EURO
- Kamczatka (Rosja) Heliboarding i Heliskiing
  07.04 – 17.04.2005 cena: 1450 $

SNOW AND SURF TRAVEL

INFO.
AL. NIEPODLEGŁOŚCI 111 ☎ 22 646 62 94
TRAVEL@SNOWANDSURF.PL

SNOWANDSURF.PL

imprezy
snowboardowe
data.time
info:
www.snowand[illegible]

SNOW&SURF TRAVEL

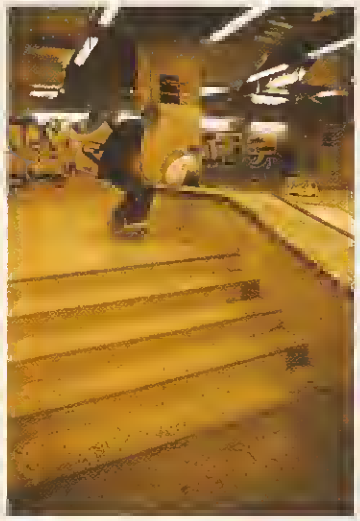
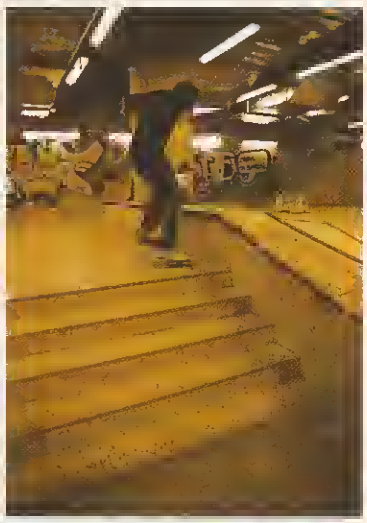
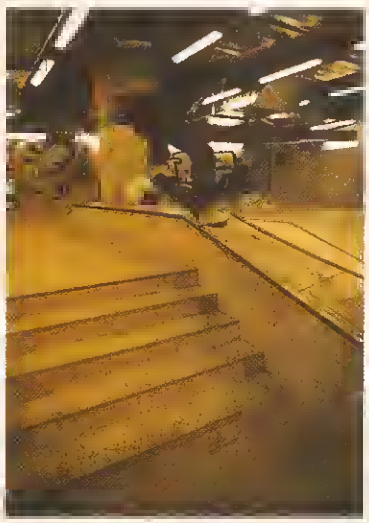
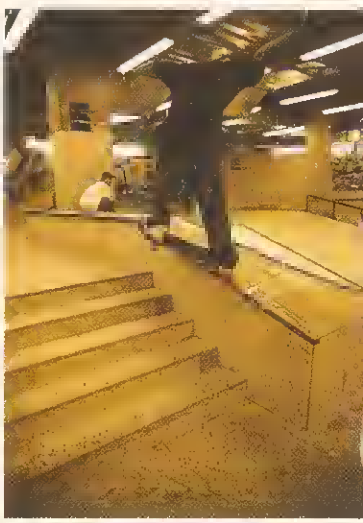

Patryk Wrzosek
Kick flip przez piramidę

bluecity
skatepark

Wreszcie jest, doczekaliśmy się. Niemożliwe stało się możliwe, sen – jawą a utopia – faktem. Jeszcze jakieś pół roku temu chyba nikt nie wierzył, że coś takiego będzie mieć miejsce. Przecież w Polsce tradycja każe narzekać, że nie ma zimą ciepłego miejsca do jazdy. Na co będą narzekać biedni polscy skaterzy? Teraz to już naprawdę nie ma żadnego wytłumaczenia na kiepską jazdę

tekst tol OI
foto Wojtek Antonów/WZRR

Zacznijmy jednak opowieść od samego początku: osoba Jaskulskiego Marcina alias Jaskuła ostatnio pojawia się w co drugim artykule w Ślizgu. Bynajmniej nie za sprawą licznych kopert z pieniędzmi nadsyłanych przez niego do redakcji, tylko w wyniku jego aktywności na polu skateboardingowym. Chłopaczyna w dosyć krótkim czasie bardzo pomógł rodzimej scenie organizując różne zachodu warte przedsięwzięcia. Nic z jego poprzednich dokonań nie równa się jednak ostatniej inicjatywie o kryptonimie „cieply skatepark na zimę".

Przez kilkanaście lat (tyle, ile istnieje deskorolka w naszym pięknym kraju) polskie skejciki potrafiły tylko narzekać, że nic się nie dzieje. Tak było do tego roku. Nagle okazało się, że jak się bardzo chce, to można coś drogą żmudnego załatwiania w naszym biurokratycznym systemie osiągnąć. Z pomocą przyszedł nieoczekiwanie zachodni, kapitalistyczny, walczący z lokalną przedsiębiorczością kapitał, czyli jedno z wyrastających jak grzyby po deszczu tzw. centrów handlowych. Zarząd Blue City (bo to o tym molochu mowa) postanowił otworzyć swe podwoje nie tylko dla lanserów z małych miejscowości i tzw. galerianek (czyli rozsiewających na kilometr woń swoich perfum dziewczyn, dzień w dzień przechadzających się po tego typu miejscach, liczących na spotkanie swojego księcia z bajki, ewentualnie sponsora z wypchanym portfolio), ale również i na młodzież spod znaku drewienka na kółeczkach. Po dojściu do porozumienia z władzami Blue City nasz niezłomny Jaskulski do pomocy wciągnął śmietankę warszawskiego skateboardingu, stolarstwa oraz biznesu. Każdy z reprezentantów tych trzech dziedzin zajął się swoją działeczką i tak w trudzie i znoju zaczęły powstawać pierwsze wizje, projekty i rozczarowania (gdyż, jak wiadomo, wszystkim nie dogodzisz...). Po kilku miesiącach planowania i załatwiania powstał wreszcie projekt toru, w którym to projekcie maczały swe paluchy tuzy stołecznej deskorolki.

Tomek Kotrych
nollie fs. croocked

Wykonaniem zajęła się ekipa „Fuck ramps", mająca już na koncie kilka skateparków (w tym znany legendarny już Infinity park na Gocławiu). A wszystko to mogło się odbyć dzięki pomocy sponsorów, kasę np. wyłożył najbardziej hiperextremalny napój dla wyczynowców Sprite i sponsor macierzysty, czyli Kamuflage Skateshop. Budowa była objęta ścisłą tajemnicą, niestety do Internetu (no bo gdzieżby indziej) przenikały co i rusz informacje oraz zdjęcia wykonane szpiegowskimi aparatami ukrytymi zapewne za pazuchą... Cały deskorolkowy świat w Polsce wstrzymywał wtedy swoje oddechy, aby rozkoszować się poślepami w pracy i widokiem powstających przeszkód. Nikt nie mógł się doczekać otwarcia...

Wreszcie ono nastąpiło, choć nieoficjalnie. Prawdziwy „grand opening" z wielką pompą i Kasią Figurą jako hostessą nastąpi 18 grudnia (wtedy też odbędą się zawody, o których przeczytacie w numerze następnym), natomiast od połowy listopada można tam jeździć. Warto powiedzieć choć parę słów (bynajmniej nie Paresłów) na temat samych przeszkód. Jak wspomniałem, były one zaprojektowane przez skaterów dla skaterów. W centralnym punkcie niedużego (mały, ciasny, ale własny...) placyku stoi nieduża piramida z bardzo łagodnymi podjazdami. Aby nabrać odpowiedniej prędkości na nią, panowie architekci wymyślili dwa kompleksy napędzające. Po jednej stronie znajduje się kompleks bankowy, gdzie oprócz łagodnych podjazdów znajduje się london gap i pięć schodów z murkiem typu „mini hubba" i railem. Natomiast z drugiej strony znajduje się gratka dla wszystkich tych, którzy myśleli o jeździe typu „Tony Trujillo", a nie mieli gdzie jej uprawiać. Druga strona skateparku i jednocześnie drugi kompleks napędowy na piramidę to rząd qualerów (w tym jeden zakręcający). Wreszcie doczekaliśmy się w Polsce dobrych przeszkód tego typu, jak dla mnie jest to, jeśli nie najatrakcyjniejsza część skateparku, to na pewno najświeższa. Cały skatepark niestety nie jest zbyt duży, jednak rozmieszczenie przeszkód pozwala na jazdę w kilku kierunkach bez odpychania, możliwości jest naprawdę dużo.

Władze wykonawcze parku zadbały też o wykwalifikowaną kadrę szkoleniową. W miejscu tym pracują znani i lubiani przez wszystkich: Patryk Wrzosek, Tomasz Goławski i postrach małolatów Marcin Hackiewicz, którzy zawsze chętnie (no, może za wyjątkiem tego ostatniego) służą pomocą każdemu potrzebującemu.

Od jakiegoś czasu skatepark tętni życiem i postęp w jeździe rośnie w zastraszającym tempie. Tego trzeba było polskiej deskorolce, można być prawdziwym ulicznym skaterem, ale prawda jest taka, że to właśnie na sztucznym torze najłatwiej jest się uczyć nowych trików. Miejmy nadzieję, że temu przysłuży się ten jakże potrzebny nam obiekt...

fs. boardslide
foto Yarrek.com

backside melon 540
foto Yarrek.com

kto?
marcin kordek

Ile masz lat i jak długo jeździsz?
Mam 20 lat, a jeżdżę już siódmy sezon.
Skąd pochodzisz?
Nowy Sącz.
Czy to, gdzie mieszkasz, ma jakiś wpływ na twoją jazdę?
Ma duży, bo góry mam pod nosem. Najczęściej jeżdżę w Krynicy, bo mam najbliżej. Dużo jeżdżę po szkole, wieczorami.
Sponsorzy.
Salomon, Teknik, Malita.
Co najbardziej lubisz w snowboardingu?
Jeśli chodzi o raile/hopy/pipe, to lubię wszystko, nie ma niczego, czego nie lubię. Snowboard to snowboard, a podejście takie, że „jeżdżę pipe, bo to konkurencja olimpijska, a raile jeżdżą ci, co nie umieją skakać..." To jest „sportowe"?!
Czego w nim nie lubisz?
Tej całej zawiści między zawodnikami i pzs-owskiej atmosfery i polskich pipe'ów zrobionych tylko po to, żeby były.
Ulubiony trik?
Sw. 270 na frontside boardslide z zejściem na swoją.
Czego się teraz uczysz na desce?
Mam dużo nowych trików w głowie, ale nie lubię mówić o tym, co będzie.
Osiągnięcia.
2 miejsce na REDBULL RAILS. 3 miejsce - mistrzostwa polski juniorów na pipe'ie.
Ulubiony film snowboardowy.
Afterlame.
Ulubiony snowboardzista.
Scotty Arnold.
Ulubiona miejscówka.
Garmish, Dachstein, choć byłem tam dopiero raz.
Co cię inspiruje?
Głównie filmy snowboardowe i jazda z przyjaciółmi z Lospuperos i zwm.
Jak przełamujesz strach, czy jest coś, czego byś nigdy nie zrobił na desce?
Lubię to uczucie strachu np. przed dużymi schodami ze stromym railem i lubię je przełamywać..
Zainteresowania.
Fury, cola i McDonald's.
Muzyka.
Rap, disco, wszystko.
Film tabularny.
Martwica mózgu, Notting Hill.
Switch czy normalnie?
Ostatnio switch bs. się uczę, bo mam straszną zajawkę na to. Ogólnie lubię triki na obie nogi.
Snowpark czy street?
Raile w mieście i skocznie na naturalnych miejscówkach. Tak byłoby najlepiej, ale to rarytas, na co dzień kończy się w snowparku.
Lubisz zawody?
Nie wiem. Zależy jakie, RedBull był fajny.
Co to jest styl na snowboardzie i kto go posiada?
Ze stylem jest jak z dziewczynami: mało która ma coś w sobie. Albo się ma styl, albo nie, tego nie da się nauczyć, można się poprawić, ale niektórzy nawet dzięki temu, że będą jeździć co tydzień na wyjazd, nie osiągną tego, co inni po prostu mają.
Co jest ważniejsze – styl czy umiejętności?
Jedno bez drugiego nie działa.
Co sądzisz o polskim snowboardingu?
Wszystko idzie do przodu, coraz większa zajawka na coraz to trudniejsze triki na coraz konkretniejszych miejscówkach i coraz więcej snowparków.

F2 DAINESE FORUM

e-mail: info@boardcamp.pl www.boardcamp.pl

panoramic view

pleasure jam
dachstein 2004

Dachstein to pewnie jedna z lepiej rozpoznawanych nazw w austriackich Alpach. Przynajmniej przez amatorów sportów zimowych. Ściągają tu rzesze turystów i zawodników z całej Europy. Wśród nich nie brakuje ścisłej czołówki snowboarderów. Wielu z nich pojawiło się na ostatniej edycji snow jamu Pleasure. Była też polska ekipa, ale o tym niżej...

tekst widz
foto Yarrek.com

W dniach 5-7 listopada 2004 do austriackiej miejscowości Dachstein zjechali się czołowi europejscy snowboardziści w towarzystwie ekip foto i video. A powodem ich obecności był zorganizowany przez europejski magazyn snowboardowy Pleasure, snow jam. Na zaproszenie organizatorów w snowparku zjawili się między innymi: Flo Mausser, Chris i Rudi Kroll, Marko Grilic, Per Loeken, Mone Monsberger, Sani Alibabic, Markus Keler, Andre Kuhlmann, Christoper Weber, Alex Schmaltz, Martin Cernik, Wolle Nyvelt, Dimitri Fesenko i nasz Marek Sąsiadek. Ale żeby Markowi smutno nie było, to wspierała go ekipa z kraju nad Wisłą w składzie: Tomek Sąsiadek, Mateusz, Michał i Paulina Ligoccy, Marcin Kordek, Olek Lange, Staszek Karpiel i Marcin Kaliński. A żeby zapewnić raiderom rozrywkę na śniegu, chłopcy z Pleasure zaprosili do współpracy ekipę Burtona, która była odpowiedzialna za przygotowanie snowparku. I w ten sposób powstał Burton Superpark, który był areną zmagań podczas Pleasure Jamu. A było gdzie pojeździć, bo teren paku znajdował się na ok. 3000 m. n. p. m. Podzielono go na dwie

marco grillic 72 mute

paulina ligocka 180 mute

części, każda z nich miała inny poziom trudności i posiadała osobny orczyk. Więc do dyspozycji mieliśmy kilka małych skoczni po ok. 3-6 metrów płaskiego oraz BigAir z ok. 15 metrami płaskiego, mnóstwo raili (proste, łamane, rainbow) oraz bardzo fajny łamany box i a-frame box, na którym zorganizowano Best Trick Session. Tam można było zobaczyć mnóstwo mega trików, chociażby piękny transfer fs. 270 na frontside boardslide. Kontest ostatecznie wygrał Marc Swoboda, który zrobił onefoot 50/50 z przejściem na boardslide. Po konteście wszyscy z zapałem zabrali się za ujeżdżanie parku, a że wszystko działo się w całkowicie wyluzowanej atmosferze, to posypały się duuuże triki. I tak Na BigAir szalał Marko Grilic, który robił mega stylowe fs 540 i 720 oraz bs air 180, Chris Kroll ze swoją fs 900 i Sąsiad ze stylowym 720. Na railach nasi robili niezły rozpierdziel, w który duży wkład miał Staszek Karpiel wykonując transfer 180 przez całego łamańca, czym wywołał niezłe poruszenie.

Ale niestety nic, co dobre, nie trwa wiecznie, bo pogoda postanowiła mieć swój własny wkład w imprezę i chmury przejęły władzę nad lodowcem. Nie było innego wyjścia jak ewakuować się do restauracji, gdzie w miłym towarzystwie można było pozbyć się paru euro i zrobić jakiś mały gryplan na wieczór. Bo wiadomo, że nikt nie będzie siedział spokojnie w hotelu, jeśli nie musi. A organizatorzy zadbali, żeby nikt się nie nudził i zorganizowali odpowiednie środki zapobiegawcze, czyli party, a mówiąc po naszemu knajpę i DJ'a. Ale co było potem, komu skończyła się wódka, kto zabrał ze sobą uprasowaną koszulę i zamszowe buty, kto został mistrzem Playstation oraz dlaczego rano nie było formy nie powiem... Ważne, że rano wszyscy wcześniej czy później pojawili się w snowparku. Niestety pogoda nie zmieniła zdania i chmury nie dały za bardzo rozwinąć skrzydeł, więc do dyspozycji zostały raile, a ci, którzy nie mieli ochoty po nich jeździć, integrowali się w knajpie na lodowcu. I znów były straty w euro. A głównym tematem było, czy wyjdzie wreszcie słońce czy też nie, bo co chwila docierała do nas nowa prognoza. Ostatecznie dzień został spisany na straty i zajęliśmy się wieczorem, bo wiadomo, że wszyscy spragnieni... A rano spakowaliśmy graty, bo za oknem sypał śnieg i wróciliśmy do domu... Trochę szkoda bo Dachstein to pięknie położony lodowiec, chłopcy z Burtona świetnie przygotowali park i tylko słońca zabrakło...

sklepy, w których kupisz Ślizg!!!

SKATE SHOP GRAM
KIELCE UL. DUŻA 5
w sklepie sportowym na I piętrze
tel. 041 344 37 62

SKLEPY FIRMOWE
KRAKÓW: ul. Grodzka 50, ul. Floriańska 15
hurt- detal. tel. 0604 79-14-12, 0605 55 12 42

RZESZÓW, MATEJKI 16
CODE
HIP-HOP SKATESHOP

andergrand.pl
buty
graffiti
muzyka
ubrania
skateboard
SKLEP INTERNETOWY
WWW.ANDERGRAND.PL

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

skateshop
SKATECITY
Opole, ul. Ozimska 14-16
DH RZEMIEŚLNIK IIp.

CHRON
HIP HOPsklep
GDAŃSK ul.szafarnia4 ul.wajdeloty10 ul.rajska12
GDYNIA ul. swietojanska 112 KATOWICE ul.stawowa3
WARSZAWA metroRatusz box4 i box12 rondoJazdyPolskiej box19
KRAKOW ul.slawkowska20 CHRZANOW ul.piastowska15
CIESZYN ul.gleboka20 CZESKI CIESZYN ul.smetanowa20

BAD MAD
BYDGOSZCZ GALERIA POMORSKA
GDAŃSK CENTRUM ALFA

ALIFORNIA
SKATEBOARD DISTRIBUTION

FLOW
HIPHOP SHOP
WWW.FLOW.PL
ŁÓDŹ TRAUGUTTA 4
042 6307674

MONUMENT
SKATE SHOP
www.monument.pl
Lublin Krakowskie Przedmieście 30, Krakowskie Przedmieście 17
Krakowskie Przedmieście 41
Katowice Stawowa 4
Częstochowa al. Najświętszej Marii Panny 37

SKATESHOP
Al. 1 Maja 19 B
62-510 KONIN
tel./ fax 0-63 242 39 56

KAMELEON
HIP-HOP SKATE SHOP
AUGUSTÓW
tel.501-511-445

BONGO HIP-HOP SKLEP
ul. Kościuszki 17; 88-100 Inowrocław
tel. (52) 357 59 36

ANAGRAM
STREET CLOTHING
13
9-300 Ełk, Ul. W.Polskiego 13, tel./fax (0)87 6215387, www.anagram.elk.p

KAMUFLAGE
HIP HOP SKATE SHOP
WOLAPARK - Warszawa, ul. Górczewska 124
BLUECITY - Warszawa, al. Jerozolimskie 179
www.kamuflage.pl

tłusty bas
ubrania
Piastów
ul.Hallera 18
pn.-pt. 11-19
sob. 10-14

SKATE FASHION & HIP HOP
FUNKY COLLECTION
SK8 SHOP
VOLCANO
KLUCZBORK
ODZIEŻ DESKA GRAFITI
OBUWIE MUZYKA

warszawa modlińska 89
498-35-90
ESTYMA
hiphop-skateshop

MONASTIC
ul. Kościelna 34, Zduńska Wola 98-220

SKATESHOP
SIXTYNINE
OPOLE
Z TĄ ULOTKĄ ZNIŻKA 10% !!!
HARLEM
SKATESHOP

BLANT
skate & hip-hop center
SZCZYTNO
ul. 1-go Maja 15a

Filut HIP HOP SKATESHOP
Wełniany Rynek 2AB
Gorzów Wlkp.

Informacje pod telefonem
tel. 0-prefix-22 825 49 07

Ślizg

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
4115001777-1217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3 6 12 miesięcy

20 PLN 40 PLN 76 PLN

opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 4115001777-1217700665180000

W P waluta **PLN** kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata:
na okres od miesiąca numery archiwalne +koszt przesyłk

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA ODBIORCY

nr rachunku odbiorcy
Kredyt Bank IV O/Warszawa
4115001777-1217700665180000
nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35
00-258 Warszawa

kwota:

Nazwisko i adres:

zamawiam prenumeratę na:

3 6 12 miesięcy

20 PLN 40 PLN 76 PLN

opłata

POLECENIE PRZELEWU / WPŁATA GOTÓWKOWA

nazwa odbiorcy
Towarzystwo Wydawnicze i Literackie Sp. z o.o.
ul. Brzozowa 35, 00-258 Warszawa
nr rachunku
Kredyt Bank IV O/Warszawa 4115001777-1217700665180000

W P waluta **PLN** kwota

kwota słownie (wpłata / nr rachunku zleceniodawcy (przelew))

nazwisko i imię

ulica nr domu nr mieszkania

kod pocztowy miejscowość

prenumerata:
na okres od miesiąca numery archiwalne +koszt przesyłk

Pieczęć, data i podpis zleceniodawcy (w przypadku przelewu)

opłata

ODCINEK DLA BANKU WPŁACAJĄCEGO

hajd park

noon

Brzmienie w produkcjach hiphopowych to podstawa. Hip-hop spopularyzował: sampling, technikę cut & paste czy programowane rytmy. Dlatego też ta muzyka zawsze będzie dla mnie polegała na samplach, tak jak jazz polega na improwizacji, a funk na pulsie. Bez tego elementu mówimy już o innym pomyśle na muzykę. Znajdą się encyklopedyści, którzy powiedzą, że idee sampli wprowadził w 1920 jakiś heros muzyki konkretnej, ale tak naprawdę to tylko matematyka, a hip-hop wprowadził te techniki do muzyki. Muzycy Kraftwerk (aka „Planet Rock") mówili – „nad brzmieniami pracujemy kilka lat, aranżacje robimy w 15 minut". Sporo z tej mentalności przeniknęło do hip-hopu. Załóżmy, że 20 osób bierze ten sam sampel – każdy ma szansę spreparować go na własny sposób. Paradoksalnie kluczowym wyróżnikiem będzie brzmienie, bo źródło jest przecież takie samo, prawda? Poniżej 10 moich przemyśleń wolnych od precyzyjnych, technologicznych porad

BRZMIENIE - 10 tez nie tylko dla producentów

tekst Noon (www.33obroty.com)

Głośność

Rewolucja cyfrowa w latach 80. oprócz Nintendo przyniosła również płytę CD. Zapis bitowy umożliwił znaczne zwiększenie dynamiki nagrań. Świat oszalał i 20 lat później zapis cyfrowy stał się przekleństwem nowoczesnej muzyki. Oczywiście, jak to w życiu bywa, wina nie leży po stronie samych płyt, ale ludzi, bo jak wiemy „pistotet sam nie zabija". Z produkcji, które słyszę od wielu lat, przebija się myśl, która dręczy chyba już każdego realizatora – „To ja chcę być najgłośniejszy!". I tu jest problem. Poziom średni nagrań, tzw. RMS (upraszczając – średnia różnica między najgłośniejszym a najcichszym fragmentem utworu) kiedyś wynosił powiedzmy – 20 dB. Płyty w ostatnich latach doprowadzają ten współczynnik do absurdalnego poziomu np. – 7db, jak choćby w przypadku ostatniej płyty Lewisa Parkera, która jest dla mnie położona przez mastering. Brzmienie staje się zmiażdżone, a najgorsze, że staje się męczące. Idea jest chyba taka, że jeśli ktoś chce słuchać czegoś głośno, to podkręca wzmacniacz. Mój apel: skończcie z tym wyścigiem! Dobre, wyważone i miękkie nagranie zawsze można poglośnić. Zmiażdżonego, pozbawionego dynamiki, jazgotliwego miksu często nie da się słuchać. Moje przemyślenia potwierdziły się, kiedy przeczytałem wywiad ze światowym guru masteringu Bobem Ludwigiem, który powiedział, że marzy o tym, żeby w końcu przyszedł jakiś klient i nie zaczął opisywania swoich oczekiwań od „żeby było głośno".

Spójność

Dobre brzmienie cechuje spójność, a poprawny mix polega na harmonijnym sklejeniu poszczególnych elementów. Np. ostatnia płyta Tracy Chapman jest modelowym przykładem, jak powinno się dobierać techniki produkcyjne do zawartości emocjonalnej albumu. Ciepłe a jednak lekko smutnawe historie wokalistki realizatorzy opowiedzieli niesamowicie miękkim, akustycznym brzmieniem. Płyta jest „cicha", perkusje są nagrane z pięknymi romowymi pogłosami, wokal jest bliski, jakby natożony na muzykę. Hip-hop to nie akustyczne ballady, ale też wymaga kompleksowego podejścia do dźwięku. Nigdy nie zaczynaj robić utworu, a już płyty w szczególności, jeśli wcześniej nie masz na to w głowie pomysłu, choćby zarysu. Produkcje seryjne, z każdego sampla jaki Ci się podoba, szybko się „zużyją", nic nie opowiedzą. Oto konkluzja – spójność jest wynikiem myślenia o brzmieniu.

Pasma

Z grubsza dźwięk zawiera się w trzech podstawowych pasmach: dół, środek i góra. Różne gatunki muzyczne okupują te rejony w określony sposób. Np. rock jest miksowany raczej „jasno" i „wysoko", a dub „nisko", co daje brzmienie w charakterystyczny sposób „ciemne", głównie ze względu na uwydatnienie partii basowych. Hiphopowe techniki produkcyjne przez długi czas hołdowały jamajskim rozwiązaniom, jako że wielu producentów odwoływało się do mistrzów z Kingston. Współczesny hip-hop miksowany jest zgodnie z regułami muzyki pop. Pasma są sterylnie wyrównane, pogłosy są raczej oszczędne, brzmienie jest syntetycznie ciepłe. Trudno byłoby stosując np. analizator widma odróżnić 50 Centa od Christiny Aguilery. Są to jak najbardziej podręcznikowe miksy, ale czy w hip-hopie o to chodzito?

Perksuja

Szokującą informacją będzie fakt, że w hip-hopie klasyczna perkusja sktada się ze stopy, werbla i hi-hatu. Taki uproszczony zestaw dla perkusisty np. jazzowego byłby jak gitara basowa z jedną struną. Producenci hiphopowi uczynili z tak ascetycznego podejścia do bębnów sztukę. Podstawową zasadą jest spójność. Idealne bębny to takie, gdzie każdy element, często samplowany z rożnego źródła, powinien brzmieć jak całość. Często producenci (głównie polscy) tworzą perkusję na zasadzie „stopę musi słyszeć sąsiad a werbel musi napierdalać dwa razy głośniej". Nieliczni, zaczynając od DJ'a Premiera czy Pete Rocka wiedzą, że siła bębnów to nie tylko ich dynamika, ale i logika brzmieniowa. W tej dziedzinie hip-hop wiele czerpie z muzyki funkowej, gdzie dominują oszczędne, ciepłe i z reguły mocno skompresowane zestawy perkusyjne.

Lampa

Moda jak w każdej dziedzinie życia i w miksowaniu nagrań posiada swoją patologię. Np. moda na brzmienie lampowe. Znajdą się tacy, którzy kupiliby nawet lampowe kable, a prawda jest taka, że stosując lampowy mikroton, lampowy przedwzmacniacz i lampowy kompresor możemy otrzymać nieciekawe i zniekształcone brzmienie wokalu. Układy tranzystorowe dobrej klasy w wielu wypadkach będą brzmiały tepiej, niż budżetowe urządzenie z wstawioną „gdzieś tam" lampą. Zdarza się, że przy niektórych miksach zastosowanie sprzętu cyfrowego daje dużo „cieplejsze" brzmienie, niż przepuszczanie nagrania przez kilka urządzeń analogowych. Kto to mówi, tak? Reasumując wywód. Jeśli źródło sampla jest analogowe, to „doanalogowianie" go na siłę często przynosi gorsze rezułtaty, niż poprawna obróbka i przemyślany miks w domenie cyfrowej. No a jak ktoś używa sampli z kompaktu, to już jego problem, co pocznie ze swoim plastikowym brzmieniem – hehe.

Sprzęt

Bez bicia powiem, co nie jest żadną tajemnicą, że możliwości np. Fruity Loopsa od jakiegoś czasu niemitosiernie obnażają prostotę wielu flagowych samplerów, ale z drugiej strony każda muzyka ma swój etos. Co to za gitarzysta rockowy bez Gibsona? Dla mnie największą zaletą samplera jest właśnie jego prostota i to, że dźwięków nie widać, jak to ma miejsce w komputerze, tylko je słychać (!). Taki system wymaga wyobraźni, natomiast nie prowadzi to do kuriozalnego „rysowania" bitów, jak to ma miejsce np. w Acidzie. Podsumowując ten akapit – zero obiektywizmu z mojej strony, samplery rządzą.

Kolory

Muzyka przekłada się na kolory. Nie wiem, czy fale dźwiękowe mają swoje kolorystyczne odpowiedniki, ale jestem w stanie w to uwierzyć. Nawet jeśli tak nie jest, a umiecie w ten sposób opisywać dźwięki, to bardzo Wam to pomoże. Pianino zawsze kojarzyło mi się z kolorem białym, smyczki są zielone, bas czarny a np. rhodesa widzę w odcieniach niebieskiego. Natomiast dobre bębny to w moim przypadku zmatowiony srebrny. Przy rozpisywaniu kawatków na płytę umieszczam obok tytułów dominujące kolory lub kolorystykę. Jest mi wtedy łatwiej zapanować nad materiałem, wiem czego brakuje do pełnego obrazu. Brzmi może śmiesznie, ale w kreowaniu brzmienia kolory bywają niezastąpione.

Nie ma dróg na skróty

Zawsze sobie powtarzam, że „warto być niezadowolonym". Bywają sesje, podczas których już byś wszystko rzucił, ale chcesz coś mieć, więc powoli zaczynasz się zadowalać półśrodkami – „Nie, to nie jest ten pogtos na werblu, ale lepszego nie będzie". Będzie, bo jak powiedział Walt Disney – „Jeśli coś sobie wyobraziłeś, to możesz to zrobić". Niektórzy mówią, że tworzenie muzyki powinno być zabawą. Uważam, że powinno być nią między innymi, ale tak naprawdę to dużo ciężkiej pracy. Jeśli ktoś z Was widział kiedyś zdjęcie Stanleya Kubricka, wie, ile kosztuje zrobienie arcydzieła.

Selekcja

Mam kumpla, który zajmuje się produkowaniem muzyki. Zawsze miałem wrażenie, że sampluje wszystko, co tylko się da, a niemieckie składanki dyskotekowe traktuje jak potencjalne źródła do nowego „When t be on the mic". Tandetny sampel na pewno da się pociąć, ale czy da się z niego wykręcić dobre brzmienie? Sporadycznie. Cała zabawa potega na tym, by dostrzec w samplu potencjał.

Wizja

To miał być pierwszy punkt. Po namyśle jest ostatni – najważniejszy. Jeśli nie macie swojej wizji brzmienia w głowie, to żadne z powyższych przemyśleń Wam się po prostu nie przyda. Nie dajcie się stereotypom, nie narzekajcie, pracujcie. Jeśli to, co chcieliście zrobić, nie brzmi tak dobrze jak „zachodnia produkcja", a broni się koncepcyjnie (czytaj: używaliście efektów, żeby osiągnąć zaplanowany cel) i brzmieniowo, to być może jesteście na drodze do stworzenia własnego, niepowtarzalnego „soundu". Tylko nie róbcie niczego na siłę – to słychać.

BLACKZONE DWM

SINCE 1998

FOR ALL GRAFFHEADZ

INFO TEL./FAX (0-42) 617-23-07 KOM. 501-149-923

www.blackzone.com.pl

DECKI AKCESORIA SKATEWEAR SNOWBOARD BIKE ROLKI FINGERBOARD FOOTBAG GRAFFITI MUZYKA ODZIEŻ BUTY PAINTBALL
PROMOCJA POŚWIĄTECZNA!
PRZESYŁKA KURIERSKA ZA

REALIZACJA ZAMÓWIENIA W 2 DNI.
NASZ
MIKOŁAJ ODWIEDZA
WSZYSTKICH.
(ZWŁASZCZA TYCH NAJMŁODSZYCH
NIEGRZECZNYCH)
andegrand.pl
INTERNETOWY MEGASKLEP
*Oferta ważna w okresie od 24.12.04 do 31.01.05. Zamówienia powyżej
gratis.